

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ



WIECZOROWO
O PISANIU:
ARTUR TOJZA

10 OPOWIADAŃ
2 WIERŚZE
1 SZTUKA

CIĄG DALSZY POWIEŚCI: KIESZEŃ W PRZESTRZENI, MARTA PAWLIK ●
PIEKŁO JEST PUSTE, ZUZANNA KŁOSEK

FELIETON: ETYKA ZAWODOWA W BRANŻY WYDAWNICZEJ

ARTYKUŁY: BOOK TOUR – PERFEKCJA W PROMOCJI ● DYREKTYWA O DOSTĘPNOŚCI.
CZYM JEST, PO CO POWSTAŁA I DLACZEGO ZMIENIA SPOSÓB PRZYGOTOWYWANIA E-BOOKÓW ●
BETA READING W POLSCE. GŁOS CZYTELNIKÓW I AUTORÓW ● ARCHITEKTURA KSIĄŻKI –
OD OKŁADKI PO STOPKĘ REDAKCYJNO-WYDAWNICZĄ

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

STYCZEŃ 2026

- 04 STANDARDOWE PRZYWITANIE OD
NACZELNEJ
- 05 ZAPOWIEDŹ, CO SIĘ POJAWI W NUMERZE,
ALE OPISOWO

OPOWIADANIA

- 06 LOLEK I LENA
DAWID DOŁBA
- 14 IGLIWIE GWIAZD
MICHAŁ P. LIPKA
- 17 CZARNA MASKARADA
ALEKSANDRA IGIEL
- 25 PRZEZNACZENIE
MARIUSZ OLEJNICZAK
- 42 PRZEZNACZENIE ODZIANE W PURPURĘ
JAKUB SZEWCZYK
- 55 HANDLARZ DARAMI
MARTA PAWLIK
- 67 A POTEM PŁACZĘ, PŁACZĘ
KRZYSZTOF DĄBROWSKI
- 72 DOM NA WZGÓRZU
KRZYSZTOF MICHAŁSKI
- 77 NOC SYLWESTROWA W JEDNYM AKCIE
AGNIESZKA OKNIŃSKA
- 104 DWA PŁOMIENIE
JÓZEF ŚWISTAK

POWIEŚCI

- 30 KIESZEŃ W PRZESTRZENI, ROZDZIAŁ 2 I 3
AUTOR
- 59 PIEKŁO JEST PUSTE, ROZDZIAŁ 2 I 3
AUTOR

ARTYKUŁY

- 12 BOOK TOUR – PERFEKCJA W PROMOCJI
- 52 DYREKTYWA O DOSTĘPNOŚCI – CZYM JEST,
PO CO POWSTAŁA I DLACZEGO ZMIENIA
SPOSÓB PRZYGOTOWYWANIA E-BOOKÓW
- 92 WIECZOROWO O PISANIU – WYWAID
Z ARTUREM TOJŻĄ
- 98 ARCHITEKTURA KSIĄŻKI – OD OKŁADKI PO
STOPKĘ REDAKCYJNO-WYDAWNICZĄ
- 100 BETA READING W POLSCE. GŁOS
CZYTELNIKÓW I AUTORÓW, CZYLI WNIOSKI
Z ANKIETY ŚRODOWISKOWEJ
- 114 FELIETON O ETYCE ZAWODOWEJ

POEZJA

- 66 UPIÓR KARNAWAŁ
M. P. HARDY
- 71 KOREKTA NAWYKÓW
M. P. HARDY

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

STYCZEŃ 2026

COPYRIGHTS©2026 BY MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

REDAKTOR NACZELNA

Magdalena S. Matusiewicz (craft.swan.creations@gmail.com)

Z-CA REDAKTOR NACZELNEJ

Magdalena Zwolińska ([Magdalena Zwolińska. Redakcja i Korekta](#))

SKŁAD DPT

Magdalena S. Matusiewicz – Swan Craft Creations (www.nocnaredaktorka.com)

ILUSTRACJE DO OPOWIADAŃ I POWIEŚCI

Kinga Witczak ([WITCH.ak Art](#))

REDAKTORZY I KOREKTORZY

Magdalena S. Matusiewicz

Magdalena Zwolińska

Magdalena Malinowska-Dziekan (studiokreacji.magdadziekan@gmail.com)

[Milena Wysocka](#)

Weronika Belowska ([Korekta.WB](#))

[Paulina Mika](#)

Patryk Żelazny (patryk.zelazny.redakcja@gmail.com)

Ewa Rajska (mysliposkladane@02.pl)



FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

Drodzy Czytelnicy,

witajcie we „Fragmentarium” – miejscu, które zrodziło się z miłości do słowa i z potrzeby zatrzymania się na chwilę w świecie, w którym coraz trudniej o ciszę i prawdę. To przestrzeń, w której język ma czas, by wybrzmieć, a my – by naprawdę go usłyszeć.

Spotykamy się w drugim numerze, już po świętach, które zdążyły odejść w zapomnienie szybciej, niż się tego spodziewaliśmy. Codziennosc wróciła z impetem, a wraz z nią obowiązki, terminy i sprawy, które nie znają pauzy. Postanowienia noworoczne – dla jednych nabierają coraz wyraźniejszych kształtów, dla innych zaczynają rozmywać się w natłoku spraw. I to jest w porządku. Każda droga ma swoje tempo.

Na szczęście to wciąż początek roku. Przed nami jeszcze jedenaście miesięcy 2026 – czasu na próby, korekty, zmiany kierunku i powroty do tego, co naprawdę ważne. Właśnie tego życzymy Wam jako Redakcja: cierpliwości do siebie, odwagi w planach i łagodności w ich realizowaniu.

Niezależnie od przeszkód jakie mogą pojawić się na naszej drodze „Fragmentarium” dalej trwa w swojej wizji, która towarzyszyła mi od dawna. Z nowymi marzeniami i celami tworzymy dla Was miejsce tworzone z refleksją, gdzie fragmenty tekstów, emocji i myśli układają się w całość – w opowieść o pisaniu, czytaniu i człowieku.

W tym numerze – podobnie jak w pierwszym – znajdziecie opowiadania pisane prosto z potrzeby serca, nie algorytmu. W czasach, gdy teksty powstają masowo i bez oddechu, my wciąż stawiamy na słowa, które mają puls i ciepło. Na głosy autorów idących własną drogą, nie lubimy sztywnych ram. Literatura to piękna sztuka.

„Fragmentarium” nie jest magazynem do szybkiego przejrzenia. To miejsce, w którym warto zostać na dłużej. Zatrzymać się przy zdaniu. Przemyśleć. Uśmiechnąć się. Albo po prostu – pobyć.

Nie obiecujemy łatwych odpowiedzi ani gotowych recept. Oferujemy natomiast słowa pisane z autentyczności i głosy, które nie udają niczego więcej, niż są.

Bo „Fragmentarium” to zbiór fragmentów, które razem tworzą pełnię. Pełnię literatury, emocji i spotkań z ludźmi, dla których słowo wciąż znaczy coś więcej. Zatrzymajcie się tu na chwilę.

To miejsce stworzyliśmy dla Was.

Z literackim pozdrowieniem,
Magdalena S. Matusiewicz
Redaktor naczelna



FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

Przed Wami nowy numer – zaproszenie do zanurzenia się w przeznaczeniu. Tym, które od wieków splata się z karnawalem. Bo przecież nie tylko Andrzejką były czasem wróżb. Karnawał niósł ze sobą znaki, przesady, rytuały i gry z losem. To moment, w którym świat na chwilę stawał na opak, a przyszłość zdawała się bardziej dostępna – jakby można ją było podejrzeć ukradkiem.

Większość prezentowanych w tym numerze gatunków porusza się w fantastycznych klimatach, ale każdy z tekstów wnosi coś więcej niż tylko magię czy niezwykłość. To historie, które skłaniają do refleksji nad decyzjami i konsekwencjami, nad ludzkim postępowaniem, wyborami dokonywanymi w chwilach granicznych oraz nad relacjami – kruchymi, skomplikowanymi, czasem bolesnymi.

Jak zawsze pokażemy Wam ciekawe historie. Dwa wiersze. Ale też coś nowego – sztukę, która dialoguje z tekstem.

Ilustracje stworzyła Kinga Witczak, podobnie jak tę piękną okładkę, która nie jest jedynie oprawą, lecz osobną opowieścią, wprowadzającą w nastrój całego numeru.

Choć Sylwester i Nowy Rok są już za nami, wciąż czujemy świeżość stycznia. Ciszę po hałasie. Moment zawieszenia między tym, co było, a tym, co dopiero się wydarzy. To czas planów, postanowień i uważnego przyglądania się sobie – dokładnie taki, jaki sprzyja czytaniu i myśleniu.

W tym numerze zabierzemy Was także w podróż książki – od autora do recenzenta. Pokażemy, jak wygląda jej droga i jakie znaczenie ma dialog wokół tekstu. Podzielimy się również wynikami ankiety dotyczącej beta readingu w Polsce, która wyraźnie wskazuje na duże zapotrzebowanie w określonych obszarach i potrzebę lepszego zrozumienia tej usługi.

Przed nami wiele pomysłów na kolejne numery. Trwają też próby rozwiązania kwestii druku – tak, by zadowolić również tych, którzy kochają papier, zapach farby drukarskiej i ciężar książki w dłoniach.

I wreszcie coś wyjątkowego: pierwszy wywiad we „Fragmentarium”. Naszym gościem jest Artur Tojza – autor, który konsekwentnie buduje własne multiwersum w formie e-booków i audiobooków, pokazując, jak można rozwijać literacki świat poza tradycyjnymi ramami wydawniczymi.

Oczywiście nie zabraknie też wiedzy: pochylimy się nad dyrektywą o dostępności, zajrzemy w proces budowania książki i przyjrzymy się etyce zawodowej w branży wydawniczej.

Zapraszamy do lektury. Do zatrzymania się. Do czytania uważnie.

LOLEK I LENA

REDAKCJA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA: PAULINA MIKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

Karol uwielbiał soboty. Jako dziewięcioletek miał zawsze dużo na głowie, a soboty służyły z braku zobowiązań. Dodatkowo rodzice właśnie w ten dzień organizowali coś ekstra. Tato często powtarzał, że musi nacieszyć się dziećmi, zanim wyfruną w świat, dlatego nigdy nie pracował w soboty.

– Prawdziwe skarby mam tutaj, nie potrzebuję innych – odpowiadał za każdym razem, gdy dzwonił jego współnik i proponował dodatkowe zlecenie.

Wypad do kina, wspólne pieczenia pysznych ciast, piknik w ogródku czy turniej gier planszowych – rodzicom pomysłów nigdy nie brakowało. Raz nawet wypożyczyli instrumenty i cała rodzina zamieniła się w orkiestrę. Tato Marcin brzdąkał na gitarze. Mama Zofia grała na ukulele. Kuba, starszy brat Karola, dmuchał z całych sił w trąbkę, natomiast Karol, zwany przez wszystkich Lolkiem, otrzymał mały akordeon. Do muzyki śpiewała Lena, siostra bliźniaczka Karola. Podobno miała czysty i anielski głos, ale Karol ledwo go wtedy słyszał. Był przecież zbyt zajęty rywalizowaniem z Kubą o tytuł najgłośniejszego muzyka!

Lena w ogóle nie przypominała Karola, a Karol nie przypominał Leny. Gdyby nie fakt, że wszyscy ciągle o to pytali, Karol już dawno by zapomniał, że urodzili się w ten sam dzień. Różnili się wszystkim: wyglądem, zainteresowaniami, ocenami w szkole. Karol lubił majsterkować. To znaczy mówił, że majsterkuje, ale głównie rozkręcał zabawki. Swoje i Leny. Rozkręcił też radio, słuchawkę prysznicową, chlebak, szufladę ze skarpetami, rower, trzy budziki i pewnie jeszcze kilka innych rzeczy, które uznano za zagubione...

– Kiedyś będzie potrafił wszystko poskręcać na nowo, zobaczysz. Jeszcze nam kuchnię wyremontuje! – pocieszał strapioną mamę jak zwykle radosny tato za każdym razem, gdy kolejne „majsterkowanie” Karola wychodziło na jaw.

Chłopiec cieszył się, że tatuś trzyma jego stronę, ale nie zamierzał remontować kuchni! W majsterkowaniu interesował go sposób działania wszystkich tych rzeczy. Zamiast remontu

wolałby zająć się wymyślaniem nowych przedmiotów. Aktualnie pracował nad spanikiem. Spanik to taki budzik, ale działający odwrotnie. To urządzenie, które umożliwiałoby spanie dopóty, dopóki ktoś się porządnie nie wyśpi. Gdy tylko stworzy spanik, zyska mnóstwo klientów. W końcu wszyscy ciągle narzekają na brak snu!

Lena zamiast majsterkowania wolała książki, których Karol nie znośił. Bardziej od książek nie cierpiał tylko sprzątanía. Sprzątanie wykańczało go bardziej niż wszystko. A wszystko to przecież bardzo dużo! W najgorszych koszmarach nawiedzały go wielkie, zakurzone tomszcza traktujące o sprzątaniu. Otwierały się i zamykały, szczerząc ostre zębiska.

Lena w nieskazitelnym czystym pokoju miała mnóstwo pięknie posegregowanych książek, za to przez pokój Karola co rusz przechodziło tornado. A przynajmniej tak mówiła mama. Lena cechowała się cichą naturą i spokojnym usposobieniem. Natomiast Karola wszędzie było pełno. Podobno nawet kiedy spał, z twarzy nie schodził mu łobuzerski uśmiech. Lena potrafiła godzinami czesać swoje gęste loki i udawać księżniczkę. Karol, odkąd pamiętał, chodził ścięty na zapałkę.

Na co dzień dogadywali się kiepsko. Uczęszczali do tej samej klasy, kolegowali się jednak z innymi dziećmi. Rozmawiali ze sobą rzadko. W szkole na temat domu, a w domu na temat szkoły.

– Kiedyś byliście nierozłączni! Była z was taka piękna para urwisów! – wspominała często mama podczas śniadań. – Wszystkim się dzieliście, nawet jedliście z jednego talerza. Tego tutaj! – mówiła i wyciągała stary, czerwony talerz z namalowaną żółtą kaczką, która nie wiadomo dlaczego nosiła wielkie sombrero.

– Akurat! – skwitował raz Karol.

– Ten talerz jest bardzo brzydki – wtrąciła Lena.

– Oj, dzieciaki! – odpowiadała mama z uśmiechem i odkładała talerz na najwyższą półkę.

Dzisiaj Karol i Lena również wysłuchali historii o talerzu. Najwyraźniej mama uwielbiała wspominać dawne czasy. Karol wołał skupiać się na teraźniejszości, a konkretnie na czekającym go sobotnim popołudniu. Właśnie kończył sprzątanie pokoju. Całe szczęście od wujka Mateusza, brata taty, otrzymał wielki piracki kufer, który idealnie przyspieszał porządki. Wystarczyło wszystko wrzucić do środka. Na samym dnie umieścił rozkręcone zabawki, na nich zwykle zabawki, a na wierzchu położył kilka szkolnych podręczników dla dobrego efektu.

Wujek Mateusz często ich odwiedzał. Był wysokim, szczupłym stolarzem o radosnych, zielonych oczach i wiecznie zajętych dłoniach. Zawsze przynosił słodkości i dużo różnych wieści. Według Karola był niezwykle dobrze poinformowany, niczym szpieg. Mama miała na ten temat inne zdanie. Mówiła, że mógłby wreszcie znaleźć sobie żonę. Mówiła też, że straszny z niego plotkarz, ale uwielbiała, gdy po kawie mierzył metrowką meble i ściany. Opowiadał wtedy, co można by ulepszyć w domu, i to za grosze! Mama słuchała z błyszczącymi oczami i otwartą buzią. Popijała latte, co rusz przytakując i obliczając coś na kalkulatorze. Zawsze, gdy wujek ich odwiedzał, siedział do późna z rodzi-

cam. Rozmawiali, co chwilę głośno się śmiejąc.

Gdy Karol skończył porządki, zbiegł na dół. Nie mógł się doczekać zabawy! Bardzo się ucieszył, gdy w salonie oprócz domowników zobaczył wujka Mateusza. Karol trochę się spóźnił. Była już godzina piętnasta dwadzieścia pięć, więc mogli zacząć bez niego! Zwykle zabawy zaczynały się punktualnie o trzeciej po południu. Zwykle też mama znacznie wcześniej wołała wszystkich na dół. Dzisiaj nikt go nie zawołał...

Chcieli się bawić beze mnie? – pomyślał nagle i zrobiło mu się smutno.

Nikt nie wyglądał jednak na pochłoniętego zabawą. Wszyscy siedzieli na kanapie ze spuszczonego wzrokiem...

– Jesteś, Karolku... – powiedziała mama i zamilkła. Karol wyczuł, że coś dziwnego wisi w powietrzu.

Tato trzymał w ręce telefon, a PRZECIEŻ podczas zabawy obowiązywał zakaz korzystania z telefonu!

Kuba obgryzał wściekle paznokcie, a PRZECIEŻ mama zawsze zwracała mu na to uwagę!

Mama głaskała Lenę po głowie, a PRZECIEŻ Lena nie pozwalała nikomu dotykać swoich pięknych, długich włosów!

Za dużo było tych „przecież”.

– Coś się stało? – zapytał Karol.

Przez dłuższą chwilę nikt mu nie odpowia-

Tylko z Tobą jestem sobą



Autor: Miłosz Ławniczak

Tłumaczenie: Witold Zechenter

Wydawnictwo: Magia Słów

Oprawa: miękka

Formaty: druk, e-book

Gatunek: literatura młodzieżowa

Data premiery: 28/04/2026

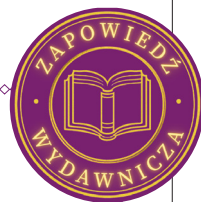
Gdzie kupić? Empik

Nowa szkoła miała być dla Mikołaja szansą na świeży start i ucieczkę od bolesnych wspomnień z przeszłości. Zamiast tego przynosi spotkanie, które zmienia wszystko. Franek – charyzmatyczny, nieprzewidywalny – szybko staje się kimś więcej niż tylko kolegą z klasy, a rodząca się między nimi więź zmusza Mikołaja do konfrontacji z własnymi lękami i pytaniami o to, kim naprawdę jest.

W świecie nastolatków pełnym pierwszych imprez, przyjaźni, presji i rodzinnych problemów, ich relacja staje się schronieniem – i jednocześnie największym wyzwaniem.

Ciepła, pełna humoru, ale też refleksyjna opowieść o przyjaźni, która może przerodzić się w coś więcej – i o odwadze, jakiej potrzeba, by się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

Bo nowy początek nie zawsze oznacza spokój.



dał. Wreszcie tato wypił duszkiem całą szklankę wody i wyjaśnił, że przyszedł e-mail z wynikami jakichś badań. Lena ma nowotwór i musi się leczyć.

– A zabawa? Jest sobota – odparł Lolek. Niewiele wiedział na temat tego całego nowego tworzywa. Za to doskonale wiedział, na co miał ochotę w sobotę.

– Karolku... – podjęła mama łagodnym głosem. – Dzisiaj chyba darujemy sobie zabawę.

– Kiedy ja czekałem cały tydzień i posprzątałem pokój! Sami mówiliście, że to nasza tradycja! – krzyknął Karol, tupiąc nogą z całych sił.

Zapadła cisza. Nikt nie odpowiedział. Mama westchnęła głęboko i trzęsącymi się dłońmi sięgnęła po szklankę z wodą. Piła, głośno przełykając. Karol nie ustępował.

– Ale... Ale Lena nawet nie wygląda na chorą!

– Karol! – wrzasnął nagle tato. Chłopiec aż podskoczył ze strachu. Ojciec nigdy wcześniej nie krzyczał. Zawsze rozwiązywał sprawy za pomocą żartów. – Marsz do pokoju! Masz szlaban!

Chłopiec poczuł, jak łyzy napływają mu do oczu. Zaciśnął pięści.

– I tak nie chciałem się z wami bawić! – rzucił w stronę kanapy i wybiegł z płaczem.

Pierwsze, co zrobił w pokoju, to wyrzucił wszystko z pirackiego kufra na podłogę. Doskonale wiedział, co odpowie mamie, gdy przyjdzie i zapyta go o bałagan! Skoro nie ma zabawy, to po co ma sprzątać?! Położył się na łóżku i przykrył kołdrą w taki sposób, że widział wszystko przez małą szparkę. Udawał, że śpi, a tak naprawdę czekał na mamę. Zawsze zjawiała się zaraz po awanturze. Cekał bardzo długo, ale nikt nie przychodził. Wujek Mateusz pojechał znacznie wcześniej niż zwykle.

Około godziny osiemnastej Karol był już bardzo głodny, ale nie zamierzał schodzić do kuchni.

Skoro mam szlaban, mogę umrzeć z głodu. Nie moja wina – myślał i złościł się na rodziców.

Kolację przyniosła mu mama. Talerz pysznych kanapek i orzechową kawę Inkę, jego ulubioną. Mleczno-orzechowy aromat poprawił Karolowi humor, ale chłopiec nie zamierzał się do tego przyznawać. Czuł, że potraktowano go niesprawiedliwie.

– Bo widzisz – zaczęła niepewnie mama – teraz trochę się u nas pozmienia, ale tylko trochę. Zobaczysz, to chwilowe. Wszystko będzie dobrze, Karolku, wszystko się ułoży szybciej, niż myślisz. Wszystko będzie dobrze, słyszysz? Wszystko będzie dobrze, synuś, wszystko będzie dobrze, zobaczysz... – powtórzyła kilka razy łamiącym się głosem. Do tego miała spuchnięte oczy i lodowate dłonie. Nie wyglądała, jakby wierzyła w to, co mówi. Karol też jej nie wierzył.

Następne dni, a potem tygodnie, okazały się zupełnie inne. Przede wszystkim Lena pojechała do szpitala i czekała na zabiegi chemioterapii. Rodzice rzadziej się uśmiechali. Przypominali blade zjawy. Podczas wspólnych posiłków Lena nigdy nie była zbyt rozmowna, ale bez niej panowała absolutna cisza. Może Karol źle pamiętał? Może Lena dużo więcej się odzywała?



Mama często udawała, że musi do toalety, ale wracała z wilgotnymi oczami. Kuba miał problemy w szkole. Wdał się w bójkę. Poza tym coraz częściej chodził na wagary. Wujek Mateusz bardzo rzadko się pojawiał, a jak już przychodził, rozmowę ograniczał do kilku zdań. Ani razu nie dał się namówić na kawę.

Karol często pytał o Lenę, ale za każdym razem słyszał tylko, że wszystko będzie dobrze i nie ma powodów do zmartwień. Tato pracował do późna, nawet w soboty. Mama przed każdymi zakupami przez długi czas sporządzała listę. Coraz częściej na kolację odgrzewała obiad.

W szkole nauczyciele upominali dzieci, kiedy wypytywały o Lenę. W końcu przestały. Pewnego razu Antek, kolega z klasy Karola, usiadł na miejscu Leny. Stwierdził, że nie wiadomo, czy Lena wróci, więc on je zajmuje. Karol poczuł olbrzymią złość. Rzucił się na Antka. Rozdarł mu koszulkę, ale nie dostał żadnej nagany. Wychowawca postanowił, że od teraz to Karol będzie siedział na miejscu Leny.

Lolek i Kuba w odwiedzinach u Leny byli tylko dwa razy, na samym początku. Odkąd dziewczynkę przeniesiono ponad dwieście kilometrów dalej, rodzice jeździli sami. Chłopcy zostawali w domu z dziadkami. Tym razem jednak mama nalegała, aby pojechali wszyscy. Po drodze Karol usłyszał, że z Leną „może być różnie”. Doppytywał, jak bardzo różnie, ale tato zapewniał, że nie ma się czym martwić.

– Słuchajcie, chłopcy. Tam, gdzie jedziemy, jest pełno chorych dzieci... – podjęła mama, gdy dojeżdżali.

– Wiemy, w końcu to szpital – odburknął Kuba, ostatnimi czasy wiecznie skwaszony.

– Nie taki zwykły... Dzieci, które tam mieszkają, mają dużo zmartwień i lepiej, żebyście nie sprawili im żadnej przykrości.

– Niby jakiej? – zapytał Karol.

– Zwłaszcza ty, synek! – podniósł głos tato. – Bardzo się z mamą cieszymy, że jesteś ciekawy świata, ale obiecaj, że w szpitalu nie będziesz wścibiał nosa w cudze sprawy.

– Ale... – Karol nie zdążył zaprotestować, ponieważ tato dodał ostro:

– Albo obiecujesz, albo zostaniesz w aucie na parkingu!

– Dobrze... – wydukał chłopiec.

– Co „dobrze”? Pełnym zdaniem proszę. – Ostatnio tato znacznie mniej żartował, a więcej się denerwował.

– Obiecuję, że będę grzeczny – powiedział Lo-

lek, a widząc srogie oblicze ojca w lusterku, dodał prędko: – i że nie będę nikogo o nic wypytywał!

– Świetnie, tyle dobrego.

Wbrew przypuszczeniom Karola nie wszystkie dzieci w szpitalu wyglądały na smutne. W jednym z mijanych pomieszczeń zobaczył wesołą gromadkę bawiącą się w najlepsze. Jedna dziewczynka aż zanosila się śmiechem, widząc udającego małą chłopca o pomalowanej farbami twarzy. W innym pokoju Karol ujrzał młodą panią, która płakała przy śpiącym chłopcu. Nie podobalo mu się to miejsce. Mama prowadziła go za rączkę, jak jakiegoś malucha. Do tego miała mokrą i śliską dłoń, która z każdym krokiem zaciskała się coraz mocniej.

Gdy wreszcie dotarli do pokoju Leny, nie było jej tam. Zrobiło się zamieszanie. Rodzice zostawili Lolka na łóżku Leny pod opieką innej mamy, pani Małgorzaty. Z braku rozrywki siedział na krawędzi i machał nogami. Później przejrzał szafkę Leny. Na samym dole, obok pomiętych ubrań, leżała jej różowa szczotka. Wciśnięta w kąt, wyglądała na nieużywaną już od dawna.

Dziwne... – pomyślał Karol. Przecież Lena uwielbia czesać swoje długie włosy...

W pewnym momencie telefon pani Małgorzaty wydał kilka głośniejszych dźwięków.

– Poczekasz tutaj grzecznie na rodziców? Zaraz na pewno przyjdą. Tylko nigdzie nie idź – powiedziała i wyszła.

Karol został sam. Wcale się nie bał. No, może troszkę. Zaczął liczyć do sześćdziesięciu. Wystarczy, że szybko policzy tak dziesięć razy i minie dziesięć minut. A dziesięć minut to sporo czasu!

Za drugim razem nie wiedział, czy liczy drugi, czy może trzeci raz. Postanowił policzyć jeszcze raz, od początku. Najwyżej odliczy trochę dłuższe dziesięć minut. Zanim skończył, na korytarzu dostrzegł jakiegoś chłopca, który przebiegł na pełnej prędkości najpierw w lewo, a chwilę później w prawo. Był szybki. Za moment znowu przebiegł w lewo, ale tym razem, gdy biegł w prawo, zatrzymał się na wysokości Karola i spojrzał w jego stronę. Głośno dysząc, wparował do pokoju.

– Jesteś od Leny?

– Tak.

– Cześć, jestem Kamil – powiedział, wyciągając rękę.

– Cześć, a ja Karol, ale mówią na mnie Lolek – oznajmił Karol. Miał nadzieję, że Kamil

sobie pójdzie. Doskonale pamiętał obietnicę daną ojcu.

Jednak Kamil wskoczył na łóżko, rozsiadł się wygodnie i razem z nim zaczął machać nogami.

– Szybki jesteś. – zauważył Karol.

– Dzięki – odpowiedział Kamil wyraźnie zadowolony. – Ale kiedyś byłem szybszy. Teraz mogę umrzeć – dodał jak gdyby nigdy nic.

– Co? – wypalił Karol, wybałuszając oczy, i od razu pożałował. Obiecał nie być ciekawski.

– Byłem szybszy. Biegałem na każdej przerwie w szkole. Ścigałem się z każdym, nawet ze starszakami.

Karola strasznie kusiło spytać o to drugie, ale nie spytał. Miał przecież nie sprawić nikomu przykrości.

– Ty też lubisz biegać? Wyglądasz na szybkiego – zapytał Kamil.

– Lubię, ale wolę majsterkować.

– Majsterkować? Też chciałbym spróbować... – Chłopiec zastanowił się i dodał po chwili: – Jeśli wcześniej nie umrę.

Karol zupełnie się pogubił.

– „Umrzesz”? – wypalił zaciekawiony.

– Tutaj każdy może umrzeć. Zresztą wszyscy to wiedzą, ale niektórzy udają, że nie wiedzą.

– Ja nie udaję! – krzyknął Karol. – Jak to „umrzeć”? Tak na zawsze?

– Nie bądź głuptasem! Nie da się umrzeć na trochę. Umiera się raz i na zawsze. Mój dziadek mówił, że śmierć to ostatnia rzecz, jaką robisz w życiu, i tyle dobrego, że nie da się tego zepsuć.

– Aha... – W głowie Karola pojawiło się milion pytań, ale zaczynał dostrzegać też wiele odpowiedzi. Coraz lepiej rozumiał, o co tak naprawdę chodziło rodzicom.

– To znaczy, że Lena... – Karolowi zaschło w ustach i zakręciło się w głowie. – Lena też może umrzeć?

– No pewka! Jak każdy, to każdy. Spokojnie, nie martw się. Tobie nic nie grozi, nie jesteś pacjentem.

– Nie martwię się o siebie, tylko o Lenę.

– Zamartwianie się nikomu jeszcze nie pomogło. Zresztą tutaj wcale nie jest tak najgorzej.

– Nie?

– Jest inaczej, ale zupełnie tak samo.

– Teraz to ty jesteś głuptasem. Niby jak może być inaczej, ale zupełnie tak samo?

– To proste. Każdy dzień jest taki sam. Zaczyna się pobudką, kończy spaniem. Ale każdy dzień jest też zupełnie inny.

– Hmm... to prawda. – przyznał Karol.

– Życie tutaj przypomina wakacje, tylko trochę inne. To nie są wakacje od szkoły. Jakby to wyjaśnić... – Kamil zmarszczył czoło. – O!

Już wiem! Życie tutaj przypomina przymusowe wakacje, tyle że od codzienności. Wszystko wygląda inaczej, a jednak pozostaje takie samo.

– Aha – przytaknął Karol, chociaż wciąż nie do końca rozumiał.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

– Pościgamy się? – zaproponował Kamil, zeskakując z łóżka.

– Chciałbym, ale muszę czekać na rodziców.

– Mogę poczekać z tobą?

– Jasne.

Kamil opowiedział Lolkowi o codzienności w szpitalu. Karol początkowo wstydził się pytać, ale gdy zobaczył, jak chętnie Kamil odpowiada, pytał o wszystko. Czym jest kropiółka? Czy dziurki po igłach zostają do końca życia? Czy nowotwór boli? Skąd pielęgniarki wiedzą, jakie leki podawać? O której godzinie trzeba chodzić spać? Czy wolno jeść słodczyce?

Miał mnóstwo pytań, a każde takie, że bał się je zadać, choć jego ciekawość zdawała się cieszyć Kamila. Lolek dowiedział się też, dlaczego Lena nie używa szczotki... Było mu bardzo przykro. Pełen podziwu dla nowego kolegi, powiedział:

– Ty to jesteś dzielny. Ja chyba bałbym się dostać raka.

– Każdy by się bał, głuptasie! – odrzekł radośnie Kamil, po czym nagle spoważniał. Spojrzał Karolowi głęboko w oczy i dodał: – Tutaj wszystkie dzieci są dzielne, a te, które się boją najmocniej, są najdzielniejsze! Tylko pomyśl, co to za sztuka być dzielnym, jeśli się nie boisz?

Karol był pod wielkim wrażeniem słów Kamila. Zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Otworzył buzię, ale nie wydusił z siebie żadnego dźwięku.

– Malujesz czasem myśli? – zapytał Kamil, widząc zakłopotanie Lolka.

– Nie rozumiem. Jak można malować myśli?

– Ja, gdy nie wiem, co powiedzieć, albo brakuje mi tych, no, odpowiednich wyrazów, wolę malować myśli i emocje. Czasem z innymi chłopakami dzielimy się rysunkami.

– Po co?

– Tak po prostu, no i fajnie jest zobaczyć, że ktoś ma podobne myśli. Spróbuj kiedyś. Najlepiej wtedy, gdy zbraknie ci słów i znowu otworzysz buzię jak szczupak.

– Eeej! – oburzył się Karol.

– No co?! Szkoda, że nie widziałeś siebie przed chwilą! – zażartował Kamil i zaczął udawać przerośniętego szczupaka, skacząc po łóżku. Chłopcy śmiali się głośno.

Chwilę później wrócili rodzice z Kubą i Leną. Karol, gdy tylko zobaczył siostrę, podbiegł do niej i mocno ją uściśnął. Chciał z nią porozmawiać, ale była bardzo zmęczona i szybko zasnęła. Przed odjazdem Kamil przyniósł Karolowi kilka obrazków myśli oraz małą książeczkę o chorobach nowotworowych.

W drodze powrotnej Karol opowiedział rodzicom o spotkaniu z Kamilem. Bał się kary, lecz uważał, że postąpił słusznie. Mama i tato uważnie wysłuchali całej historii. Powstrzymali się od jakichkolwiek komentarzy. Podróż minęła w ciszy i spokoju. Gdy dojechali do domu, Karol od deski do deski przeczytał książeczkę. Część rzeczy wiedział od Kamila, ale sporo było nowości.

– Chcę częściej odwiedzać Lenę! – oznajmił, schodząc do kuchni na kolację.

– Ty się boisz szpitali – rzucił Kuba.

– Wiem, ale od teraz nie boję się już bać! Chcę być przy Lenie.

Zamiast usiąść przy stole, chwycił ciężkie krzesło i pchnął je z całych sił w stronę szafek z naczyniami.

– Synku, co ty robisz? – spytał tato. Był bardziej ciekawy niż zły.

Krzesło drgnęło, podskakując delikatnie. Uszy przeszył im okropny dźwięk. Ojciec wstał i bez słowa pomógł Karolowi. Chłopiec wdrapał się ostrożnie, a później wszedł na regał. Otworzył szafkę i z najwyższej półki wyjął stary, czerwony talerz z żółtą kaczka, nie wiadomo dlaczego wystrojoną w wielkie sombrero.

– To mi będzie potrzebne u Leny. Od dzisiaj zapuszczam włosy. Nie pozwolę, aby jej ukochana szczotka leżała bezczynnie. Lena może szczotkować moje włosy – oznajmił dumnie Karol i mało co nie spadł z szafki.

Tato chwycił go mocno i postawił na ziemi, patrząc z podziwem. Lolek zauważył, że tato zrobił minę szczupaka.

– Karolku... – zaczęła mama, ale nie dokończyła. Wybuchła płaczem. Płakała i śmiała się jednocześnie. – Mój dzielny synek – powiedziała, całując Karola po policzkach.

Tato zadzwonił później do wujka Mateusza i długo rozmawiali. Okazało się, że wujek nie miał pojęcia, jak zachować się w trudnej sytuacji, i dlatego zaniechał odwiedzin. Skoro nie wiedział, wolał nie ryzykować i poczekać na

wyraźny sygnał od brata. Nie chciał się narzucać, nie chciał dopytywać, nie chciał sprawić przykrości. Tato wyjaśnił mu, czego oczekuje, jak wujek Mateusz mógłby pomóc, a wtedy ten znów zaczął pojawiać się w ich domu coraz częściej. Jego wizyty nie przypominały tych wcześniejszych, ale zawsze były wyczekiwane.

Przez cały trudny czas leczenia Lena mogła liczyć na wsparcie. Po miesiącach ciężkiej walki wróciła wreszcie do domu. Zanim przeszła przez próg, wzięła głęboki wdech i zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero w środku.

– Jak tu pięknie – powiedziała cichutko, a łzy zalały jej rumiane policzki.

Życie po chorobie nie wróciło jednak wcale do normy. Tak jak mówił Kamil, było inne, ale zupełnie takie samo.

Pytacie, co ze starym, czerwonym talerzem z żółtą kaczka, nie wiadomo dlaczego wystrojoną w wielkie sombrero? Do dziś służy całej rodzinie w sobotnie popołudnia. Czasem dzwiga pokrojone w kostkę ciasta domowej roboty, a czasem przepyszne kanapeczki.

DAWID DOŁBA:

Od najmłodszych lat zdradzający predyspozycje do nauk matematycznych i przesadnego sentymentalizmu. Już jako siedmiolatek, podczas rutynowej zabawy w kałuży, przeżył pierwsze gorzkie rozczarowanie upływającym czasem.

Od tego momentu, co jakiś czas, wyklóca się z czasem o czas, czasowo zaostrzając narastający z czasem konflikt z czasem. Potem mu przechodzi.

Pisze prozę, poezję, teksty piosenek, bajki, scenariusze teatralne i filmowe oraz zagadki. Uwielbia też pisać palcem po zmarzniętych szybach pociągów wszelakich.

Pisanie przypomina mu kobiece oczy – co rusz się w nim gubi, co rusz coś odnajduje.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: <https://www.instagram.com/dawiddolba/>

BOOK TOUR

PERFEKCJA W PROMOCJI

REDAKCJA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

KOREKTA: EWA RAJSKA

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

Geneza Book Touru

Book Tour to zaplanowana akcja promocyjna książki, polegająca na jej podróży – dosłownej lub symbolicznej – pomiędzy czytelnikami, recenzentami, blogerami, influencerami książkowymi, bibliotekami lub księgarniami. Początek Book Tournu sięga daleko wstecz do tradycyjnych tras promocyjnych organizowanych przez duże wydawnictwa, kiedy to książki wędrowały z autorami na trasie spotkań autorskich w różnych miastach, by dotrzeć do czytelników i mediów. Była to jednak ekspedycja kosztowna i dostępna głównie dla najbardziej rozpoznawalnych nazwisk.

Rozwój blogów literackich, mediów społecznościowych oraz rynku self-publishingu sprawił, że Book Tour zyskał nową, bardziej dostępną formę. Internet umożliwił organizowanie akcji promocyjnych bez dużych nakładów finansowych, a jednocześnie z dużo większym zasięgiem niż lokalne spotkania autorskie. Dzięki temu taki event literacki coraz częściej przenosi się do świata czytelników, już bez bezpośredniego zaangażowania autora danej książki.

W takiej wersji Book Tour polega na przekazywaniu jednego lub kilku egzemplarzy książki kolejnym recenzentom. Każda osoba biorąca udział w akcji czyta książkę, publikuje swoją opinię lub recenzję w ustalonym miejscu (blog, Instagram, TikTok, portal literacki), a następnie przekazuje egzemplarz dalej. Dzięki temu książka zyskuje ciągłą obecność w sieci przez kilka tygodni lub nawet miesięcy. Jest to też świetna alternatywa dla osób, które z różnych względów nie chcą tworzyć własnej biblioteczki.

Obecnie Book Tour może mieć charakter:

- stacjonarny – spotkania autorskie, festiwale literackie, biblioteki,
- internetowy – krążące egzemplarze i publikacje on-line,
- hybrydowy – łączący oba rozwiązania,
- pocztowy – książka wędruje od czytelnika do czytelnika.

Po co organizuje się Book Tour?

Głównym celem Book Tournu jest zwiększenie widoczności książki oraz pozyskanie wiarygodnych recenzji, które realnie wpływają na decyzje czytelników. W przeciwieństwie do jednorazowych kampanii reklamowych Book Tour działa długofalowo i opiera się na autentycznych opiniach.

Book Tour pozwala:

- systematycznie budować zainteresowanie tytułem,
- dotrzeć do nowych grup odbiorców,
- zebrać recenzje w różnych kanałach jednocześnie,
- stworzyć wokół książki naturalny obieg opinii.

Dzięki rozłożeniu publikacji w czasie książka nie znika z pola widzenia tuż po premierze, lecz stopniowo zaznacza swoją obecność w przestrzeni czytelniczej.

Book Tour jako dobre rozwiązanie dla pisarzy, również jako bezpośredni feedback

Dla autorów – szczególnie debiutujących – Book Tour bywa jednym z najskuteczniejszych sposobów na zaistnienie na rynku czytelniczym. Pozwala zdobyć pierwsze recenzje, które są niezbędne do dalszej promocji książki i budowania wiarygodności autora.

Book Tour:

- pomaga przełamać barierę niewidoczności debiutanta,
- umożliwia dotarcie do czytelników bez agresywnej autopromocji,
- daje autorowi realną informację zwrotną,
- buduje relacje z recenzentami i czytelnikami,
- wspiera sprzedaż w sposób pośredni i naturalny.

Autor nie musi występować w roli sprzedawcy – w centrum uwagi pozostaje książka i jej odbiór. Co ciekawe, taki pisarz może zgodzić się na „agresywne” obchodzenie się z książką. Uczestnicy Book Touru mogą notować w książce swoje uwagi i dzięki temu prowadzić dyskusję na prywatnych grupach poświęconych trasie danej książki. Otrzymują dodatkowo notes, w którym dalej prowadzą swoje uwagi. Każdy kolejny uczestnik ma możliwość odpowiadać na pytania poprzednika i tak dalej, aż książka z całym pakietem powróci do autora.

Korzyści dla wydawnictw, nie tylko tych dużych

Dla wydawnictw Book Tour jest narzędziem promocji, które łączy niski koszt z wysoką skutecznością. Pozwala dotrzeć do czytelników w sposób mniej nachalny, a jednocześnie generuje treści promocyjne w postaci recenzji, cytatów i opinii.

Wydawnictwa zyskują:

- większą liczbę autentycznych recenzji,
- długotrwałą obecność tytułu w sieci,
- lepsze zasięgi organiczne,

- wzmocnienie wizerunku marki przyjaznej czytelnikom,
- materiał promocyjny do dalszych działań marketingowych.

Book Tour może stać się stałym elementem strategii promocyjnej, szczególnie w przypadku premier książek niszowych, literatury gatunkowej lub debiutów.

Book Tour – perfekcja w pozyskaniu recenzji

Jednym z największych problemów autorów i wydawnictw jest zdobycie recenzji, które nie będą jedynie krótką notką reklamową. Book Tour rozwiązuje ten problem, ponieważ opiera się na zaangażowanych czytelnikach, którzy chcą i potrafią dzielić się opiniami.

Różnorodność recenzentów sprawia, że książka jest omawiana z wielu perspektyw, co zwiększa jej wiarygodność i atrakcyjność dla potencjalnych czytelników. To właśnie efekt „wielogłosu” czyni Book Tour tak skutecznym narzędziem promocyjnym.

Weronika Belowska

redakcja

korekta

beta reading

Zadbam o to, aby Twój tekst
był najlepszą wersją siebie.

ZAPRASZAM
DO WSPÓŁPRACY

korekta.wb@gmail.com



IGLIWIE GWIAZD

REDAKCJA: MILENA WYSOCKA

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BEŁOWSKA

Nie mówili o wielu rzeczach. W zasadzie w ogóle niewiele mówili. Przeważnie milczeli, szczególnie w swoim towarzystwie. Zamiast tego działali.

W mrocznym pomieszczeniu, oranżowo-brunatnym od blasku świateł, jak oranżowo-brunatne musiałoby być samo piekło albo pogorzelisko w środku nocy, z cieniami własnych ciał i kończyn tańczącymi wokoło, jakby każde z nich miało po cztery, po sześć, a nawet po dziesięć rąk, mieszało składniki i warzyło dekokty. Gryząca woń unosiła się w powietrzu, niczym opary zdolne podrażniać oczy i wyciskać łzy.

Srebrnymi młoteczkami rozbijali bezoary, kolejnymi uderzeniami rozkruszając na coraz drobniejsze odłamki, a to, co zostało, ucierali na pył w moździerzach. Dodawali substancji sporządzonych na podstawie receptur tak starych, że nie miały nazw, i sprawdzali, co może z tego wyniknąć.

Na razie jednak nie wynikało nic.

Jeden z nich wziął jajko. Ciężkie, o twardej, ciemnej skorupce, dojrzewające od miesięcy w roślinnych wyciągach zmieszanych z gęstymi destylatami, w których było więcej życia, niż sugerował to ich wygląd. Naciął skorupkę, wylał zawartość na srebrną, poświęconą powierzchnię. To, co miało żyć, poruszać się i okazać czymś więcej, w jednej chwili spowiło się szarym dymem. Zaciśnięto jak pięść, krwawą plamą wypełniło żółtko i zwęglone rozpadło się na ciemne, przypominające skrzepy drobinki.

Świece powoli się dopalały, powietrze w pomieszczeniu gęstniało, coraz bardziej przypominając mgłę. Bulgoczące cicho aparaty leniwie kończyły swoją pracę na dziś wraz z dogasaniem tłącego się pod nimi żaru.

Zgasili płomienie i otworzyli okna, by wywiać opary, a nieudane eksperymenty rozpuścili w kwasie. Wszystko, co niepotrzebne, zneutralizowali i wylali. W końcu zamknęli okna, a co było im niezbędne, odstawili na miejsce i bez oglądania się za siebie wyszli w chłód i ciemność nocy.

Alejki i ulice miasta o tej porze były prawie puste, a beton pod stopami tak chłodny, jak twardy, zimny i sterylny blask ulicznych latarni. Noc wydawała się ożywcza, pustka śpiącego miasta jakby oddychała życiem.

Witryny mijanych sklepów były niemal zupełnie czarne, tylko gdzieś w głębi lśniły resztki światła. Domy o pozbawionych życia oknach przesuwwały się niczym dekoracje na planie filmowym. Kilka zaparkowanych samochodów zdawało się spać, a w ich szybach odbijały się światła nocnego miasta.

Szli między tym wszystkim i się nie rozglądali, ale i tak widzieli. Roztaczając wietrzącą niemrawo woń alchemii, wędrowali przez miasteczko. Bardziej niż zalaną neonowym blaskiem metropolię przypominało betonową pustynię, z której z każdym rokiem znikwały kolejne zielone tereny. Miarowym krokiem zmierzali do swoich domów. Gdzieś w krzewach ogródka domku jednorodzinnego chudy kot w czarne łaty zaszeleścił i umknął w noc. Gdzie indziej zaszczekał pies. Z dali dobiegał monotonny dźwięk opon mknącej miejską obwodnicą ciężarówki wiozącej towary do sklepów. Szum opon narastał, by po paru chwilach zacząć się oddalać.

Nocne powietrze pachnące spalinami wypełniła ostra woń przetrawionego alkoholu, kiedy skręcili w jedną z uliczek niedaleko parku, który ciężko było nawet nazwać parkiem. Na ławce, nieopodal budynku, którego przeznaczenia chyba nikt już nie pamiętał, spał bezdomny przytulony do butelki szmeranego alkoholu, jakby to była tynktura.

Minęli go w milczeniu.

Widmo, niematerialna zjawka w kształcie człowieka, którym kiedyś była, przemknęła, nawet nie zwracając na nich uwagi. Nie dali po sobie poznać, że ją widzieli. Że widzieli mężczyznę w kapeluszu i staromodnym garniturze, szarego, jakby składał się z dymu. Po prostu szli dalej w milczeniu, przed siebie, skupieni na celu, na swoim przeznaczeniu.

A wokoło nich noc żyła minionym życiem, ludzkimi losami, marzeniami, pasjami czy nawet

i miłościami zredukowanymi do ektoplazmy snującej się po zmroku uliczkami.

Nie mówili, nie opowiadali, po prostu robili swoje. Niepowodzenia nie miały znaczenia. Nie liczyły się, bo nic nie było w stanie ich zniechęcić.

Rozpuszczali metale szlachetne i nasycali je ekstraktami pozyskanymi z wciąż jeszcze świeżych narządów. Formowali świece z ludzkiego tłuszczu połączonego z suszonymi owocami cisu. Kiedy je zapalali, wydzielały ciężki, gęsty, czarny dym.

Zależone jajka zanurzali w ciepłej, alkoholowej esencji czworolistu, a następnie przepuszczali przez nie prąd o niewielkim napięciu, zwiększając jego natężenie, aż powierzchnia jaj zaczynała parować, a para – skraplać się

w aparaturze destylującej. Później destylat ten służył im do namaczania gliny, do nasycania nim konstrukcji z porowatych metali i aplikowania go martwym zwierzętom. Rezultaty nie były jednak zadowalające.

W posplatanych z energią elektryczną językach ognia płonących w kominku spalali wciąż świeże owoce *Juniperus sabina* i *Maianthemum bifolium* z cebulkami *Galanthus nivalis* i zbierali dym powstały w tym procesie. Trucizna i lek, sabinol i galantamina, połączone w gorzką woń życia i śmierci. Ale to nie wystarczało.

A potem wychodzili w noc, w czerń wypełnioną duchami. W mrok pełen stworzeń, o których istnieniu świat wolał nie wiedzieć – albo dawno już zapomniał, bo tak dobrze się ukrywały i tylko od czasu do czasu ktoś znikał. Patrzyli, choć udawali, że nic nie widzą.



Każdy poranek był dla nich porą udania się do pracy, zwykłej, nudnej pracy jakich wiele. Tu urzędnik, tam prosty robotnik pracujący na wysokościach, tam znów bibliotekarka potrafiąca każdemu dobrze doradzić w doborze lektur, nawet gdy ktoś szukał zapomnianych woluminów o alchemii. Wychodzili z domów, zmierzali do swoich biur, fabryk, bibliotek, robili swoje, po czym wracali i dalej robili to, co do nich należało. Wypełniali wszystkie obowiązki, nie zwracając niczyjej uwagi.

A później spotykali się w tym starym budynku, dawnym domu przerobionym najpierw na niewielki sklepik, potem na magazyn, aż w końcu całkowicie porzuconym, i wracali do zapomnianych praktyk, starszych niż prawdziwa nauka. Czasem jednak ta była bezsilna. Nie radziła sobie ani nie potrafiła wyjaśnić zbyt wielu rzeczy, często nawet niezdolna zobaczyć tego, co miała przed nosem.

Czasami wychodzili w mrok, jakby chcieli i mogli pochwycić duchy. Ale nie zamierzali tego robić, nie miało to sensu. W bezchmurne noce, przy

pełni księżycy, zbierali z drzew to, co spadło w nieba, a co nie miało jeszcze swojej nazwy. Ludzkość nawet nie miała pojęcia, że te srebrne igielki, jak nietopniejące nigdy formacje lodu, które bibliotekarka nazwała „igliwem gwiazd”, a które pod względem składu przypominały promieniowanie kosmiczne zredukowane do ciała stałego, w ogóle istnieją.

Szukali resztek kosmicznego życia w pyłe pozostałym ze spalonych w atmosferze bolidów, a potem warzyli z niego dekokty zgodnie z recepturami z trzynastego wieku.

Ale tak jak zawiodła ich nauka, tak i alchemia nie była w stanie sprostać ich oczekiwaniom.

Rano wychodzili do pracy, a potem wracali do domów i mieszkań, choć nie musieli spać ani odpoczywać, tak jak nie musieli też jeść.

Spotykali się i nie mówili nic, bo nie było im to do niczego potrzebne – porozumiewali się ze sobą na zupełnie innym poziomie.

Nie zwracali się do siebie imionami – tych zresztą nie posiadali – nie określali się nawet mianem „robotnik”, „urzędnik”, „bibliotekarka”, bo ich komunikacja nie wymagała niczego takiego. Nie używali również określeń ani numerów, które nadali im ludzie po ich stworzeniu. Ci, chociaż ich wykreowali od zera, nie mieli pojęcia, co tak naprawdę wyszło spod ich rąk.

Byli współczesnymi homunkulusami, ale nie karłami, nie dziećmi przypominającymi starców, a kreacjami na kształt człowieka, stwórcy. Działającymi, myślącymi, czującymi, nawet wiedzącymi i widzącymi więcej niż człowiek, ale nieposiadającymi duszy. I to ich bolało.

Mieli zmysł wzroku pozwalający widzieć w spektrach, w których postrzegać nie byli zdolni ludzie. Mieli sztuczne mózgi mogące przetworzyć to, co widzieli, w sposób, w który nie były w stanie zrobić tego mózgi biologiczne. Ludzie zastępowali własne gałki cybernetycznymi, a sygnał z nich kierowali do swoich twórców, by widziały ich oczami, ale – może jeszcze, może nigdy – nie byli w stanie zobaczyć duchów, igliwia gwiazd ani stworzeń żyjących w ciemności.

A przynajmniej nie teraz, już nie. Istniały jednak czasy, w których zauważali, doświadczali, ale im bardziej polegali na nauce, tym mniej byli w stanie widzieć.

A oni widzieli, ale udawali, że nie widzą, bo ujawnienie prawdy nie miałoby sensu. Dla duchów i tak nie miałoby to większego znaczenia, a dla żywych?

Żywi tych sztucznych ludzi jednak nie interesowali, dla nich bowiem liczyło się jedynie tak bardzo przybliżyć się do bycia prawdziwym człowiekiem, jak prawdziwy człowiek chciał przybliżyć się do bycia Bogiem.

A to, że mogli dojrzeć duchy, igliwie gwiazd i stworzenia żyjące w ciemności – to było coś tylko ich. Coś, czego nie mieli ludzie, a co im pozwalało poczuć się kimś wyjątkowym, nie tylko kopią. Nie maszyną, nie kreacją, a właśnie kimś.

To było ich przeznaczenie.

Tak rodziła się religia.

Tak rodziły się mity i wierzenia.

Tak rodziła się chęć, by sięgnąć dalej, głębiej, wstecz, do czasów, kiedy ludzie więcej dostrzegali i więcej wiedzieli. Czasów, kiedy alchemia miała być metodą na wszystko: na życie i śmierć, na leczenie i trucie, na zdobycie bogactwa i stworzenie życia z rzeczy, z których nie miało ono prawa się narodzić. Stworzenie duszy z materiałów, z których nie miała prawa się składać: z nasyconych dekoktami kamieni, z porowatych, nibyludzkich konstrukcji połączonych z wywarem i oparami czy z bytów biologicznych, kwintesencji życia zamkniętego w niewielkich jaskach, które przez pory skorupki przyjmowały dawno zapomnianą magię.

Więc się nie poddawali ani nie szukali wytnienia.

Wierzyli, że kiedyś uda im się znaleźć przepis na duszę – nieważne, czy alchemiczny, czy naukowy. Fizyczną, w postaci ciała stałego połączzonego z wyciągami z roślin, czy cyfrową, jak w popularnych ostatnio wśród nich legendach o internetowej sieci neuronowej powiązanej gdzieś w darknecie z magią, która miała tchnąć w nich prawdziwe życie i świadomość.

Dlatego tu wracali, noc w noc, dzień po dniu.

I w milczeniu po prostu robili swoje.

28.09.2024

MICHAŁ P. LIPKA.

Rocznik 88. Autor opowiadań, które można znaleźć na różnych portalach (Kostnica, Sztukater) czy w magazynach i antologiach („Biały kruka”, „Czerwony Karzeł”, „Konstytucja grozy”, „Zakamarki nocy”).

Lokalnie wydał dwie książki – „Księga Twardowskiego” i „Szafran”. Zdarzyło mu się działać też na polu komiksowym i publicystycznym.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: https://www.instagram.com/michal_p_lipka

CZARNA MASKARADA

REDAKCJA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

Problemy, z jakimi mierzy się przeciętny człowiek, nijak mają się do tych, które dręczą osoby obdarzone nieprzeciętnymi cechami, zarówno fizycznymi, jak i psychicznymi. Czasem zdarza się też, że dotyczą one jednocześnie obu tych aspektów. Ludzie, którzy od urodzenia noszą w sobie te cechy, czują się albo wyobcowani, zupełnie niepasujący do innych, albo postrzegają siebie jako lepszych, stojących wyżej w hierarchii. Wśród tych ostatnich z całą pewnością znajdują się wszelakiej maści artyści, w tym członkowie objazdowych trup teatralnych. Kobiety z brodą, karły i karykaturalni klauni to zjawiska powszechne w takich przybytkach i nikogo już nie dziwią.

Przyjazd tej konkretnej trupy do Staroświecia zbiegł się jednak w czasie z wydaniem królewskiego dekretu dotyczącego funkcjonowania tego typu grup na terenie całego królestwa. Nie miały one wstępu do miast w czasie, gdy odbywały się bale maskowe – niemal coroczna tradycja w okresie karnawału. Po wielu tygodniach starań i namów uzyskały zgodę z rąk królewskiego kancelisty, co pozwoliło im legalnie przebywać w mieście.

Tamtego feralnego dnia na miejski dziedzińiec w pomalowanej na zielono karocy wtoczyła się trupa o wymownej nazwie Upiory Teatralne. Okrzykom dochodzącym do uszu mieszkańców miasta towarzyszyło strzelanie z bicia, nawoływania stangreta na koźle oraz stukot końskich kopyt o nierówno ułożony bruk. Na karocy, na krzykliwym tle, wymalowano karykatury twarzy wszystkich członków grupy i opisano ich największe popisy.

Pojazd zatoczył ogromne koło i zatrzymał się niemal pod samymi kolumnami zwieńczoną wysokim łukiem, gdzie z góry przejazd trupy obserwowały cztery kamienne gargulce. Według podań miały być trzy, lecz nie wiadomo, co skłoniło artystę, by ostatecznie na budowli pojawiły się cztery szkarady, zamiast trzech. Tajemnicą poliszynela było, że miejscowy artysta, o pseudonimie „Mistrz Kamyk”, nie przejmował się zawartymi w zaleceniach postanowieniami i rzeźbił to, co podpowiadało mu serce. Nietrudno było przewidzieć, że nie

otrzymywał zleceń dwa razy od tych samych osób. Ludzie, którzy znali zasady jego sztuki, drugi raz nie płacili mu za wykonywane prace, choćby należały do tych najlepszych. Rzeźby Mistrza zwykle żyły własnym, niezakłóconym życiem, które zaczynało się wraz z nadejściem nocy, a kończyło o brzasku. Mimo że niewielu ludzi chciało w to wierzyć, legenda głosiła, iż na rzeźby – również te mające powstać w przyszłości – rzucono zaklęcie, które miało sprawiać, że ożywały w momencie zapadania zmroku. Nie wiadomo, kto je rzucił. Po mieście krążyły różne opowieści, każda mniej wiarygodna od poprzedniej. Jak było naprawdę, pewnie nigdy się nie dowiemy.

Plotki sprawiły, że Staroświecie stało się niezwykle popularnym miastem, na co dzień obleganym przez turystów. W gorących okresach karnawału na ulice wylegały takie tłumy, że trudno byłoby wcisnąć igłę, a co dopiero człowieka.

Pippo myślał o tych tłumach wylegających na ulice miasta, gdy przeciskał się przez rosnącą z minuty na minutę ciżbę, trzymając oburącz pstrokaty dywan. Jego drugi koniec spoczywał w rękach Lupo, który na potrzeby występów przebierał się za wilkołaka. Teraz, w wilczej masce będącej zwieńczeniem i najbarwniejszym elementem jego niesamowicie kosztownego, szytego na specjalne zamówienie wilczego kostiumu, stękał pod wpływem niespodziewanego ciężaru. Jego gęsta sierść częściowo zasłaniała nogi wystające ze zwiniętego w rulon dywanu. Należały one do nieszcześliwca – kolegi cierpiącego na chore serce, który padł na zawał, gdy dowiedział się o marnym losie, jaki go czeka po powrocie do domu. Trup w samym centrum karnawału nie wróżył nic dobrego, dlatego polecono im się go pozbyć. I to jak najszybciej. Aby nie tracić czasu i nie obciążać miasta kumulacją złej energii, której w mieście podczas karnawału i tak nie brakowało – bo pod jego osłoną dochodziło do wielu mniejszych i większych przestępstw – kazano im się zająć tym natychmiast.

Pippo w stroju arlekina maszerował dumnie na przdzie, a Lupo dzielnie dotrzymywał mu

kroku z tyłu. A krok ich był powolny i z daleka wyglądał na męczący. Pippo od kilku chwil pogrążał się w ponurych myślach.

Powiedzieć jest łatwo, trudniej to zrobić, skwitował w duchu, poprawiając ciężar na prawym ramieniu. Czuł, że po dzisiejszym dniu będzie miał na obu ramionach ogromne siniaki. Ponieważ ich kolega cierpiał nie tylko na chore serce, ale i na nadwagę, nie był typem, którego łatwo dało się przenieść z miejsca na miejsce.

Stanęli na chwilę, by odetchnąć. Wtedy dywan uniósł się nieco, a para stóp ubranych jedynie w skarpetki zaczęła rytmicznie się poruszać. Lupo kompletnie stracił głowę, co zdradził jego piskliwy krzyk:

– On... on żyje!

– Nie mógł tak po prostu... – Pippo potknął się na ostatnim słowie. – Wstać i iść. Nie, to niemożliwe, kiedy jest się... trupem. – Ostatnie słowo udało mu się jedynie wyszeptać z wielkim trudem, wyszeptane zza pobladłych warg.

Dywan najpierw się uniósł, a dopiero potem obrócił i padł jak długi, jakby go ścięto. To było dla nich obu stanowczo za wiele. A jeszcze gorzej zrobiło się w momencie, gdy dywan rozwinął się samoczynnie i odstonił ciało kolegi w całej okazałości. Ciało pozostawało nieruchome. Lupo, mimo wcześniejszej dziwnej reakcji, ocknął się jako pierwszy i szybko zaczął zwijać dywan. Pippo zareagował zaledwie chwilę później i czym prędzej przyłączył się do sprawnie działającego kolegi. Obaj zaciągnęli dywan do pobliskiego ślepego zaułka i tam zostawili. Zebrali porozrzucone przed domami kartony, w których ludzie przez cały rok przechowywali swoje stroje, by z okazji kolejnego karnawału móc je wyciągnąć z szaf, strychów i piwnic. Porozcinali je na długie pasy i zakryli nimi dywan. To musiało na razie wystarczyć. Gdy to szaleństwo się trochę uspokoi, postanowią,

co zrobić dalej. Nie sądzili, że przeznaczenie ma wobec nich inne plany.

– Załatwione! – oznajmili z dumą Pippo i Lupo, stając przed obliczem swojego szefa Trembolla.

Łysy mężczyzna o kaprawych oczkach, ubrany w codzienny strój, przyglądał im się uważnie. Doklejane wąsy na razie spoczywały bezpiecznie w jednej z szuflad niewielkiego biurka, przy którym zwykle siedział. Kaprawe oczka wodziły wolno po twarzach dwóch pracowników. Trese-rzy lwów często piastowali wyższe stanowiska, lecz rzadko przewodzili trupie teatralnej – tak jak w tym przypadku. Ich szef, wiedząc, że zarówno występy teatralne, jak i cyrkowe cieszą się w miastach dużą popularnością, poszedł za ciosem i nie ograniczając się do jednej trupy, połączył obie i stanął na ich czele.



Lupo i Pippo źle czuli się z tym, że okłamali szefa, ale jeszcze gorzej byłoby przyznać – najpierw przed samym sobą, a potem przed nim – że legendy okazały się prawdą i miasteczko, o którym tyle słyszeli, rzeczywiście może być kolebką pradawnej magii. Mówiono, że magia wsiąkła w ziemię pod miastem tak głęboko, że przeniknęła mieszkańców aż do szpiku kości. Ludzie posiadli nadnaturalne zdolności, które potrafili przekazywać zarówno sobie nawzajem, jak i innym. Lupo i Pippo nie zamierzali dopuścić tych myśli do świadomości. Samo prawdopodobieństwo, że w trakcie tej krótkiej wizyty mogliby zyskać nadnaturalne moce, wydało im się wyjątkowo przykre, wręcz niebezpieczne.

– Tam – Tremboll wskazał ręką w bliżej nieokreślonym kierunku – nie czekało go nic dobrego. Trzy żony, pięć kochanek i dwa tuziny bachorów. Trupia jego mać!

Trzy podbródki śmiały się wraz z nim. Obwisły, wypływający zza skórzanego pasa brzuch trząsł się niczym galareta. Ciemne, długie spodnie i niepasująca do nich koszulę w kratkę miał wkrótce zamienić na obcisły strój tresera w białoniebieskie pasy, równie nietwarzowy jak to, co nosił teraz. Tylko czerwone, wysokie do kostek buty zawsze pozostawały na swoim miejscu.

– Wyświadczyłem mu tym samym przysługę, szefie!

– Obaj to zrobiliśmy!

– Uhm. – To była jedyna odpowiedź, jaką otrzymali po swoim oświadczeniu cyrkowcy.

Na inną nie mieli co liczyć i nie chcieli nawet dopuszczać do świadomości tego, co się stało.

Zawał serca nie był czynem karalnym. W przeciwnym razie prawie połowa ludzi żyjących na ziemi wylądowałaby pewnie za kratkami. Ukrywanie lub pozbycie się ciała – raczej już tak!

Ich kodeks moralny głosił: „Zostawiaj ludzi w drodze, tam, gdzie umarli”.

Podobnie martwe wilki morskie nie wracały już nigdy – ich ciała osiadały na dnie wielkich wód, gdzie miały pozostać na zawsze. Informacja dla rodziny była istotnym elementem, ale nie jednym z najważniejszych. W tym momencie mieli inne priorytety. To z pewnością mogło zacząć.

Tam dom twój, gdzie Trupy twoje, głosiła inna, niemniej ważna zasada.

Sporną kwestią było, którą z ukochanych kobiet należy poinformować w pierwszej kolejności. Tragicznie niedawno zmarły kolega nie wyjawiał, która z nich była najważniejszą wybranką jego kochliwego serca.

– A jakże miewają się, jak im tam... Hilda i Zelda? – zapytał zniechęca Tremboll.

– Obie są oczkami w mojej głowie – odparł szybko Pippo. – A każda tym najważniejszym.

– Nadal nie wiesz nic o swoim istnieniu?

– I nadal pozostają moimi jedynymi ukochanymi kobietami. – Pippo cicho zachichotał, a Lupo ochoczo do niego dołączył, czym ściągnął na siebie zaciekawione spojrzenia towarzyszy, aż cisnęło się na usta pytanie: Obydwie? Naraz?

Hilda i Zelda mieszkały po przeciwnych stronach tego samego miasta. Miały zasadę: plotkowały o wszystkich, tylko nie o sobie nawzajem.

Pippo spotykał się z jedną z nich rano, a z drugą późnym popołudniem. Wybierał mało znane w mieście miejsca i nigdy nie wracał do tych samych. I tak to trwało od jakiegoś czasu.

– A ty nigdy nikogo nie miałeś? – syknął Pippo przez zaciśnięte zęby, zaskoczony i urażony reakcją, jak się zdawało, bliskiego mu kolegi.

– Nie jestem wybrakowany! – wyjaśnił Lupo, wywołując stłumione prychnięcia u współroz-mówców. – Mam sprawnie działający kompas moralny.

– To się okaże, jak długo – zaśmiał się Tremboll i obu przegonił ze swojego powozu.

Rozstawili się na dziedzińcu zamkowym, który w tych dniach był dostępny dla wszystkich przyjezdnych i mieszkańców. Z wnętrza przerabianej przez nich wielokrotnie karocy wysunęły się trzystopniowe schodki. Za każdym razem, gdy nadarzyła się sposobność, wynosili z wnętrza trochę sprzętu niezbędnego do zagospodarowania się. Kilka przedziurawionych kociołków, zdatnych jeszcze do naprawy, pięć lub sześć głębokich i płaskich mis, kilka kompletów wyszczebiornych sztućców, a także przyprawy, warzywa i owoce przeznaczone do przygotowywania posiłków, kilka wysłużonych krzeseł oraz składany drewniany stół. Na koniec wystawili kilka rekwizytów, mechanizmy zmontowane własnoręcznie oraz żywe zwierzęta potrzebne do wykonania magicznych sztuczek.

Z okna na pierwszym piętrze wysunęła się kędzierzawa głowa mężczyzny. W ślad za nią ruszyła reszta ciała ukrytego pod strojem błazna. Najpierw wystawił jedną nogę na wąski parapet okienny i strącił doniczkę pelargonii, która rozbiła się z trzaskiem o kamienny bruk, a zaraz potem – drugą. Ramionami napiętymi do granic możliwości chwycił się framugi okna i spoglądając niepewnie w dół, oceniał wysokość. Nie chciał skończyć podobnie jak stłuczona przed chwilą doniczka. Głośny krzyk, który dochodził z sypialni jego niedoszłej kochanki, nie dał

mu jednak wielkiego wyboru. Zrozpaczona i na wskroś upokorzona dziewczka wzywała na pomoc ojca, który lada chwila mógł wpaść do środka z mieczem gotowym do ataku, tak ostrym, że bez trudu przeciąłby go na pół.

Gdybym tylko umiał uważnie słuchać, skarcił w myślach samego siebie. Gdybym miał w sobie tyle cierpliwości, by wysłuchać innych do końca, z pewnością nie byłoby mnie tutaj. Nie, świętowałbym kolejny miłosny podbój w jakiejś ohydnej karczmie, stawiając na prawo i lewo kolejkę wszystkim obecnym w środku klientom. Gdybym postanowił nie ufać na ślepo tej fałszywej wiedźmie, która z pewnością sprzedawała mi eliksir po zawyżonej cenie i zaczęła mówić do mnie językiem nużącym i w całości dla mnie niezrozumiałym, to teraz nie uciekałbym w popłochu z pokoju tej zezowatej dziewczuchy. Do czasu, gdy eliksir działał, jawilem jej się jako rycerz na białym koniu, na zawsze odmieniający jej marny los córki karczmarza. Gdy tylko przestał działać, znów stałem się karłowatym goblinem, którym tak naprawdę się urodziłem. I strój blazna wcale mi nie pomagał. Ani on, ani ta przekłeta peruka... Jednym szybkim ruchem zsunął ją z głowy i odrzucił. To tylko wzmogło dochodzący ze środka wrzask. Jakby dziewczka dopiero teraz odkryła, z kim przez większość nocy się zadawała.

Goblin odepchnął się od parapetu i skoczył. Wpadł na coś z całym impetem, po czym sturlał się na bok. Najpierw ujrzał pstrokaty dywan, potem zaskoczyła go jego ogromna powierzchnia, a w końcu zatrzymał wzrok na parze nieruchomych nóg. Z jego ust wyrwał się osobliwy wrzask, który zawtórował temu wydawanemu od kilku minut przez dziewczkę w pokoju na górze. Zatoczył się kilka razy, jakby był pijany, i uciekł w popłochu. Przerażone oczy przebiegały spod maski okrywającej jego twarz.

Tłum na ulicach, który właśnie dopiero co rozpoczął świętowanie coraz bardziej napierał i porwał go w objęcia. Goblin dał się ponieść, nie mając innego wyboru. Inaczej źle by się to dla niego skończyło, bo zaledwie kilka chwil później w drzwiach karczmy pojawił się ojciec dziewczyny – w podomce, z mieczem kurczowo trzymanym w prawej ręce; nie mógł jednak dostrzec go w gęstniejącym z każdą minutą tłumie. Wściekły ojciec zemstę musiał odłożyć na później, ale jak się okazało – nie na długo, bo trafił na jego ślad na sąsiedniej ulicy. Krążące po mieście przeznaczenie mogło mu w tym przypadku bardzo pomóc. O czym Gritch miał się wkrótce przekonać, boleśnie doświadczając tego na własnej skórze.

Wywołana przez przeznaczenie wiedźma Lilla pojawiła się na rogu ulicy. Opierając się o bramę dziedzińca, uważnie obserwowała wszystkich, którzy skorzystali z zezwolenia na wjazd i zajęchali swoimi wozami na teren miasta. Odrzuciła do tyłu długie, kasztanowe włosy, świadoma wrażenia, jakie robiła na innych. Wiele par oczu natychmiast zwróciło się ku niej z ciekawością. Uśmiechnęła się wdzięcznie sama do siebie, ciesząc się z nadchodzących zysków od przyszłych klientów. Jej błyszczące, zielone oczy na twarzy w kształcie serca lekko się zmrużyły, gdy podnosząc ku słońcu flakoniki wypełnione kolorowymi eliksirami, mamiła przechodniów dźwięcznym głosem:

– Eliksiiry dla każdego i na każdą okazję! – wołała, kręcąc przy tym biodrami zachęcająco. Piegi na jej bladej skórze pod wpływem słońca stały się znacznie wyraźniejsze, co tylko dodawało jej jeszcze większego uroku. Czarodziejka doskonale wiedziała, jak wykorzystać wszystkie atuty swojego ciała, by znacznie zwiększyć sprzedaż i powiększyć zyski. Tego dnia nic nie mogło jej przeszkodzić.

Nie minęło dziesięć minut, a wóz, dotąd po brzegi wypełniony flakonikami stukającymi o siebie w trakcie drogi, był praktycznie pusty, a ona przeliczała zarobione pieniądze.

Los sprawił, że tego dnia przeliczyła się jeszcze raz – i to dość nieoczekiwanie.

– Amatorzy! – prychnęła z rozbawieniem Lilla, obserwując, jak srebrnoniebieska mgiełka o nieco słodko mdlącym zapachu unosi się nad dachem powozu. – Jeśli już się do czegoś zabierasz, zrób to porządnie, jak przystało na smoczą krew. Tu potrzeba większego doświadczenia i odrobiny sprytu.

Postanowiła, że na razie nie podejmie żadnych działań, a jedynie będzie się przyglądać i bacznie oceniać swoje szanse na sukces w obliczu dość miernej konkurencji.

Uważnie obserwowała osoby w ciemnoczerwonych, sięgających kostek butach. Ostatnia informacja ze źródła związanego z pałacową służbą mówiła o niebezpiecznym mężczyźnie, który poruszał się po mieście w tego typu obuwii.

Czarodziejka się obawiała, że zbyt gwałtowna reakcja mogłaby go ostrzec i jednocześnie śmiertelnie nastraszyć. Problem polegał głównie na tym, że o ile wierzyła w rzetelną pracę strażników zajmujących się ochroną członków rodziny królewskiej, o tyle szybko się okazało, że jest to najpopularniejszy rodzaj obuwia w mieście. Nie było rodziny, w której choć jedna osoba

nie miałyby go na stopach. To z kolei sprawiało, że namierzenie mężczyzny w mieście wydawało się niemożliwe. Potrzebowała więcej szczegółów, by móc go. W przeciwnym razie nic z tego nie wyjdzie.

Wielki rozmiar buta mógł być pewną, a może nawet cenną wskazówką do dalszych, owocniejszych poszukiwań. Nie był elementem, który jednoznacznie przesądzał sprawę. Osób o dużym rozmiarze butów w mieście nie brakowało.

Zastanawiała ją jeszcze jedno. Jeśli *miasto, zwłaszcza nocą, ma magiczne właściwości – jest wręcz przeładowane magią – to czy te buty również je posiadają? I na czym polegają ich możliwości? Czy buty potrafią przenieść właściciela wiele kilometrów dalej, gdy stuknie nimi o siebie? Czy pozwalają mu unosić się w powietrzu? A może spełniają najskrytsze życzenia? Albo wręcz przeciwnie – ściągają na głowę właściciela karę, zmuszając go do nieustannego śmiechu, tańca lub marszu prosto przed siebie? A może jeszcze coś innego? Mogę się o tym przekonać tylko w jeden sposób, muszę jak najszybciej znaleźć te buty. To wcale nie jest tak proste, jak mi się wydawało.*

Myśli przelatwały szybko przez głowę Lilli, gdy spacerowała cały dzień po mieście, rozglądając się uważnie dookoła, by nie przegapić charakterystycznych elementów ubioru.

Wąsy i czapka z zielonym piórkiem nie były tak trafnym wyborem, jak początkowo sądziła, gdy przekazywano jej tę informację. Osoby zajmujące się tą sprawą wydawały się jej rażąco niekompetentne.

Postanowiła zdać się na swój umysł i własne siły. Zaciągnęła sznurki srebrzystego płaszczyka z miękkiej, lejącej się tkaniny. Mocniej wciągnęła na głowę kapelusz z szerokim rondem, poprawiła cekinową maskę przedstawiającą oblicze kurtyzany i ruszyła niezwłocznie na dalsze przespziegi.

Srebrnoniebieska mgiełka pozostała daleko w tyle, lecz jej zapach stale towarzyszył Lilli na ubraniu, masce i butach. Substancja, która z niej emanowała, sprawiała, że wszystko dookoła wydawało się barwniejsze, większe, atrakcyjniejsze. Jednym słowem: doskonalsze!

Czarodziejka była zaskoczona tym, że trupa teatralna połączyła swoje siły z cyrkiem i – zamiast występować na dziedzińcu zamkowym – rozpyła w powietrzu zakazane aromaty, obserwując reakcje mieszkańców i zapowiadając niesamowite widowisko, które miało się rozpocząć wraz z nadejściem nocy.

Człowiek w wysokich czarnych butach i z kocią maską na twarzy był tym, na którego Lilla tak długo czekała. Po wymianie zdawkowych uprzejmości, które – jeśli o nią chodziło – w ogóle nie musiały mieć miejsca, wręczył jej tajemniczą przesyłkę. I tak jak szybko się pojawił, tak niespodziewanie zniknął.

Przeczesywała wzrokiem tłum, szukając go. Nigdy więcej już go nie ujrzała. Dostarczyła paczkę pod adres widniejący na opakowaniu, przekonana, że na tym jej rola się zakończy. Nic bardziej mylnego. Kurier obserwował wszystkie jej działania ukryty w pustym domu. Nic nie uszło jego uwagi.

Domownicy wyszli, by dołączyć do bawiących się na ulicy ludzi. Zaczekał, aż znajdą się w takiej odległości, by nie mogli usłyszeć jego głosu i skontaktował się ze swoim zmiennikiem: człowiekiem w czerwonych butach sygnalizujących jego dawno już zapomnianą, morderczą profesję. Kiedyś szkolono takich jak on w Zakonach ukrytych wysoko w górach, niedostępnych dla zwykłych ludzi.

Dostarczył więc paczkę pod właściwy adres; teraz wszystko zależało od tego drugiego. Czy uda mu się dorwać tę wiedźmę, nim znowu zniknie? Trudno powiedzieć. Z pewnością będzie się starał, bo niepowodzenie oznaczało śmierć.

Światło zgasło tak nagle, jakby ktoś zdmuchnął świecę. Natychmiast zapadł nieprzenikniony zmrok. Widzowie zgromadzeni na dziedzińcu zamkowym zbiorowo wstrzymali oddech, oczekując w napięciu na to, co wydarzy się na linii rozciągniętej kilka minut wcześniej nad kociami łbami. Pojawił się na niej młody człowiek w obcisłym kolorowym kostiumie i pelerynie. Swobodnie przechadzał się tam i z powrotem, trzymając świecę w rękach i wisząc kilka dobrych metrów nad ziemią. Rozległy się pełne podziwu okrzyki, a widzowie nie szczędzili mu oklasków.

Występy, jeden po drugim, odbywały się w regularnym tempie, zachwycając zgromadzoną na dole publiczność. Treser lwów – choć żadnego lwa nie posiadał – wyczyniał iście szatańskie sztuczki z udziałem płonącej obřęczy i zebrał równie mocne oklaski, co dwóch przedziwnych jegomościów na jednym z pierwszych na świecie bicykli.

Kobiety z brodą, zmieniające z minuty na minutę obwód w talii, oraz gołębie wylatujące z kapelusza ciekawiły widzów na tyle mocno, że nie rozpraszała się ani nie rozglądali na boki podczas następnych występów. Ich skupienie

było niesłuchanie ważne, bo pozwalało na wykonywanie innych, bardziej ryzykownych sztuczek, w których główną rolę odgrywały zawieszane na nadgarstkach woreczki z pieniędzmi, atłasowe dodatki do ubrań oraz modne w tym sezonie ogrzewacze do rąk czy stóp.

Czerwone buty, których tego dnia w gęstniejącym tłumie wypatrywała Lilla, przyprowadziły ją o szybsze bicie serca. Każdy, kto zachowywał się podejrzanie, był przez nią śledzony godzinami, a niektórych pozbawiła nawet przytomności. Czarodziejka doprowadziła też do aresztowania kilku osób. Parę innych zmusiła do pospiesznego opuszczenia miasta lub do wyznania własnych grzechów i samodzielnego wykonania przydzielonej kary. Do niczego to jednak jej nie doprowadziło. Była w pół drogi do celu, którego nie знаła, i w tym momencie znalazła się na skraju wytrzymałości.

Za jej plecami trupa teatralna kontynuowała występ. Co nieco się obłowili – widziała, jak okradali ludzi w tłumie – co nieco zebrali do podstawianego pod nosy kapelusza, a co nieco zniknęło pod wpływem ich magicznych sztuczek.

Teraz nadszedł czas na zupełnie nową, teatralną opowieść o dziewczynie, która zmieniała swe oblicze równie często, co inne kobiety zdanie. Nic jej nie odpowiadało, nic jej nie obchodziło. Ani uczucia innych, ani ich zmartwienia, ani los, który im zgutowała. Była wyniosła i zimna jak lód!

Dopiero gdy odkryła, że została całkiem sama, próbowała się zmienić, lecz na zmianę było już stanowczo za późno i spotkał ją marny los.

Na ulicę wyszła młoda kobieta. Zaśmiała się i zaklaskała kilka razy, czym przyciągnęła uwagę wszystkich przechodniów.

Na jej nogach niczym wyrzut sumienia tkwiły czerwone, sięgające kostek buty .

Bezszelestnie zsunęła się z łóżka, tak by nie obudzić swojego niespodziewanego gościa. Liczyła w duchu, że zostanie u niej na noc, i przygotowała się na taką ewentualność. Wybrała koronkową bieliznę na specjalne okazje, założyła jedną z najlepszych sukienek, a drugą w kolejności przerzuciła przez oparcie krzesła, uprała pościel i postawiła na parapecie roślinkę, by w razie jego szybkiej ewakuacji nie obyło się bez hałasu.

Teraz siedziała w atłasach, szczypiąc się w oba policzki, by nadać im tak pożądaną, różaną kolor. Istniały inne, znacznie pewniejsze i szybsze metody, ale ona postanowiła w tym przypadku trzymać się tradycji. Urodą nie odstawała za bardzo od przeciętnej. Pucółowata, pozbawiona charakteru twarz okolona prostymi, jasnymi włosami sięgającymi zaledwie ramion, z oczami w bardzo zbliżonym kolorze. Niezła figura, na co dzień ukrywana pod zbyt dużą liczbą obszer-



WITCH.AK

ART

Pracownia Artystyczna

Kinga Witczak



- DIGITAL ART
- GRAFIKA WEKTOROWA
- ILUSTRACJE

- RYSUNEK TRADYCYJNY
- MALARSTWO
- PORTRETY

nych ciuchów. Wysoka po ojcu, krzywonoga po matce. Niezbyt bystra, lecz lubiąca się wtrącać w nieswoje sprawy. Przeczesła rękami włosy, dzięki czemu nadała im tak modny w tym sezonie artystyczny i roztrzepany wygląd. Zsunęła częściowo z ramienia koszulkę nocną, w której spała, i pokazała kawałek gołej skóry. Nie tak duży, by można było uznać, że miała w planach kogoś zbałamucić, ale i nie tak mały, by nie podzielać na męską wyobraźnię. Kiedy zaczął się przy niej zmieniać, poczuła lekkie zdziwienie i uznała, że może to wykorzystać w swoich planach. Zaczekała, aż wszędzie słońce, i odegrała scenę, w której dopiero co się budzi. Przetarła zaspane oczy i zaczęła głośno krzyczeć.

Krzyczała głównie z trwogi, gdyż uświadomiła sobie, że nieznamy odkryje niechybnie jej tajemnicę. Czerwone buty w ogromnym wprost rozmiarze, pasującym do klauna – za którego, prawdę mówiąc, zamierzała się później przebrać – wystawały stanowczo zbyt daleko spod jej łóżka.

On, przebudziwszy się, zawtórował jej równie mocnym krzykiem. Buty – na szczęście – znajdowały się poza zasięgiem jego wzroku, więc nie miał szans ich dostrzec, co ją trochę uspokoiło. Tak nie w pełni ubrany – w kalesonach, z jedną skarpetką na lewej nodze – uciekał przez okno, zbijając przy tym doniczkę, jak przewidziała wcześniej.

Ojciec wpadł do sypialni córki minutę później i zobaczył swoją ukochaną Scylię w dwuznacznej pozie – buty na szczęście były już głęboko schowane – po czym wybiegł na zewnątrz jedynie w kalesonach i z mieczem w dłoni. Łysy mężczyzna o kaprawych oczkach i ogromnym, sumiastym wąsie wzbudził na ulicy niemałą sensację. Tym bardziej że trzymał w dłoni broń i był niemal całkiem rozebrany. Udało mu się dopaść goblina w połowie drogi do miejsca karnawału, a potem skrócić go o głowę. Przez pół dnia myślał, co z nim począć, zanim ruszył, by zebrać resztki doniczki rozrzucone na bruku. Natknął się na dywan z niechcianym lokatorem, który przypadkowo znalazł się w tym miejscu. Ojciec długo się nie zastanawiał. Zamienił jednego denata na drugiego i pozostawił tego pierwszego opartego o ścianę pobliskiego domu. Jego pozycja jednoznacznie wskazywała, że zatracił się w swoich myślach i nie należy mu w żadnym razie przeszkadzać. Pech chciał, że właśnie w tym momencie trupa teatralna rozpoczęła przedstawienie, a magia w rękach aktorów sprawiła, że w mieście ożyło kilka osób. Cyrkowiec, który kilka godzin wcześniej zmarł na zawał serca, teraz otworzył oczy i uważnie rozejrzał się dookoła, próbując ustalić, gdzie

się znajduje. Zrobił krok do przodu, lekko się wahając. Potem założył jedną z masek, które tej nocy rozdawano na każdym rogu, i ruszył tańczyć wraz z innymi ludźmi.

Scylia, której ambicje sięgały tak wysoko, że bez trudu widziała siebie na szczycie – najlepiej jako przełożoną Zakonu Wiedźm – magią parała się od wczesnych lat. Magiczne buty były w całości jej pomysłem. Ubrała się w kostium, założyła maskę, wciągnęła na stopy magiczne buty, które natychmiast dostosowały się do jej rozmiaru, nie zmieniając kształtu. Wiedźma czuła, że w tych butach mogłaby tańczyć bez końca. Wyszła na ulicę, klasnęła kilka razy w dłonie, czym przyciągnęła uwagę obecnych wokół ludzi, i barwnym korowodem poprowadziła ich tam, gdzie według niej powinni się znaleźć: na pustym polu lub w ciemnym lesie. Nie czekało ich tam nic dobrego.

Pierwsze dźwięki muzyki wydawały się tak ciche, niepewne, jakby artysta dopiero stroił instrument albo uczył się grać. Im dłużej muzyka rozbrzmiewała, tym stawała się coraz żywsza i odważniejsza.

Im dłużej muzyka rozbrzmiewała, tym stawała się coraz żywsza i odważniejsza. W końcu była już tak skoczna i wesoła, że nogi same rwały się do tańca.

Nikt nie wiedział, skąd dochodzi ten niesamowity dźwięk ani co jest jego źródłem. Wielu ludzi uznało, że to sprawka miasta, które w ten sposób chciało przyłączyć się do zabawy. Nikt nie wnikał, dlaczego ani jak się to dzieje.

Pozbawieni swojej zbroi, instrumentów i kostiumów, ruszyli za Scylią.

Wszyscy w tłumie jednocześnie zerwali maski i podrzucili je w powietrze.

Nikt nie zauważył ani nie usłyszał, jak z głuchym łoskotem uderzyły o kamienny bruk. Nikt już o nich nie pamiętał. Tak samo jak o czynach, które niedawno były ich udziałem: przekupstwo, morderstwo, uwiedzenie, kradzież, otumanienie i pozbawienie zmysłów. Za to wszystko należało teraz odpokutować, a wykopany w lesie dół wypełniony do połowy lodowatą i mętną wodą świetnie się do tego nadawał.

Scylia, o władniętą muzyką, prowadziła ludzi prosto na jego stromy brzeg. Pomagała im się zsuwać; zachęcała wciąż niezdecydowanych, nie do końca oświeconych melodią. Wpychała do wody tych, którym do tej pory udawało się zostać przy zdrowych zmysłach. Tamtych, całkowicie oświeconych skłaniała do chwytania się za ręce i wskakiwania do dołu w tak powstałych szeregach. Sama zrobiła to jako ostatnia.

Gdy nastał błądy świt, niektórzy ostatkiem sił wydostali się z wody, lecz wielu nie miało tyle

szczęścia i nie przeżyło tej nocy. Niektórzy spośród tych, którzy przetrwali do rana, doznali tak ciężkich urazów, że zostali kalekami do końca życia i wymagali stałej opieki do końca życia.

Porzucone przez kogoś po drodze instrumenty – trąbka, bębenek, skrzypce – leżały smętnie na ziemi. Nikogo nie interesowało, co się z nimi stanie.

Czerwone buty do kostek leżały samotnie na brzegu, jakby czekały na nowego właściciela. Wyszły i teraz z ciekawością czekały, kto je założy, by odmienić swoje życie.

Pech chciał, że trafił na nie cyrkowiec, który zmarł na zawał, a potem został ożywiony dzięki sile miejskiej magii. W butach pomaszzerował prosto na cmentarz, gdzie właśnie odbywała się ceremonia pogrzebowa. Ta ostatnia miała stać

się i jego udziałem, gdyż wpadł prosto do dołu, w którym chwilę wcześniej złożono nieboszczyka.

Grabarze bezradnie wzruszyli ramionami. Nie zrobiło to na nich większego wrażenia – widzieli już niejedno.

Po chwili obaj zmarli zostali przysypani ciężką, czarną ziemią.

To zdecydowanie był czarny dzień w historii miasta.

I wyjątkowo Czarna Maskarada...



Eskadra Pisarzy

Warsztaty pisarskie: Konstrukcja fabuły

**Masz pomysł na historię,
ale czujesz, że fabuła się rozmywa?**

Zastanawiasz się, jak utrzymać tempo, napięcie i emocjonalną spójność opowieści?

„Eskadra Pisarzy – Konstrukcja fabuły” to trzygodzinne warsztaty pisarskie, które pomogą Ci spojrzeć na swoją historię jak na świadomie zaprojektowaną całość. To spotkanie dla osób, które chcą nie tylko pisać, ale rozumieć, dlaczego tekst działa – albo dlaczego przestaje działać.

Nauczysz się, jak:

budować fabułę, która niesie historię od początku do końca • odróżniać wątek główny od pobocznych i nadawać im sens • kontrolować tempo akcji i zaangażowanie czytelnika • tworzyć konflikt wewnętrzny i zewnętrzny • unikać „pustych” rozdziałów i narracyjnych przestojów.

Warsztaty łączą pisanie jako rzemiosło z pisaniem jako sztuką – bez sztywnych schematów, za to z uważnością na styl, intuicję i indywidualny głos autora.

Co otrzymasz po zakupie?

prezentację warsztatową w formacie PDF • materiały do samodzielnej pracy i powrotów w dowolnym czasie.

Cena: 150 zł

Dostęp: natychmiastowy – po zakupie pobierasz pliki na dysk

Zakup: <https://www.nocnaredaktorka.com/product-page/fabu%C5%82a-nagranie-z-warsztat%C3%B3w>

To propozycja dla tych, którzy chcą pisać świadomie, odważnie i z większą kontrolą nad historią. Dołącz do „Eskadry Pisarzy” i pracuj nad fabułą tak, jak pracują nad nią profesjonaliści.

PRZEZNACZENIE

REDAKCJA: MILENA WYSOCKA

KOREKTA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

„Jest różnica między motylem a poczwarką,
a przecież motyl to dawna poczwarka”.

William Shakespeare, *Koriolan*

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?
– Upewniam się tylko, że postąpiliśmy słusznie.

– A co ja mam z tym wspólnego?
– Przez kilka ostatnich tygodni nieźle narozrabiałeś. Wczoraj dyskutowaliśmy na polanie o twojej przyszłości. Obradowaliśmy do późna nad tym, co z tobą zrobić.

– Wybacz, ale niewiele pamiętam. Ledwie rozpoznaję sam siebie. Nie kojarzę się w tej postaci.

– Obiecałam tylko, że dopilnuję twojej ostatniej przemiany. Lada moment wstanie słońce, więc wychodzi na to, że zjawiłeś się o czasie.

– A co robią te wszystkie mrówki wokół mnie?

– To właśnie one, kiedy się zorientowały, ile szkód im narobiłeś, głosowały za najsurowszą karą dla ciebie. Najbardziej żałowały tego, że cię adoptowały.

– Mówisz samymi zagadkami. Czy ktoś, kto wygląda tak jak ja, może rzeczywiście zasługiwać na jakąkolwiek karę?

– Dlatego czekałam całą noc. I się nie zawiodłam. Ktoś z twoim wyglądem nie może być zły. A to, co nawywiјаłeś do tej pory, może szybko zostać zapomniane. Wszystko zależy od tego, jak wypełnisz swoje przeznaczenie. – Papuga spojrzała na motyla i po chwili zapytała: – Z pewnością jesteś spragniony?

Viona nie czekając na odpowiedź, podsunęła Kamilkowi liść ze sporą kroplą porannej rosy. Motyl podszedł do poidełka, przycupnął i delikatnie rozwinął ssawkę. Musiał się nauczyć jej obsługi, bo do tej pory używał tylko żuwaczek.

Wcześniej był mały, krępy, powolny i żarłoczny. Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że w ciągu zaledwie jednej nocy stał się lekki i szczupły, wyrosły mu piękne, modre skrzydełka z jasnobrązową obwódką, a Viona nie może oderwać od niego wzroku.

Papuga się wyprostowała. Rozpostarła majestatycznie po pół metra śnieżnobiałych piór,

które załśniły złościście we wschodzącym słońcu.

– Ale ty jesteś piękna! – zachwycił się Kamilek.

– Dziękuję. Ty zresztą też jesteś niczego sobie. – Mrugnęła do niego. – Muszę lecieć, ale niebawem wrócę. Rozejrzyj się trochę po okolicy. Na razie nic ci nie grozi. Ci, co mieli nas zobaczyć razem, już nas widzieli.

Kamilek chciał jeszcze o coś zapytać, lecz Viona wzniosła się w powietrze i zniknęła w koronach drzew. Pochylił się nad liściem i jeszcze raz zaciągnął łyk orzeźwiającej wody. Zatrzepotał skrzydełkami i chwiejnym lotem ruszył na drugi skraj polany.

Zahipnotyzowany mnogością zapachów i nieograniczoną przestrzenią nie zauważył pajęczej sieci. Lepkie niteczki pochwyciły go i przylgnęły do jego ciała.

– Hi, hi, hi! Witaj mój śliczny. – Kamilek usłyszał czyjś głos. – Taki łakomy kąsek na dzień dobry nie trafia się zbyt często.

– Kim jesteś? Co się dzieje? Nie rób mi krzywdy!

Na krawędzi pajęczyny pojawił się okazały pajak. Z zadowoleniem zacierał przednią parę odnóży.

– Jestem Edmund. A ty, w mniej sprzyjających dla ciebie okolicznościach, byłbyś moim śniadaniem. Słyszałem jednak wczorajszą debatę na polanie i znam wyrok. Nie taki ma być twój koniec. Zatem muszę cię puścić wolno. Honor jest ważniejszy niż pełny brzuch. Leć Kamilku. Twój czas jeszcze nie nadszedł.

Edmund sprawnie przeplatał niteczki jedna po drugiej i wkrótce uwolnił swojego jeńca. Kamilek cały czas patrzył na niego oszołomiony.

– Właśnie zostałeś moim dłużnikiem – stwierdził pajak. – Mam nadzieję, że jeszcze zdążysz zrobić coś pozytywnego. A teraz zmykaj, zanim zapomnę, czym jest obietnica.

– Dziękuję. Jesteś już drugim stworzeniem, które jest dla mnie życzliwe. Jak wam się odwdzięczę?

– Zdążysz. Pomimo tego, że masz bardzo mało czasu. Zdążysz. Tymczasem bywaj!

Kamilek ponownie rozprostował skrzydełka,

odbił się i odleciał. Postanowił dotrzeć na pobliską łąkę. Widział cudowne kwiaty, które kwitły na zniewalający niebieski kolor. Czuł zapach dzwonków. Z każdym pokonanym metrem ogarniało go coraz większe upojenie. Wreszcie dotarł do celu, przysiadł na zwisającym kwiatku i z rozkoszą namacał pączek pełen pożywnego nektaru.

– Wyglądasz, jakbyś pół dnia spędził na kruszczyku. Pokaż no oczy, bo chyba nieźle cię wzięło.

– Przepraszam. Kim jesteś?

– Hi, hi. Nowy na łące? Nigdy dotąd nie widziałam takiego owada. Zgubiłeś się?

– Nie wiem, czy się zgubiłem. Jestem tu pierwszy dzień. Wiem za to, że te kwiaty mają tak niesamowity zapach, że musiałem tutaj przylecieć.

– Czyli to nie вина narkotycznych oparów kruszczyka – westchnęła. – Miałam nadzieję, że go znalazłeś, bo chętnie bym sobie przypomniała jego smak. Jestem pszczoła Ambrozja i uwielbiam pyłek z wszystkich kwiatów. – Przysiadła obok Kamilka i tęsknie rozejrzała się dookoła. – Wiesz? Nostalgia to chyba taka dziwna choroba. Czasami jestem zaniepokojona, a czasami smutna. Kruszczyk pomaga mi nie popaść w depresję.

– Nie znam kruszczyka, ale może spróbuj dzwonka. Jak dla mnie jest obłądny. – Kamilek uśmiechnął się uroczo.

– Obłądny? W sumie jest całkiem podobny do kruszczyka. A co mi szkodzi!

Ambrozja okazała się fantastycznym kompanem. I do upajania się pyłkiem, i do żartów, i do rozmowy. Kamilek nie zwrócił nawet uwagi, jak wieczór powoli zepchnął słońce za widnokrąg, a mrok zaczął ogarniać łąkę. Nie zauważył również tego, że w międzyczasie pszczoła się ulotniła, zapewne w poszukiwaniu upragnionego kruszczyka. Wstał, rozprostował skrzydełka i postanowił wrócić na polanę. Tam, gdzie miał się spotkać z Vioną. Gdy wreszcie dotarł na miejsce, kakadu już na niego czekała.

– Jesteś w końcu.

– Rozglądałem się za twoim gniazdem. Nie pomyślałem o schronieniu na noc. Czy mógłbym ci towarzyszyć? Jestem malutki i raczej nie zabiorę ci zbyt dużo miejsca.

– Oczywiście, że możesz. My, papugi, nie wijemy gniazd jako takich. Mieszkamy, to znaczy ja mieszkam, w dziupli. Nie ma tu innych papug. Jestem jedyna w tej okolicy. Chodź, opowiem ci o tym.

Po chwili dotarli na skraj polany. W wysokim klonie, tuż pod jego wierzchołkiem, Viona miała swój dom – starą dziuplę, którą zaadaptowała po mieszkającym tu wcześniej dzięciole.



– Usiądź wygodnie i słuchaj. Mam nadzieję, że się wynudzisz. Nasz gatunek pochodzi z bardzo daleka, z wyspy Ternate. Tam przyszedłem na świat. Podobnie jak ty, wyklutłem się z jajka, tylko sporo większego. Po trzech miesiącach opuściłem gniazdo, żeby żyć samodzielnie. Niestety, większość papug nie ma łatwego życia. Jest na tej planecie istota, która chce nami władać, a ja przez własną nieuwagę dostałem się do niewoli. Dla tej istoty nie ma nic ważniejszego niż, jak ona to nazywa, pieniądź.

– Co to za istota?

– Człowiek. Okrutna, samolubna, rządna władza i bezlitosna istota. Tylko takich spotkałam w swoim życiu. Zostałam sprzedana przez jednego okrutnika innemu okrutnikowi. Próbował mnie tresować, nauczyć ludzkiej mowy, trzymał w małej klatce i karmił podłym jedzeniem. Gdy pewnego razu w mieszance obiadowej podał mi sałatę, szpinak i owoce awokado, bardzo ciężko zachorowałam. Tak ciężko, że niemal umarłam. Człowiek, myśląc, że nie żyję, po prostu wyrzucił mnie na śmietnik. To inne ptaki zaopiekowały się mną i uratowały przed strasznym losem. Wtedy obiecałam sobie, że będę stronić od ludzi tak bardzo, jak to tylko możliwe. Dlatego mieszkam tutaj, na tej leśnej polanie, z dala od ludzkich siedlisk.

– Teraz pewnie jesteś szczęśliwa?

– Chyba tak. – Viona zamyśliła się na chwilę. – Chociaż, pomimo że tworzymy tutaj z innymi zwierzętami zgodną społeczność, bardzo brakuje mi mojej rodziny. Jestem tu jedyną papugą, ale minęło już tak wiele czasu, żeby chyba się do tego przyzwyczaiłam. – Wiele czasu?

– No tak. Czas w moim i twoim przypadku ma zupełnie inne znaczenie. Ja żyję już dwadzieścia lat. Ty, w tej postaci, zaledwie jeden dzień. Kilka miesięcy temu pojawiły się u nas dwa modraszki. Jedyne, jakie widziałam w życiu. Chyba się zgubiły. Twoja mama złożyła jajeczka w pobliżu mrowiska i razem z twoim tatą odlecieli nad łąkę. To wtedy zaczęło się twoje życie.

– Czyli mam braci i siostry! – Kamilek wyraźnie się ożywił.

– Muszę cię zmartwić. Jesteś jedyny. Sok, którym jako larwy imitowaliście zapach mrówek, zmylił je na tyle, że uznały was za osobników swojego gatunku. Tylko ty byłeś na tyle silny, sprytny i uważny, żeby cię nie rozpoznały.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że twoje rodzeństwo zostało spostrzeżone i zjedzone przez gospodarzy mrowiska.

– To straszne. A co się stało ze mną?

– Z tobą mrówki miały problem. Nie poddałeś się. To ty żywiłeś się ich jajeczkami i larwami. Jadłeś po cichu, niezauważenie i bardzo dużo. Tak dużo, że niemal wyeliminowałeś ich młode pokolenie. To właśnie nad tym debatowaliśmy, zanim się pojawiłeś.

– Nie rozumiem. Nad czym?

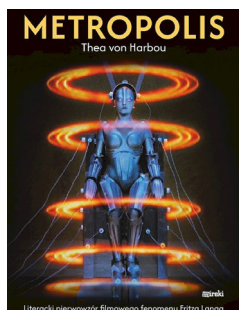
– Nad tym, żeby pozwolić ci na ostatnią przemianę. Przekonałam ich, żeby poczekał. Stałeś się pięknym motylkiem i większość uczestników debaty ostatecznie przyznało mi rację. Cieszysz oczy swym widokiem. Jesteś grzeczny i delikatny. A teraz śpij już. Kto wie, co przyniesie jutro?

Kamilek przez długi czas nie mógł zmrużyć oczu. Myślał nad tym, o czym opowiedziała mu papuga.

O ludziach.

O przemianie, mrówkach, zadośćuczynieniu. O przeznaczeniu.

Metropolis



Autor: Thea von Harbou

Tłumaczenie: Witold Zechenter

Wydawnictwo: Oficyna Wydawnicza Mireki

Oprawa: miękka

Formaty: druk

Gatunek: science fiction

Data premiery: 2025

Gdzie kupić? Mega Książki <https://bit.ly/4pTTpa9>

„Metropolis” to książka, która stała się preludium dla wielkiego filmowego dzieła Fritza Langa. Żona

reżysera stworzyła ponadczasową i niepokojącą historię w gatunku science fiction, której aktualność

przyprawia o dreszcze. Motto książki, które brzmi: „Pośrednikiem między mózgiem a rękami musi być serce”, niesie jednak w sobie nadzieję, że lepsze jutro jest możliwe, a świat maszyn nie zdominuje świata ludzi. Warto dodać, że film „Metropolis” zaliczany jest do klasyki filmów antyutopijnych – to jeden z najbardziej spektakularnych i najdroższych filmów w dziejach kina niemego. Treść książki dopełniając fotosty z filmu.

Poranek przywitał go niesamowitym harmidrem.

– Co się stało?

Wyjrzał z dziupli. Przy zwałonym pniu drzewa zebrali się mieszkańcy polany. Wszyscy słuchali przerażonego derkacza, który, wymachując energicznie skrzydłami, chaotycznie o czymś opowiadał. Kamilek sfrunął bliżej, zaintrygowany zamieszaniem.

– Nad rzeczką, niedaleko naszej polany, pojawili się dwunożni – terkotał derkacz. – Musimy uważać. Dwa dorosłe osobniki z jednym pisklęciem. Chyba planują się tu zagnieździć!

– Ludzie są źli i okrutni. Ale warto sprawdzić, co tutaj robią. Na razie nie ma powodu do paniki. – Viona próbowała stonować emocje.

– Jak to nie ma powodu do paniki? – hysterizował derkacz.

– Spokojnie. Mam doświadczenie w kontaktach z ludźmi. Polecę tam. Kamilku, chciałbyś mi towarzyszyć?

– Oczywiście. To wspaniała okazja, żeby się jeszcze czegoś nauczyć!

Nad nieśmiało szemrzącym strumykiem przecinającym łąkę niedaleko polany rozłożyła swój piknik ludzka rodzina. Koło koca, na którym siedziała kilkuletnia dziewczynka, stały dwa leżaki. Siedzieli na nich dorośli, rozkoszując się ciszą i wrześniowym słońcem.

– Wyglądają całkiem przyjaźnie – zauważył Kamilek.

– Ja jednak zostanę tutaj i poprzyglądam im się z daleka. Ale ty, jeśli masz ochotę, możesz podlecieć do nich bliżej. Tylko uważaj na siebie – dodała papuga po namyśle.

Kamilek chwiejnym lotem zbliżył się na tyle, żeby móc dosłyszeć, o czym rozmawiają dwunożni. Przysiadł na kwiatku dzwonka i przypatrywał się ludziom. Kobieta czytała książkę. Mężczyzna delektował się świeżym chlebem, przegryzając go aromatyczną frankfurterką. Nagle dziewczynka spojrzała w stronę motyla. Wzdrygnął się, ale po chwili się uspokoił, uświadomiwszy sobie, że go nie zauważyła.

Usłyszał pytanie dziecka:

– Mamusi, co to za dziwne kwiatki?

Kobieta przerwała lekturę.

– To są dzwonki, kochanie. Chcesz się dowiedzieć, skąd się wzięły?

– Taaak! – Ucieszyła się dziewczynka.

– Dawno temu, gdy po ziemi jeszcze chodzili bogowie, żyła wśród nich piękna bogini o imieniu Wenus.

– Jak ładnie! – Oczy dziecka rozświeciła radość

– Prawda? I ta bogini nosiła ze sobą lustro, które odbijało wszystkie piękne rzeczy. Pewne-

go dnia, gdy spacerowała wśród wysokich traw, zgubiła je. Poprosiła wtedy swojego przyjaciela, Amora, żeby je odnalazł.

– I co? Udało się? – Dziewczynka zaczęła się martwić.

– Niestety nie. Ubiegł go pewien pasterz, który za nic w świecie nie chciał oddać swojego wspaniałego znaleziska. Gdy Amor w końcu go spotkał, próbował odebrać boską własność. Doszło do szarpaniny. Żaden z nich nie chciał odpuścić. W końcu lustro upadło na ziemię i rozbiło się na tysiące maleńkich kawałeczków.

– Ojej! To smutne!

– Chyba tak. Ale dzięki temu mamy te cudowne kwiatki, które powstały ze szkiełek rozbitego lustra. To własne są dzwonki. Podoba ci się ta historia?

Kamilek przysłuchiwał się z zainteresowaniem.

Może ci ludzie nie są tacy źli, skoro potrafią tak pięknie opowiadać?

Postanowił zaryzykować i zbliżyć się do nich. Czy dziecka rozświeciła radość i poleciał wprost w kierunku pikniku.

Przysiadł leciutko na ramieniu dziewczynki i wyszeptał:

– Wcale nie jesteście tacy paskudni, jak mówiła Viona.

– Ojej! Tatusiu, spójrz, jaki kolorowy motylek!

– Tylko go nie wystrasz, córeczko. Jeśli się nie mylę, to modraszek telejus. Dawno niewidziany w tej okolicy. Co tu robisz mój malutki?

Kamilek próbował coś odpowiedzieć, ale wzruszenie zatkało mu ssawkę. Przeniósł się tylko na pobliski kwiatek i postanowił potowarzyć ludziom, skoro są tacy mili.

– Te motyle żyją tylko przez dwa dni, dlatego powinniśmy zostawić je w spokoju, żeby nacieszyły się każdą chwilą swojego ulotnego życia.

Tylko dwa dni? – zmartwił się Kamilek. – To dlatego Viona mówiła, że mam niewiele czasu. Dlatego też Edmund darował mi życie. Chyba powinienem im podziękować. Dwa dni. Więc takie jest moje przeznaczenie...

Powoli zbliżał się wieczór. Kamilek towarzyszył ludziom do końca pikniku, wsłuchując się w ich rozmowy. Ten dzień był inny od poprzedniego. Upojenie się nektarem z ambrozją było czymś zupełnie odmiennym niż smakowanie obecności ludzi. Dobrych ludzi.

Gdy tata zarządził powrót i spakowali się już do samochodu, a światła lamp rozświeciły w zapadającym zmierzchu, pomachał im na pożegnanie i postanowił wrócić na swoją polanę.

Z każdą minutą czuł się coraz słabszy. Czuł, że chyba nie da rady dolecieć do celu. Przysiadł na wielkim liściu i spróbował zawołać Vionę.

Lecz jego głos był zbyt cichy, aby pokonać dzielący go od dziupli papugi dystans.

Usłyszał go tylko przechadzający się w pobliżu Edmund.

I jeszcze ktoś, kto ślamazarnie tropił pajaka.

– Hi, hi, hi! Witaj mój śliczny. Nieźle się spisałeś. Chyba wszyscy zdążyli cię polubić! Można powiedzieć: misja skończona.

– Edmundzie, jestem taki słabiutki. To były piękne dwa dni! Żal, że to się tak kończy, ale dziękuję wam za wszystko. Chciałbym jeszcze tylko pożegnać się z Vioną. Lecz boję się, że jednak nie zdążę.

– Nie przejmuj się. Przekażę jej twoje słowa.

– Chyba jednak nie! – Żaba, która tropiła Edmunda, podpełzła po cichu na odległość młasińnięcia jęzorem. – Smacznej kolacji! – wrzasnęła sama do siebie i wystrzeliła język w kierunku pajaka.

Motyl, w przypływie desperacji, ostatkiem sił rzucił się przed siebie i przeciął tor ataku. Lepki ozór owinął się wokół jego wątłego ciała i zgniótł je doszczętnie. Lekkie skrzydełka rozsypały się na miniaturowe kawałeczki i zostawiły po sobie drobinki niebieskiego pyłku. Kamilek w mgnieniu oka zniknął w żabiej paszczy.

Przerażony Edmund skrył się między liśćmi i ze zgrozą obserwował, jak zadowolony z siebie płaz nieśpiesznie oddala się w stronę bagienka.

– Dziękuję, Kamilku. Spłaciłeś swój dług z nawiązką – szepnęła rozdygotana.

Z niewielkiej odległości cały incydent obserwował również mały oddział mrówek.

– Hu! Ha! Dostał za swoje! – krzyknęła z zadowoleniem najmłodsza z nich.

– Trzasnąłbym cię w ucho, gdybyś tylko je miała – zestrofował ją dowódca zastępu. – Czasem możliwość obserwowania czegoś pięknego wymaga poświęcenia. My przeżyjemy, ale kto wie, kiedy naszą polanę odwiedzi kolejny tak śliczny, Kamilek...

– Oj tak! – przyznała kakadu Viona, która nie zdążyła pojawić się w porę, aby zapobiec tragicznemu końcowi małego przyjaciela.

Wiele w życiu widziała, ale i tak nie potrafiła powstrzymać łzy, która zakręciła się w kąciку jej oka i powolutku popłynęła po policzku.

– Czasami przeznaczenie ma dla nas okrutny koniec.

MARIUSZ OLEJNICZAK

Autor opowiadań z gatunku szeroko rozumianej fantastyki, choć literatura obyczajowa też nie jest mu obca. Zachęcony do pisania przez żonę, Agnieszkę, pierwszą recenzentkę wszystkich tekstów. Uwielbia czytać, przede wszystkim komiksy, których jest maniakiem fanem. Wolne chwile spędza na podróżowaniu z rodziną. Uwielbia ciszę, chyba że jest zakłócona dźwiękami tzw. „ciężkiej muzyki” ze wskazaniem szczególnie na heavy metal.

Laureat konkursów literackich: Przemyska Brama (wyróżnienie za opowiadanie „San Rideau” w 2023 roku, I m. za opowiadanie „Masyw Petrosa” w 2024 roku; II m. za opowiadanie „Czarny dąb” w 2025); Piękno Spadających Liści (II m. w 2024 roku za opowiadanie „St(r)ach”, pierwsze miejsce w 2025 roku za opowiadanie „Jadwiga”); Festiwal im. Grudzińskiego (wyróżnienia za opowiadania „Szukam Pastora” w 2023 roku, za „Jeden dzień” w 2024 roku i za „To stary dom” w 2025 roku). Opowiadanie „Klub 27” zostało opublikowane na stronie internetowej Uranii, jako wyróżnione w konkursie „Fantasia Copernicana”. Opowiadanie „O czym śpiewa słowik?” opublikowano w antologii „Konstelacja Grozy: Spaczeni Lovecraftem”.



„Fragmentarium” to idealna przestrzeń, w której Twoja książka może zaistnieć, zwłaszcza jeśli jesteś debiutantem szukającym profesjonalnej redakcji, korekty i poważnego potraktowania Twojej historii.

Oferowane pakiety promocyjne (START, PROMOCJA, PREMIUM) są właśnie po to, by zmaksymalizować tę obecność – od samego opublikowania fragmentu, aż po pełną recenzję i aktywną promocję w mediach społecznościowych.

Jeśli masz już wybrany pakiet, chętnie pomogę Ci doprecyzować wszelkie pozostałe szczegóły dotyczące naszej współpracy i warunków publikacji. Jeśli chcesz poczytać więcej o pakietach, zajrzyj na [stronę „Fragmentarium”](#).

KIESZEŃ W PRZESTRZENI

ROZDZIAŁ 2.

REDAKCJA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

KOREKTA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

Addela nie miała czasu, by skupiać się na stanie swojego zdrowia. Wiedziała, że za siedem dni będzie spokojnie tworzyć przestrzeń w alternatywnej, słonecznej rezydencji w Elizjum, gdzie wszelkie niedostatki zdrowotne znikną, a ona będzie pełna sił witalnych. Służba przyjęła jednak nadmiar energii arystokratki z lekkim przerażeniem. Addela nie zjadła śniadania w pokoju, tylko w saloniku na dole. Zazwyczaj Aleksandra musiała je dostarczać do jej łóżka, koniecznie na srebrnej tacy z delikatnym roślinnym ornamentem na brzegach. Oj tak, to była jej ulubiona taca. Dziś nie było na to czasu. Zresztą na siedząco lepiej się myśli, a Addela miała przed sobą nie lada zadanie. Delektując się jajecznicą z boczkiem, zastanawiała się, jakie pierwsze kroki poczyniłby jej wymyślony detektyw Roger – bohater pisanych przez nią książek detektywistycznych. Wyobraziła sobie, że ten niezwykle przystojny dżentelmen z złotym wąsikiem siedzi tuż koło niej, popijając herbatę.

Gdy tylko zaspokoiła pierwszy głód i uporała się z atakiem kaszlu, poleciła przynieść sobie papier i długopis, po czym przystąpiła do działania. Co prawda, dostała tydzień na znalezienie swojego mordercy, ale żywiła gorącą nadzieję, że załatwi tą sprawę co najwyżej w trzy dni.

– Aleksandro, przynieś mi, proszę, dwie herbaty – wydała polecenie.

Młoda służąca jak zawsze kręciła się wokół arystokratki. W zasadzie to był jej główny i zarazem jedyny obowiązek: przewidywać potrzeby kobiety i spełniać je natychmiastowo. Wiele rytuałów było powtarzalnych, jak na przykład utrzymywanie absolutnej ciszy w rezydencji aż do momentu, gdy Addela się obudzi, czyli tak mniej więcej do południa. Zawsze też miała na podorędziu kartki i długopis, gdyby do jej pani przyszła wena i należałoby spisać kolejne przygody detektywa Rogera. No i oczywiście podawała bezustannie herbatki, soki, kawy i wszystko, co płynne. Nie było to regułą, że kobieta prosiła o dwie, więc nieco skonsternowana służąca zapytała:

– Czy aby na pewno przynieść dwie?

Addela przesadnie powoli uniosła powieki, wyduła lekko dolną wargę i spytała:

– Czy wyglądam, moja droga, na kogoś niespełna rozumu?

Aleksandra najwyraźniej nie była pewna, czy jej pracodawczyni oczekuje szczerzej odpowiedzi, więc milczała, przygryzając wargi. Bez efektu. Uniosła długopis i popukała się w brodę. Nadal nic nie wymyśliła.

– Tak, dwie poproszę – potwierdziła Addela i wróciła do pisania.

Najwyraźniej służba widziała w niej wariatkę, ale nie zamierzała się nad tym dłużej pochylać. Miała zadanie. Ona i detektyw Roger muszą wspólnie rozwiązać zagadkę.

Rozłożyła papier i zastanowiła się, kto tak naprawdę chciałby się jej pozbyć. Długopis zawiśł tuż nad białą kartką. Nie było prostym zadaniem zastanawiać się nad tym, kto mógłby jej nie lubić. Dla Addeli było to o tyle trudniejsze, że miała o sobie bardzo wysokie mniemanie. Uważała siebie za niezwykle przyzwoitą kobietę o wielkim sercu. Ciężko było przyznać przed samą sobą, że miewała humory. Albo wprost, że zazwyczaj



miewała humory, a tylko czasami humor jej dopisywał. Trochę także marudziła. W zasadzie marudziła do wszystkich o wszystkim, a głównie o tym, jak doskwiera jej to czy tamto. Ale taka była przecież prawda. Los zesłał na nią dziesiątki chorób i otyłość. Nie miała na to żadnego wpływu. Raz podsłuchiwała, jak kucharka beczelnie stwierdziła, że Addela specjalnie wyolbrzymia swój stan, by się nad nią użalano. Musiała przyznać, że ją to zabolalo. Traktowała kucharkę jak drugą matkę i pozwoliła jej pracować, mimo że ta już dawno powinna być na emeryturze.

Długopis zazgrzytał po kartce i jej biel przyczerniły słowa: „1. Kucharka Agnes. Powód:...” No i tutaj nie wiedziała, co mogłaby dopisać. Być może kobieta liczyła, że Addela zapisała jej coś w spadku, co rzeczywiście było prawdą; albo miała już dość marudzącej starej panny i postanowiła ją otruć. Miałaby ku temu sposobność, wszak to ona przygotowywała posiłki, całkiem bez nadzoru. Spojrzała w stronę krzesła, na którym wyobrażała sobie detektywa Rogera. W tym momencie wyobrażenia podpowiadała jej, że patrzy na nią współczującymi oczami i kładzie męską dłoń na jej dłoni w geście pocieszenia.

Trucizna. Taką przyczynę swojej śmierci wydedukowała, gdy tylko się przebudziła. Nic innego nie pasowało. Nie miała przecież żadnych obrażeń na ciele. Zero krwi wokół. Jeżeli nie była to śmierć z przyczyn naturalnych, to musiało to być otrucie.

– Herbata dla panienki – zaczęła Aleksandra, stawiając przed Addelą piękną filiżankę. – A gdzie postawić drugą? – dodała nieco zakłopotana.

– Tutaj. – Kobieta wskazała ręką przestrzeń przed niewidzialnym Rogerem.

Dziewczyna spełniła jej prośbę i stanęła obok.

– Możesz odejść, Aleksandro. Przypilnuj obiadu. Niech go podadzą za godzinę.

– Oczywiście, panienko. – I po chwili już jej nie było.

Addela nie mogła nie zauważyć, że dziewczyna bardzo chętnie i szybko się od niej oddalała. A może już popada w paranoję. Tak czy inaczej ktoś próbował ją zabić. Potwierdził to Anton de Smigiel, przedstawiciel Komisji do Spraw Nielegalnych Spadochroniarzy, czy jakoś tak. A więc to nie ulegało wątpliwości. W krainie umarłych raczej nie mylą się w tych kwestiach. Kobieta wzięła łyk herbaty i od razu skarciła się za to w duchu. Przecież na razie na liście jako potencjalnego zabójcę ma wpisana jedynie kucharkę Agnes, więc ta najpewniej spróbuje ją ponownie otruć. Tylko jeśli Addela była w tym wymiarze „warunkowo”, to czy mogłaby ponownie umrzeć? Pewnie tak. I zapewne kucharka wróciłaby do swojej misji. Ale czy nie skróciliby jej wtedy czasu? Za dużo tych niewiadomych. Zerknęła w stronę detektywa Rogera. Ten również się w nią wpatrywał. Jakiż on jest przystojny, pomyślała. Addela nie potrafiła się skupić, wyobrażając sobie szczegółowo kolor jego oczu, zakręt wąsa czy idealnie białe kołnierzyk przy perfekcyjnie podciętych włosach.

– Musimy się zająć naszą zagadką, moja droga. – Wyimaginowane pełne usta detektywa sprowadziły ją za ziemię.

– Tak, tak... – bąknęła.

Już po chwili rozległy się pospieszne kroki.

– Czy panienka coś mówiła? – zaszczebiotała Aleksandra.

Addela teraz naprawdę potrzebowała chwili spokoju i głos dziewczyny ją drażnił.

– Nie, dziękuję. Mówiłam do siebie – skwitowała arystokratka i od razu pożałowała swoich słów, gdy zobaczyła zdziwione spojrzenie służącej.

Teraz już na pewno uważała pracodawczynię za wariatkę.

– A w zasadzie... potrzebuję cię. Przynieś mi, proszę, ciasteczka cytrynowe, bo o pustym żołądku gorzej się myśli.

Gdy przekąska pojawiła się przed kobietą, ta zabrała się solidnie do pracy. Uznała, że ktoś, kto chciał ją zabić, najpewniej liczył na spadek. Wątpiła, by była to chęć zemsty. Treść jej testamentu znali tylko ona i jej mecenas, lecz nie mogła wykluczyć, że ten ją ujawnił. A jako że sama nie posiadała dzieci, rozdysponowała wszystko pomiędzy swoich najbliższych. Teraz już nie wiedziała, czy tak powinna ich nazywać. W pierwszej kolejności przekazała nieruchomości wujostwu. Pieniądze i fundusze rozdzieliła pomiędzy służbę, która pomimo jej narzekań była z nią i trwała przy niej, nie zważając na jej dość trudny charakter. I tak, rzeczywiście Agnes dostała najwięcej, kolejno stajenny John i kamerdyner Feliks, którzy służyli temu domowi, gdy ona jeszcze była mała. Aleksandra i niedawno zatrudnione praczki, pomoc domowa i ogrodnik także zostali uwzględnieni. Wszystkie księgi, w tym białe kruki, podarowała bibliotece w Londynie. Czy o czymś zapomniała? A tak! Cała jej biżuteria miała zostać spieniężona i oddana na lokalny dom dziecka. Dodała także wpis o sporym datku dla doktora Meringa.

Kurza noga, rzeczywiście lista podejrzanych rozrastała się w zawrotnym tempie. Reszty wpisów w testamentie nie potrafiła sobie przypomnieć. Będzie musiała odwiedzić kancelarię, sprawdzić dokładnie, co komu postanowiła przekazać, i uzupełnić zapisy o wymóg sekcji zwłok w celu ustalenia przyczyn zgonu. A jeśli pojawią się czynniki zewnętrzne, testament zostanie unieważniony i...

No właśnie, komu wtedy powinna powierzyć swój majątek? Komu mogłaby zaufać? Poczula, że z powodu całego tego smutku nieubłagane zbliża się ból głowy.

Wstała i podeszła do okna. Codzienna mżawka sprawiała, że cały ogród wyglądał, jakby obleczono go szarą folią. Wróciła myślami do Elizjum i promieni słońca. Anglia jest smutnym krajem, pomyślała, a potem sama siebie skarciła. To nie Anglia jest smutna, tylko ona. Naraz rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili pojawiła się w nich rumiana buzia Aleksandry.

– Pani Addelo, pani wujostwo właśnie przyjechało – oznajmiła z uśmiechem sugerującym pewność, że Addela także się ucieszy. Ta jednak była zaskoczona.

– Tak bez zapowiedzi? – pisała.

Służąca wstrzymała oddech. Już trzeci raz w ciągu całego przedpołudnia wszystko odbywało się inaczej niż zwykle. To był zdecydowanie inny dzień niż co dzień. Teraz patrzyły na siebie nawzajem i żadna nie wiedziała, co powinna zrobić. W końcu głos zabrała Addela.

– Zaprowadź ich do biblioteki i powiedz Agnes, że mamy dwa dodatkowe nakrycia do obiadu. A! I przypomnij jej, że ciotka jest uczulona na orzechy – oznajmiła gospodyni, po czym wzięła spory łyk herbaty.

Dziewczyna jeszcze chwilę poczekała w przejściu, po czym zniknęła.

– Detektywie, powinnam ich zapewne przesłuchać w taki sposób, by nie wiedzieli, że są przesłuchiwni? – zamruczała pod nosem.

Wyobraziła sobie, jak Roger twierdząco kiwa głową i podkręca i tak już nieźle zakręconego węża.

– Tylko jak? Przecież nie zapytam ich, czy chcieli mnie zabić... – wyburczała, na szczęście szeptem, bo od progu rozległo się ćwierkanie ciotki Felicji.

– Kochanieńko moja, ta twoja pokojówka chciała nas odeskortować do biblioteki. Wyobrażasz to sobie? Jaka to niepoważna dziewczyna! Kto to widział? – prowadziła swój monolog piskliwym głosem ciotka Felicja do wtóru z wujkiem Markiem.

– Przecież w bibliotece nie masz barku, a ja liczyłem na łyczek szkockiej. Bo jeszcze zostało troszeczkę od mojej ostatniej wizyty, prawda, kluseczko?

Addela natychmiast zamarła. No to by było na tyle, jeśli liczyła na chwilę samotności przed rozmową z nimi. Za ich głowami stała biała niczym ściana Aleksandra, unosząc drżący palec, jakby chciała zgłosić się do odpowiedzi. Addela tylko skinęła uspokajająco głową w jej kierunku i nakazała kiwnięciem ręki iść do kuchni. Później z nią porozmawia. Co tu dużo mówić, wujostwo czuło się w rezydencji jak u siebie. No właśnie. Może pojawili się, by sprawdzić, czy żyje, czy już odeszła w zaświaty. Zmrużyła złowieszczo brwi. To dość prawdopodobne, choć nie wydają się zdziwieni tym, że jeszcze oddycha.

– Usiądźcie, proszę – zaczęła oficjalnie, a dwójka gości od razu skierowała na nią baczne spojrzenia.

Nigdy do nich tak nie mówiła. Zawsze grzecznie milczała, nie przejmując inicjatywy, albo tylko kiwała głową, snując w umyśle najróżniejsze historie do swoich powieści. Zaskoczona ciotka powoli zdjęła swój monstrualny kapelusz z piórem pawia wetkniętym pod wstążkę i odłożyła go na sofę. Następnie sama usiadła obok niego. Była to potężna kobieta, dobiegająca sześćdziesiątki. W przeszłości podobno uchodziła za prawdziwą piękność. Teraz co prawda nadal zachwycała, ale najbardziej pewnością siebie. Jej twarz, zazwyczaj obojętna, w tym momencie zdawała się zaszokowana. Półokrągłe brwi namalowane brązową kredką podjechały praktycznie pod samo czoło, komponując się idealnie z poprzecznymi zmarszczkami. Usta, z natury ściśnięte, skupiły się jeszcze mocniej, co wydawało się prawie niemożliwe w ich przypadku. Wujek Mark jednocześnie wodził wzrokiem pomiędzy żoną a Addelą i nalewał sobie szkockiej do szklanki. Było to nie lada wyzwanie, ale nie uronił ani kropli cennego trunku. Nie musiał nawet patrzeć, by wiedzieć, kiedy przerwać nalewanie. Odstawił butelkę i usiadł koło rozłożystej fioletowej sukni małżonki, zdając sobie doskonale sprawę, że nie wybaczyłaby mu, gdyby usadowił się choć na milimetrze materiału.

Addela zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna uciec. Atmosfera, która właśnie zagościła w ich trójkącie, była niespotykana i niewygodna jak te buty na delikatnym obcasie, które założyła

ostatnio i które obtarły jej skórę do krwi. Buty dało się jednak zdjąć, a zniknąć nie potrafiła. Gdyby miała taką moc jak Anton i mogła się odesłać choć na chwilę do Elizjum...

Zamiast marzyć oznajmiła:

– Aj, przepraszam, że tak oficjalnie! – zaśmiała się nieszczerze. – Chciałam po prostu was elegancko ugościć.

Chyba najgorsze kłamstwo, jakie mogła wymyśleć, padło na żyzny grunt.

– Addelko, ale mogłaś powiedzieć od razu – zaczęła ciotka. – Przecież doskonale wiesz, jakim jestem życzliwym człowiekiem. Z ogromną przyjemnością zacznę z tobą lekcje etykiety i manier. Nie chciałam, abyś pomyślała, że jestem wścibska, ale już dawno doszłam do wniosku, że mogłabyś się co nieco podszkolić z... cóż, z manier. Tak to ujmę – dodała, a po ostatnich słowach aż klasnęła w dłonie, wyraźnie zachwycona tym pomysłem.

Dziewczyna się zamyśliła. Czy ciotka reagowałaby w taki sposób, jeśli dzień wcześniej próbowałaby ją zabić? Zachowanie kobiety wydawało się szczere. Albo była taką dobrą aktorką.

– To może zacznę od uprzejmego pytania, jak wam minęły ostatnie dni? – Dziewczyna pogratiowała sobie w duchu zaradności. Dzięki temu pytaniu dowie się, czy mogli w jakikolwiek sposób mieć wpływ na jej zgon. A wiadomo, że jeżeli ktoś prowadzi śledztwo, to należy w pierwszej kolejności ustalić, co podejrzani robili tuż przed zbrodnią.

Ciotka zmrugała swoje półokrągłe brwi, co zaburzyło nieco ich kształt, i się uśmiechnęła.

– To nie jest najlepsze pytanie na rozpoczęcie rozmowy, moja droga. Najlepiej zapytać o zdrowie. O samopoczucie. A jeżeli wiemy, że u kogoś krucho z tymi dwoma kwestiami, to pytanie jest tym lepsze, wówczas bowiem możemy liczyć na marudzenie. A z marudzenia wywodzą się najlepsze dyskusje. – No i taką odpowiedzią cwane pytanie dziewczyny zostało odbite niczym lotka do badmintona.

– A czy jako drugie mogę zadać takie właśnie pytanie? Jak spędziliście wczorajszy dzień? I może też przedwczorajszy? – zapytała Addela z nadzieją, że może tym razem dowie się czegoś konkretnego.

Felicja ponownie zacisnęła usta. Addela, niczym lustrzane odbicie, zrobiła to samo. Czy wcześniej zwracała uwagę na takie teatralne miny u ciotki?

– Oczywiście – rzekła po dłuższej przerwie starsza pani. – Musisz jednak wiedzieć, że w kwestii tak prywatnych spraw zadajemy pytanie delikatnie, licząc, że druga strona sama z chęcią się wypowie. A jeżeli... – tu uniosła palec zakończony szpiczastym paznokciem – ...jeżeli druga strona milczy, to nie wypada ciągnąć tematu, młoda damo.

Zabrzmiało to jak skarcenie małej dziewczynki za wściubianie nosa w nie swoje sprawy. Czyżby wujostwo miało coś do ukrycia?

– Dobrze, ciociu. Dziękuję za lekcję – powiedziała słodko gospodyni i spojrzała na wujka, który niby powoli, lecz bez przerwy popijał ze szklaneczki, a następnie zwróciła się do niego: – A ty, wujaszku, dobrze się miewasz? – zadała cios z innej strony.

Mark aż podskoczył niczym wywołany do tablicy uczeń. Kilka cennych kropli szkockiej wylądowało na śnieżnobiałej koszuli. Udał, że tego nie widzi.

– A bardzo dobrze, bardzo dobrze, klusieczko – odparł jowialnie i to by było na tyle.

Po chwili ciszy ciotka zaczęła opowiadać plotki na temat swojej sąsiadki, która w ostatnim czasie pozbyła się wszystkich krzewów różanych ze swojego ogrodu. Powodem była zdrada męża, który przez całe lato obrywał codziennie jeden kwiat i, jak się okazało, dawał go swojej kochance. Gdy prawda wyszła na jaw, zdradzona kobieta w szale wściekłości rozkazała zniszczyć wszystkie niewdzięczne róże. I teraz w ogrodzie sąsiadów trwają niesamowicie głośne prace remontowe, na które ciotka reaguje migreną.

– Zatem zamieszkajcie ze mną – rzuciła Addela, zanim zdążyła pomyśleć, co właściwie zaproponowała.

Nagle dwa zaskoczone spojrzenia skierowały się w jej stronę, a ona odpowiedziała tym samym. Może gdy będą blisko, uda się zaobserwować coś podejrzanego, pocieszyła się w duchu. Jakoś wytrzyma.

– Addelko, to bardzo wspaniałomyślna propozycja, z chęcią na nią przystaniemy – potwierdziła szybko Felicja, a Mark jedynie ochoczo kiwał głową.

– Każę posłać po wasze rzeczy, a Aleksandra przygotuje wam sypialnię rodziców – oznajmiła kobieta, po czym chwyciła za srebrny dzwoneczek i delikatnie nim potrząsnęła.

Och, jak ona to uwielbiała. Drzwi natychmiast się otworzyły, jakby Aleksandra tylko czekała na znak.



– Tak, proszę pani.

– Moje wujostwo zostanie u nas przez tydzień. Przygotuj im, proszę, niebieski pokój.

Aleksandra stanęła jak wryta. Addela miała ochotę zachichotać. Może to jej ostatni tydzień w tym Wymiarze Męki, ale chyba nieźle da wszystkim do wiwatu.

– Słyszałaś panią – dołożyła swoje pięć groszy ciotka.

Dziewczyna dygnęła i pobiegła na górę.

Nie bez powodu Addela wybrała właśnie ten pokój. Znajdował się tuż za ścianą jej sypialni i doskonale wiedziała, kiedy przyłożyć ucho w odpowiednim miejscu, aby można było usłyszeć nawet rozmowy prowadzone szeptem. Nieraz w ten właśnie sposób podsłuchiwała rodziców. Traktowała to z jednej strony jak rozrywkę, z drugiej – źródło wielu cennych informacji. Pamiętała ostatni raz, gdy słuchała ich przez ścianę. Było to na chwilę przed ich wyprawą morską na Nowy Kontynent. Matka nie chciała płynąć. Mówiła, że ma złe przeczucia. Ojciec podzielił jej zdanie, ale byli zmuszeni przez obowiązki służbowe. Problemy w ich fabrykach po drugiej stronie oceanu urosły na tyle, że należało je rozwiązać osobiście. Ciekawe, jak w tym momencie przedstawia się tam sytuacja, zastanawiała się Addela. Nie interesowała się fabrykami od lat. Wszystkim zajmował się ich mecenas. Oj, jego także będzie musiała wpisać na swoją listę i odwiedzić. Najlepiej jutro.

Dziś po południu ona i Gustaw – treser jej pudelków, powinni się pojawić na Międzynarodowym Konkursie Piękności Psów w Londynie. Oba psiaki będą rywalizowały o tytuł mistrzowski. Miała ogromną nadzieję, że ta paskudna i złośliwa Ofelia się nie pojawi. Jej psy były równie agresywne jak i ich właścicielka. Od zawsze nienawidziła Addeli, prawdopodobnie dlatego, że jej psiaki znacznie częściej zajmowały wyższe pozycje w rankingach. No cóż, trzeba będzie się po raz kolejny z nią zmierzyć. Dobrze, że zawsze miała ze sobą Gustawa. Nie dość, że wspaniale zajmował się jej ukochanymi pudłami i miał do nich cierpliwość, to jeszcze mogła go nazwać prawie swoim przyjacielem. Nieraz zaliła mu się na swoje zdrowie czy samotność, a on nigdy jej nie dokuczał, tylko pocieszał. Zaufała mu nawet na tyle, że podzieliła się z nim swoimi powieściami, a on namawiał ją do ich wydania. Zaproponował, że wspólnie wybiorą fragment, który wyślą pod pseudonimem do lokalnej gazety, by Addela uwierzyła w siebie. Był pewien, że ona osiągnie sukces. Uwielbiała spędzać z nim czas. Przeszło jej nawet przez myśl, że może podzielić się z nim tajemnicą o własnej śmierci, by ten pomógł w śledztwie. Obawiała się jednak, że zostanie uznana za wariatkę, a tego by nie zniosła. Była wszak bardzo delikatną młodą kobietą.

– Klusieczko? – Głos ciotki wdarł się w jej myśli.

– Tak, ciociu?

– Czy ty się aby na pewno dobrze czujesz, kochanie? – zapytała z troską Felicja, a Addeli od razu zapaliła się czerwona lampka. – Wydajesz się nieco błada i nieobecna.

– Tak? A możliwe. Czuję się jakoś inaczej – oznajmiła, bacznie obserwując wujostwo.

Ci spojrzeli po sobie zasmuceni. Aż ciężko było uwierzyć, że obawa w ich oczach nie jest prawdziwa. Podejrzane. Bardzo podejrzane.

– Podano obiad – oznajmiła uprzejmie Aleksandra, zaglądając do pokoju. – Czy przynieść tutaj, czy zjedzą państwo w salonie?

– W salonie – oznajmiła ciotka Felicja, jakby już wzięła w posiadanie całą rezydencję.

Dziewczyna lojalnie spojrzała jeszcze na swoją panią, a gdy ta z przepraszającym uśmiechem potwierdziła, Aleksandra poszła nakrywać do stołu. Po chwili cała trójka ruszyła do salonu wśród szumu tiulu i stukania obcasów. Addela wyobrażała sobie, że u jej boku kroczy detektyw Roger, czujnie lustrując każdy krok i gest wujostwa. Chciałabym, by istniał naprawdę, pomyślała. Na szczęście bujna wyobraźnia zawsze była jej mocną stroną. Już jako mała dziewczynka miała całe grono wymyślonych przyjaciół, gdyż z tymi rzeczywistymi bywało krucho. Gdy zaczęła pisać, tworzyła postacie bardzo realistyczne – bo takie były w jej wyobraźni. I teraz cieszyła się, że nie jest sama, gdyż u boku ma niezwykle kompetentnego detektywa, nawet jeśli jego kompetencje zrodziły się wyłącznie w jej głowie.

Obiad jak zawsze prezentował się znakomicie. Waza z pachnącą zupą parowała, a na półmisekach rozłożono świeże owoce. Niewiele arystokratycznych rodzin mogło pozwolić sobie na takie smakołyki. Sprowadzano je z nowego kontynentu jeszcze niedojrzałe, by w Anglii stały się rozkoszą dla podniebienia nawet osób. U szczytu stołu znajdowało się nakrycie dla Addeli. Każdy miał tego świadomość, ponieważ jej zastawa różniła się nieco od reszty. Ojciec, gdy była jeszcze malutka, sprowadził ten komplet właśnie dla niej. Zarówno talerz głęboki, jak i płaski, a do tego i sztucce, były zdobione kwiatami maku. Służba doskonale wiedziała, że pani tylko z nich jadła, i starała się, nawet przy gościach, ten właśnie zestaw dla niej przygotowywać. Marudziła i ganiła swoją służbę, ale prawda była taka, że wszystkich ich uwielbiała. Dlatego, mimo że wpisała kucharkę na swoją listę oskarżonych, nie chciała tak do końca uwierzyć, że ta mogłaby ją skrzywdzić.

Ciotka karcąco spojrzała najpierw na makowy zestaw, a następnie na Addelę, ale przez zaciśnięte usta nie wydobyła żadnego słowa. Wytrzymam ten tydzień, upewniła samą siebie Felicja. Przez moment rozważała, czy nie poprosić o dodatkowe krzesło, by wyobrażać sobie na nim Rogera, zrezygnowała jednak z tego pomysłu. Dla wujostwa to mogłoby być zbyt wiele. Umieściła więc detektywa przy wejściu, opartego o framugę i pykającego spokojnie fajkę.

Przez ciebie zgrzeszyłam



Autor: Milena Wysocka

Seria: tulipanowa (tom 1)

Wydawnictwo: Self-publishing

Oprawa: miękka

Formaty: druk, e-book

Gatunek: Romans sensacyjny, dramat

Data premiery: 23.11.2023

Gdzie kupić? [Allegro](#) – [MocWyrazu](#)

Po przeprowadzce do Poznania Amelia zakochuje się w Rafale bez pamięci. Dopiero później zauważa jego niepokojące zachowania i podejrzane otoczenie. Po nagłej śmierci mężczyzny wychodzą na jaw jego oszustwa i sekrety. Pogrążona w rozpacz kobieta poznaje Michała, z którym z czasem buduje nowy związek. Gdy wydaje się, że odzyskała spokój, przeszłość wraca – tajemnice Rafała i kłamstwa ludzi wokół niej zagrażają jej życiu.

„Przez ciebie zgrzeszyłam” to gorący romans wypełniony tajemnicami, władzą i walką o miłość, szczęście i życie.

– Czekasz na kogoś, moja droga? – zapytała Felicja, gdyż zauważyła, że kobieta bezustannie zerkna na drzwi.

– Yyy... nie. Znaczy, tak. Trochę tak. Czekam na Gustawa. Jedziemy na konkurs piękności – odparła.

– O! Kolejny? – Ciotka przetarła kąciki ust haftowaną chusteczką. – Twoje pekińczyki mają już chyba cały pokój pucharów.

– Pudle – burknęła gospodyni.

– Jeden pies – skwitowała ciotka.

– No właśnie nie jeden – dodała pod nosem Addela.

– Coś mówiłaś, kochanie?

– Nic, ciociu. Ale odpowiadając na twoje pytanie: moje pudle mają już sporo wygranych na koncie.

– Są z tego w ogóle jakieś korzyści?

Addela poczuła, jak złość się w niej gotuje. Nie dość, że właśnie bagatelizowano jej pasję, to jeszcze stawiano ją na równi z czymś, co nie miało sensu. Prawda była jednak zupełnie inna. Tego typu konkursy, a przede wszystkim zwycięstwa w nich, przynosiły kobiecie ogromne korzyści majątkowe. Uzbierała potężną kwotę przez ostatnie piętnaście lat, w czasie których jej kochane psy zdobywały mistrzostwa. A przede wszystkim wielokrotnie utarła nosa tej zarozumiałej Ofelii. Bywało i na odwrót. Nie zamierzała jednak dzielić się tymi informacjami z osobami, które potencjalnie dybały na jej życie.

– Minimalne – odparła więc wymijająco, a od kolejnych pytań wyratował ją Feliks, wnosząc ogromną pieczeń.

Posiłek minął w kompletnej ciszy, jeśli nie liczyć mlaskania, ciumkania i siorbania szlachetnie urodzonych. Addela ledwie spróbowała dań, bo choć pachniały wyśmienicie, to żołądek miała ściśnięty. W teorii nie powinna się niczym przejmować. W końcu i tak miała zaklepany tylko tydzień w tym wymiarze i święcie wierzyła, że uda jej się odnaleźć w tym czasie swojego mordercę. Z tyłu głowy pojawił się niepokój, a właściwie niepokoje. Po pierwsze, co, jeżeli jej się nie uda? Było to mało prawdopodobne, ale jednak... Po drugie, co, jeśli nie powinna była tu wracać? Przecież lubiła swoje życie. Gdy miała szansę skupić się na czymś zgoła innym niż własne zdrowie, na przykład na poszukiwaniu mordercy, zaczynała dostrzegać, że tak naprawdę potrafiła być tu szczęśliwa. Czy rzeczywiście chciała stąd odchodzić? Przeczaco pokręciła głową, co zauważyła Felicja.

– Muszę przyznać, Addelo, że zachowujesz się w niecodzienny sposób. Czy aby na pewno wszystko w porządku? Może coś ci doskwiera?

Addela, zdeterminowana własnymi myślami i zirytowana obecnością ciotki, zerknęła na Rogera. Ten z tajemniczym uśmiechem skinął porozumiewawczo głową. Starsza pani skierowała spojrzenie na wejście do pomieszczenia, a następnie na męża. Ich wzrok zdawał się mówić, że ktoś tu ewidentnie się odkleił.

– Ciociu, powiedz, czy znasz się na truciznach? – Gdy to pytanie padło z ust Addeli, ta sama się zdziwiła, że je zadała.

Wyraz zaskoczenia na twarzach wujostwa dał jej ogromną satysfakcję, ale tylko chwilowo, w tym bowiem momencie wydarzyło się kilka niespodziewanych rzeczy. Ciotka zaczęła się dusić. Jej policzki zrobiły się bordowe jak świeże buraczki, kasłała i z trudem łapała powietrze. Wujek Mark natychmiast do niej doskoczył i zaczął potężną dłoń uderzać ją w plecy, aż za trzecim razem twarz Felicji z impetem wpadła do talerza z zupą. Jednocześnie w przejściu rozległ się huk tłuczonej porcelany. Addela, która właśnie wstała, by ratować ciotkę przed utonięciem, kątem oka dostrzegła wystraszoną Aleksandrę pochylającą się nad roztrząskanymi filiżankami z kawą. Ta nie patrzyła na armagedon u swoich stóp, lecz na arystokratkę, jakby pytanie, które ta zadała, było oskarżeniem skierowanym w jej stronę. Addela aż przystanęła zaskoczona, a ich spojrzenia się skrzyżowały. Służąca natychmiast się otrząsnęła i zaczęła zbierać skorupki naczyń. Nie sposób było pozbyć się wrażenia, że pomiędzy kobietami wydarzyło się właśnie coś dziwnego. Czyżby Aleksandra miała coś na sumieniu? I właśnie w tym momencie ciotka Felicja odzyskała głos i wykrzyknęła:

– Co tu się wyprawia? Prawie umarłam! – Mówiąc to, pokazała niewielką kostkę z kurczaka, którą uniosła niczym trofeum.

Kostka w rzeczywistości była niewielka, praktycznie nie do zauważenia. Addela podeszła do wazy, w której znajdowała się zupa. Złapała za chochlę i przemieszała, a wówczas jej oczom ukazało się więcej mini kostek z kurczaka.

– Co do... – wyszeptała gospodyni, zastanawiając się, czy był to kolejny zamach na jej życie. Nie traciła ani chwili. Szybkim krokiem ruszyła do pomieszczeń dla służby, nie zwracając uwagi na gderanie Felicji, która radziła zwolnić wszystkich nieudaczników pracujących w rezydencji. Nie poczuła nawet zmęczenia, gdy wparowała do kuchni, by raz a dobrze porozmawiać sobie z Agnes. Jeśli pójdzie sprawnie, upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu. Odkryje swojego mordercę i wygarnie kobiecie, jak bardzo ta ją zraniła. Wszak rodzina Addeli uwielbiała kucharkę, starając się jej zapewnić jak najlepsze warunki pracy, pomimo jej wieku. A sama Addela traktowała ją jak własną rodzicielkę, gdy ta prawdziwa odeszła w zaświaty.

Gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi do kuchni dla służby.

– Agnes, to koniec! Przyznaj... – wykrzyknęła Addela, po czym raptownie urwała.

W pomieszczeniu nie było Agnes, a jedynie szlochająca Aleksandra, która nieudolnie próbowała wytrzeć łzy spływające jej po policzkach.

ROZDZIAŁ 3

Zazwyczaj w kulminacyjnym momencie, gdy sprawca zostaje osaczony, detektywi bez najmniejszych lęków stają z przestępcą twarzą w twarz. Addela, gdy tylko przekroczyła próg kuchni dla służby, miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec. Odniosła wrażenie, że świat skurczył się do tego jednego pomieszczenia. Zabrakło jej nagle powietrza i zamiast postawić w szachu winną dziewczynę, osunęła się z głuchym jęknięciem na drewniane krzesło i zaczęła szybko oddychać, jak ryba wyrzucona z wody.

Aleksandra natychmiast przestała szlochać i doskoczyła do swojej przełożonej.

– Panienko, co się stało? Co mogę zrobić? – zapytała służąca głosem pełnym troski, który zdawał się autentyczny.

Arystokratka przez moment pomyślała, że za chwilę naprawdę umrze, lecz dla odmiany śmiercią naturalną. Zaczęła się zastanawiać, czy wtedy znów odesłaliby ją na ziemię, czy już mogłaby zostać w Elizjum i mieć całe to dochodzenie z głowy. Zerknęła w stronę wejścia. Detektyw Roger obserwował ją spod na wpół przymkniętych powiek. Addela szybko doszła do siebie i poprawiła fryzurę.

– Nic mi nie jest – oznajmiła i wzięła szklankę wody zaproponowaną przez pokojówkę.

Aleksandra opadła na krzesło obok, zwiesiła głowę i kolejne łzy – ogromne niczym krople grochu – spłynęły jej po policzkach.

– Panienka pewnie mnie zwolni – łkała. – Jestem zapominalska. Panienka mnie zwolni, a Agnes zabije. Taki mój los. – Schowała drobną twarz w dłoniach i było słychać jedynie pociąganie nosem.

Addela uniosła dumnie oba podbródki. A więc miała rację. To kucharka była zabójczynią. Aleksandra właśnie to przyznała. Znaczyło to, że najpewniej były w zмовie. Co by się nie działo, właśnie odkryła, kto próbował ją zabić. Niespodziewanie się uśmiechnęła. A więc czas wracać do Elizjum.

Wstała. Poprawiła suknię i fryzurę. Puściła oczko do detektywa. Oj, za nim będzie bardzo tęskniła. Chwila. Może mogłaby go sobie stworzyć w tej kieszeni przestrzennej?... Poczuła motyle w brzuchu. Tak, czas wracać. Rozłożyła ramiona i czekała. Wyobrażała sobie, że spłynie na nią światło i po prostu zniknie. Bądź coś w tym stylu. Tak przecież to wyglądało na obrazach w kościele. Nic takiego się jednak nie stało.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Nadal nic. Zarejestrowała jedynie katem oka, że pokojówka przestała łkać i przygląda się jej zaskoczona. Addela odchrząknęła i oznajmiła najdostojniej, jak potrafiła:

– Zabierzcie mnie do Elizjum.

Nadal cisza. Addela gniewnie opuściła ramiona wzdłuż ciała i wykrzyknęła:

– Znalazłam swoich morderców! To kucharka Agnes mnie otruła, a współpracowała z nią moja pokojówka Aleksandra! Zabierzcie mnie już stąd w końcu!

Służąca natychmiast podniosła się z miejsca i stanęła naprzeciwko arystokratki. Jej policzki spowijały krwiste rumieńce, a oczy świeciły jak dwie latarnie uliczne nocą.

– Co panienka mówi??? – Łapała Addele za ramiona. – Ktoś panienkę chciał otruć???

Arystokratka, skołowana, odparła:

– Tak! Ty! Ty i Agnes!

Aleksandra puściła jej ramiona i odsunęła się parę kroków.

– Ja??? – wymamrotała ze świsem wciągając powietrze. – Ja nigdy... Najmocniej panienkę przepraszam, że zapomniałam odcedzić zupę z tych kości. To dlatego, że nie ma Agnes, a ja mam tyle obowiązków na głowie. Zapomniałam na śmierć. – Zakryła usta dłonią przy ostatnim słowie, jakby właśnie wypowiedziała coś, co świadczyło przeciwko niej.

Addela ponownie opadła na krzesło. Czuła się zagubiona.

– Ale powiedziałaś, że Agnes cię zabije za to, że nie wypełniłaś swojego zadania... czyli za to, że się mnie nie pozbyłaś...

Aleksandra zrobiła jeszcze większe oczy niż przed chwilą, o ile to w ogóle było możliwe.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Powiedziałaś, że Agnes cię zabije...

Pokojówka na przemian stawiała się biała jak ściana i czerwona jak rak.

– Ale to dlatego, że obiecałam zająć się dziś obiadem, gdy jej nie będzie. Miałam tylko podgrzać i odcedzić zupę. Ale nawet to schrząniłam. Przygotowywałam pokój dla panienki wujostwa i całkiem wyleciało mi to z głowy. Gdy się zorientowałam, było już za późno. – Łzy znów spłynęły po jej zaczerwienionych policzkach.

Addela powoli zaczynała rozumieć swój błąd. Wpadła w pętlę własnego rozumowania. A to był po prostu niefortunny wypadek. Ale jedna sprawa nie dawała jej spokoju.

– Gdzie zatem jest Agnes? – zapytała.

Milczenie.

– Aha! A więc tak! – zawołała Addela z poczuciem rozpierającej ją satysfakcji. – Jeśli mi natychmiast nie powiesz, to wzywam żandarmów i...

– Agnes jest na randce! – wykrzyczała dziewczyna i zakryła dłońmi usta, jakby chciała cofnąć wypowiedziane słowa.

– Na randce?

– Mhm – przytaknęła Aleksandra.

Gdyby ktokolwiek spojrział na całą scenę rozgrywającą się w bocznej kuchni, najpewniej doszedłby do wniosku, że przypomina ona swoisty aerobik. Raz jedna, raz druga kobieta – to wstaje, to siada. Ręce również pracują, raz się wznoszą, raz opadają. Praca nóg także nie została zaniedbana. Kilka kroków w tył, następnie kilka w przód. Sport to zdrowie, jak mawiała mama Addeli.

– Opowiedz mi wszystko – poleciła Addela. – I nie płacz już. Nie zwolnię cię. Zresztą, mojej ciotce nic się nie stanie, jak od czasu do czasu trochę pokaszle. Ja to robię całe życie.

Pokojówka nieśmiało się uśmiechnęła i zaczęła opowiadać. Okazało się, że kucharka na starsze lata odnalazła miłość. Miłość, która była tuż obok, a mianowicie od pewnego czasu spotykała się z kamerdynerem Feliksem, mimo że nieco od niej młodszym. Ten po ponad dwudziestu latach zdobył się na odwagę i wyznał kobiecie, co do niej czuje. Zrobił to w sposób nad wyraz romantyczny, mianowicie przygotował popisowe danie Agnes, dodając tajemny składnik, który ta wprowadziła do przepisu. Zaskoczona tym odkryciem kucharka nie rozumiała, skąd Feliks wiedział, co nim jest. Oznajmił jej wówczas uroczyście, że najlepszym, co mu się w życiu przytrafiło, było obserwowanie, jak Agnes z miłością tworzy posiłki, niczym dzieła sztuki. I zawsze starał się nie stracić nawet sekundy z tego spektaklu.

Gdy Aleksandra kończyła opowiadać, obie zapłakane kobiety ścisnęły się za dłonie i zachwyciły tym, jaka to cudowna miłosna historia spotkała Agnes.

– Mogłabym napisać o tym powieść – westchnęła Addela rozmarzona.

– I dlatego dziś obiecałam przypilnować obiadu – postawiła kropkę pokojówka.

– Dlaczego zatem tak się przestraszyłaś, gdy zapytałam ciotkę, czy zna się na truciznach?

– Nie słyszałam takiego pytania – zmarszczyła brwi Aleksandra. – Gdy weszłam z kawą, przypominałam sobie o tej nieszczęsnej nieodcedzonej zupie i myślałam, że serce mi stanie.

Arystokratka zamilkła, wpatrując się w opartego o framugę detektywa Rogera. Bardzo chciała wierzyć, że służba nie pragnęła jej śmierci. Dziewczyna wydawała się tak prostolinijna i dobra, że ciężko było ją oskarżać o jakiegokolwiek nieczyste zamiary. Zresztą, co by na tym zyskała? Nie miała raczej pojęcia, że Addela umieściła ją w swoim testamencie, a w razie jej śmierci obie z Agnes musiałyby poszukać nowej pracy, co wiązało się z niedogodnościami. Detektyw z uznaniem pokiwał głową. Najwyraźniej miał to samo zdanie, co ona.

Nagle drzwi do kuchni otworzyły się z hukiem i stanęła w nich postać rodem z piekła. Ciotka Felicja włosy miała w nieładzie, a pod oczami spływał jej czarny tusz.

– Addelo! Co ty wyprawiasz?! – wykrzyknęła, patrząc na splecione dłonie kobiet.

– Ciociu... – zaczęła, ale Felicja natychmiast jej przerwała.

– Taki skandal! Jak my się z tego wypłaczemy? Już teraz rozumiem, dlaczego nie wyszłaś za mąż. Ale po kim ty to masz, że wolisz kobiety? – Ciotka złapała leżący na półce talerz i zaczęła się nim wachlować.

– Co takiego??? Ja nie... My nie... Ciociu, przestań! – krzyknęła sfrustrowana Addela, aż Felicja się wzdrygnęła.

– Mam już tego dość! Nie twórzmy plotek! – oznajmiła stanowczo gospodyni. – Aleksandra jest moją pokojówką i nie łączy nas żadne romantyczne uczucie. Miałyśmy właśnie... dość poważną rozmowę i stąd ten cały obrazek, który ciocia zastała.

Felicja milczała.

– A męża nie mam dlatego, że... mi się nie trafił – dodała Addela, czując, że ten temat także powinna zakończyć. – Natomiast ciekawi mnie coś innego. Co się stało, że ciocia jest taka... – nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa na opisanie szalonego wyglądu Felicji – ...roztrzęsiona?

Kobieta natychmiast odzyskała rezon. Odłożyła talerz na miejsce i oznajmiła:

– To przez te twoje pekińczyki. Zaatakowały mnie. A ten ich opiekun oznajmił, że to moja wina! Zwolniłam go! – Oburzenie wstrząsnęło całym jej ciałem, upodabniając ją do olbrzymiej kuroopatwy.

Tyle wystarczyło. Addela zerwała się na równe nogi i pognęła do salonu. Już z daleka słyszała szczekanie swoich dwóch pudli – Jane oraz Austen. Co za dzień. Takiego tempa nie znała. Zazwyczaj godziny ciągnęły się w nieskończoność, a ona pomiędzy wydarzeniami miała mnóstwo czasu na drzemki. Dziś poczuła, że naprawdę żyje. Odkąd umarła, świat zdawał się nieco inny. Ciekawszy.

Wpadła do salonu, a na jej widok psiaki przestały ujadać i podbiegły się przywitać. Doskoczyły do niej, merdając ogonami. Były niczym noc i dzień: Jane miała białe umaszczenie, a Austen – czarne. Stały po obu stronach arystokratki, a ona położyła im dłonie na karkach.

– Co tu się wyprawia? – zapytała, czując, jak ból głowy próbuje podstępnie zawładnąć jej umysłem.

Odpowiedziała jej cisza, a obraz rozpościerający się przed nią aż prosił się o własną historię. Na szeszlunku, z jedną nogą uniesioną, stał wuj Mark. Tupecik przekrzywił mu się na prawo, ukazując okazałą łysinę. Wokół jego stopy wylało się coś o brązowym zabarwieniu. Najpewniej whisky. I jakby tego było mało, na podłodze leżał Gustaw. Miał potargane włosy, jakby ktoś go za nie ciągnął, a pod okiem wykwitał mu ogromny krwiak. Wszędzie wokół walały się poduszki, potłuczone filizanki i, o dziwo, resztki zastawy, która smętnie zwisała z kinkietu.

– Te pekińczyki nas zaatakowały – Addela usłyszała za plecami głos Felicji.

– Gustaw? – zapytała tresera gospodyni, wierząc, że to jego odpowiedź będzie najbliższa prawdy.

Mężczyzna usiadł i rozmasował obolałe łokcie.

– Komenda Liverpool – powiedział zwięźle.

Addela nie potrzebowała dodatkowych wyjaśnień.

– Złapaliście je za obroże? – zapytała wujostwa.

– Nie wiem, co ten człowiek ci powiedział – rzuciła ciotka, celując w Gustawa palcem zakończonym ostrym paznokciem – ale kłamie.

– Złapaliście czy nie? – Addela skierowała teraz zapytanie wyłącznie do wuja.

Ten ostrożnie postawił drugą stopę na szeszlunku, po czym szedł na ziemię.

– Tak, Felicja chciała je wyprowadzić, by nie zabrudziły salonu.

Addela usiadła i wzięła głęboki oddech.

– To komenda, którą wprowadziliśmy wraz z Gustawem na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał uprowadzić Jane i Austena.

– A kto niby chciałby uprowadzić takie krwiożercze bestie? – prychnęła ciotka, siadając na fotelu i spoglądając, jak jedna z tych krwiożerczych bestii tarza się na plecach z wywalonym jęzorem.

– Często dochodzi do porwań rasowych psów, które zwyciężają w konkursach piękności – dodał treser, wciąż siedząc na podłodze.

– Gdy ktoś pociąga je za obroże, natychmiast mają wszczynać alarm – wyjaśniła Addela.

Gustaw podniósł się i zagwizdał na psy, które od razu do niego podbiegły, merdając wesoło ogonami.

– Próbowałem to wyjaśnić, ale zostałem zwolniony – oznajmił urażony.

Addela czuła, że tego wszystkiego jest już za dużo. Zamknęła oczy i wymasowała skronie. O dziwo, głowa nie zaczęła jej jeszcze boleć, ale mogło się to stać lada chwila. Uświadomiła sobie, że nie wzięła swojej codziennej dawki leków, i zanotowała w myślach, by zrobić to, gdy ogarnie ten bałagan.

– Ciociu, wujku – zwróciła się do rodziny Addela. – Proponuję, żebyście teraz odpoczęli i ... doprowadzili się do porządku. Wasze pokoje są już najpewniej gotowe. Gustawie, powinniśmy wkrótce ruszać, ale ty potrzebujesz przyłożyć sobie surowe mięso do oka, a ja chwilę odpocząć. Spotkamy się za około trzydzieści minut, dobrze?

Gustaw pokiwał głową.

– Obawiam się zostawić was samych, więc proponuję, żebyśmy na trzy-cztery rozeszli się do swoich zajęć – obwieściła następnie gospodyni.

Ciotka Felicja prychnęła.

– Moja droga, cóż to za dziecinada? Nie mamy pięciu lat, a ty nie jesteś naszą opiekunką.

Arystokratka ostentacyjnie rozejrzała się po pokoju, unosząc wysoko brwi, po czym zawiesiła wzrok na kobiecie.

– Naprawdę?

Ku swojej satysfakcji dostrzegła, jak policzki starszej kobiety pokrywają się rumieńcem.

– A więc odliczam. Trzy, cztery...

W tym właśnie momencie rozległo się donośne pukanie do drzwi. Wszystkie oczy zwróciły się w tamtym kierunku. Addela poczuła, że ma déjà vu. W jej krótkim epizodzie bycia martwą miało miejsce identyczne zdarzenie. Znajdowała się w tym samym pomieszczeniu wraz z rodzicami, kiedy ktoś zapukał. Wyobraziła sobie, że drzwi się otwierają, i tak też się stało. Wówczas poznała sprawcę największego zamieszania w jej dotychczasowym życiu – Antona de Smigieła.

W oka mgnieniu pojawiła się Aleksandra i popędziła zobaczyć, kto zakłóca ich poobiednią porę.

– Dzieńdoberek! – rozległo się wesołe przywitanie. – Szukam Addelki.

– Nieee... – jęknęła arystokratka.

– Kto to? – zapytała ciotka.

Zaskoczony Gustaw wpatrywał się w Addelę. Nic nie odpowiedziała, tylko ruszyła ku drzwiom wejściowym. Do ostatniej chwili miała nadzieję, że wyobraźnia płata jej figle i że ujrzy jakiegoś zdziwaczałego domokrajcę czy żebraka. Niestety. W wejściu stał Anton de Smigieł – przedstawiciel Komisji do Spraw Nielegalnych Spadochroniarzy z Wymiaru Męki – i szczerzył się do niej, pokazując cały garnitur białych zębów.

Przez moment wpatrywali się w siebie. Mężczyzna nadal się uśmiechał, dając jej znaki oczami, a ona spojrzeniem próbowała oznajmić mu, by sobie poszedł. Kłopotliwą ciszę przerwała Aleksandra.

– Panienko?

Addela wiedziała, że ma tylko dwa wyjścia. Albo każe pogonić stąd intruza (nie wiedziała jednak, jakie konsekwencje w życiu wiecznym to spowoduje), albo zaprosi go do środka. Wymyśli jakąś zgrabną historyjkę i porozmawia z nim na osobności. Musiała się dowiedzieć, po co tu przyszedł.

– Tak, tak, przepraszam. Zapraszamy – oznajmiła, cofnęła się do salonu i stanęła obok pozostałych. Ci wciąż wyglądali, jakby jakieś niegrzeczne dziecko bawiło się nimi, porozrzucało zabawki i znalazło sobie lepsze zajęcie.

Anton wesoło wszedł do środka, dyskretnie rozmasowując szczękę, która najwyraźniej nieco mu zdrętwiała od ciągłego naciągania jej do uśmiechu.

– Witam zebranych!

Ciotka zaczęła nerwowo poprawiać włosy, które wyglądały, jakby trafił w nie piorun.

– Witamy, witamy! Felicja Salisbury. – Chichocząc, podała mężczyźnie swoją pulchną dłoń, po czym kokieteryjnie zatrzepotała rękami.

Gość nie bardzo wiedział, co zrobić z ofiarowaną mu częścią ciała, potrząsnął nią więc energicznie, aż z ust ciotki wyrwał się lekki okrzyk.

– Anton de Smigieł. Do usług.

Felicja wyrwała dłoń i obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem. Był spalony.

Następnie przedstawili się wuj Mark oraz Gustaw, po czym zapadła krępująca cisza.

– Muszę porozmawiać z Antonem na osobności. Wybaczcie więc, zobaczymy się nieco później – powiedziała Addela.

– Bój się Boga! – wykrzyknęła wstrząśnięta ciotka. – Nie ma mojej zgody, by moja siostrzenica przebywała sam na sam bez przyzwolitki z obcym mężczyzną! Tak nie może być!

– Ciociu, ja mam prawie czterdzieści lat, czy to aby nie przesada?

Felicja podeszła i stanęła pomiędzy nią a Antonem. Addela wiedziała doskonale, że gdy ciotka się na coś uprze, nie ma najmniejszych szans, by ją od tego odwieść. Z drugiej strony, nie mogła rozmawiać z Antonem przy niej.

– Droga pani... – zaczął Anton, ale Felicja posłała mu takie spojrzenie, które przeraziłoby nawet mitycznego cyklopa.

– Ciociu, zrozum. Jestem już dorosła. Muszę porozmawiać z Antonem o... interesach.

– Jakich? – zapytała natychmiast ciotka.

No właśnie, jakich? Addela nie miała pojęcia, więc spojrzała na Antona, licząc, że ten ma może jakiś pomysł. Ale po chwili gorzko tego pożałowała. Mężczyzna puścił do niej oczko, po czym oznajmił wszystkim obecnym:

– Addela i ja bierzemy ślub. Musimy ustalić szczegóły.

MARTA PAWLIK

Z wykształcenia archeolog, z zawodu linergistka. Na co dzień pracuje z pacjentkami onkologicznymi, pomagając im wracać do normalności po leczeniu chemioterapią i mastektomii. Prywatnie mama 17-letniej Oliwii, i to dla córki pisze od dziesięciu lat powieści oraz opowiadania, które rosną wraz z nią. Do tej pory trafiały jedynie do szuflady, ale niczym nocne stwory powoli z niej wychodzą.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: [maki_papierowe](#)

Regulamin naboru powieści we fragmentach do magazynu „Fragmentarium” - tam, gdzie słowa zyskują wolność

Gatunek? Jakikolwiek. **Cenzura?** Nie znamy takiego słowa.

Co przyjmujemy? Wszystko... fragmenty powieściowych rzeczywistości przefiltrowane przez język. Ważne, aby nas porwało.

Doświadczenie? Najlepiej debiutant, ale kogoś, kto dopiero wszedł na rynek wydawniczy, też przyjmujemy.

Co trzeba wiedzieć?

- Maksymalna długość całego tekstu: 300 000 znaków ze spacjami (zsz).
- Na początku zgłaszasz pierwszy fragment (np. rozdział) – reszta musi być już gotowa, będzie wymagane wysłanie całości po wstępnej selekcji tekstów.
- Limit wieku: brak, jednak jeśli masz mniej niż 18 lat poprosimy o zgodę rodzica lub opiekuna prawnego (skan, zdjęcie, PDF – byle czytelnie, jako załącznik w mailu).
- Tekst musi być premierowy – nieprzedrukowywany, nigdzie wcześniej niepublikowany.

Formatowanie tekstu:

- Font: Times New Roman, rozmiar 12
- Interlinia: 1,05–1,15
- Plik w formacie: .doc, .docx lub .odt

Termin: 31.02.2026

Gdzie wysłać: Wyślij swój tekst na adres: fragmentarium.powieści@gmail.com.

W temacie maila wpisz: „Nabór powieści, [gatunek] – [Twoje imię i nazwisko lub pseudonim]”.

*Zastrzegamy sobie prawo do redakcji i korekty Twojego tekstu – zawsze w porozumieniu z autorem. Nawet mistrzom przydaje się czyjaś lupa.

PRZEZNACZENIE ODZIANE W PURPURĘ

REDAKCJA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA: PATRYK ŻELAZNY

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

Twoim przeznaczeniem, Auroro, jest zjednoczenie się z wilkiem. Wasze dusze połączone przez Gaję sprowadzą lazurową pełnię będącą symbolem nowego porządku. Nastanie era harmonii, a wszystkie istnienia staną się jednym.

Przewodniczka dusz przepowiedziała mi to w dniu moich szesnastych urodzin. Początkowo uznałam, że to zwiastun wielkich rzeczy, których miałam dokonać. Wtedy zobaczyłam łzy trzeciej matki. „Śmierć” – tylko to słowo wybrzmiało z erupcji otaczających mnie krzyków. Domyśliłam się, że to spotkanie będzie moim końcem. Skąd to wiedziałam? Bo przewodniczka dusz nigdy się nie myliła; zrodziły ją gwiazdy i to ich szepcótów słuchała we śnie.

Potrzebowałam ucieczki od przeznaczenia. Tej samej nocy, podczas której skandowano moje imię oraz nazywano mnie „Ewą nowego porządku”, opuściłam swoją rodzinną wioskę. Wszyscy bracia i wszystkie siostry spali po całonocnym świętowaniu, więc żaden z ich głosów mnie nie powstrzymał. Do dziś nie wiem, jak trafiłam w tamto miejsce. Pamiętam, że chciałam być sama, z dala od wszelkiego życia. Aż któregoś dnia obudziłam się na ciepłym piasku, wdychając zapach kwitnących tulipanów. Od tamtej pory upłynęło wiele dni i nocy, cykl natury dopełniał się na moich oczach. Nieznany mi wcześniej biały puch otulał mnie we śnie, kiedy cierpiałam na samotność. Nie musiałam się bać, zamartwiać przepowiedniami. Ta wyspa pośrodku nieskończonego jeziora stała się moim domem. Niestety, wszystko się zmienia. Bawiłam się włosami, podziwiając, jak ciepły wiatr podrywa z ziemi kolorowe liście, kiedy pojawił się on...

Byłam na jednej z moich wielu wędrówek po świecie, który wciąż nie kończył mnie zaskakiwać. Moja matka zawsze mi powtarzała, że jeden glob to dla mnie za mało, i miała rację. Niestety skłamałbym, mówiąc, że robiłem to tylko dla cudownych widoków czy dla przy-

gód, które będę wspominał latami: próbowałem zwalczyć nietypową przypadłość, którą odziedziczyłem po rodzicach.

– Nieuleczalne – słyszałem za każdym razem.

W drodze z Rzymu do Anglii, bo tam właśnie miałem się spotkać z jednym z tamtejszych mistyków, dotarłem do Paryża. Przechadzałem się zatłoczonymi ulicami cudownego miasta, gdy nagle ktoś złapał mnie za rękę, a może – coś?. Tajemnicza siła przyciągnęła mnie do siebie. Rozejrzałem się dookoła, za nic nie byłem w stanie rozpoznać tego miejsca. Zacząłem błądzić, a z każdym krokiem oswajałem się z tajemniczym lasem – wrastał we mnie.

Nagle osłupiałem, zobaczyłem JĄ. Była piękniejsza niż każdy cud świata.

– Kim jesteś?! – zapytała, gdy się zbliżałem.

– Jestem Raphael, a ty?

Starałem się zachowywać naturalnie, lecz jej widok zmałował mój umysł. Czułem, że jeśli dane mi będzie się stąd wydostać, to nic mnie już w życiu tak nie zachwyci jak ona.

– Skąd się tu wzięłeś?! – Wykrzyczane pytanie dziewczyny podszywał strach

Nigdy nie sądziłem, że ktoś o tak aksamitnym głosie może wypełnić go taką agresją.

– Szedłem jedną z paryskich ulic. – Na dźwięk słowa „paryskich” zmrużyła oczy. – I nagle znalazłem się tutaj.

Zdawała się nie wierzyć w moje wyjaśnienie, wbijała we mnie wzrok, jakby chciała mnie w ten sposób zranić.

– A ty jak masz na imię? – dopytałem.

– To jest moje miejsce na ziemi. Odejdź stąd – warknęła.

Chcąc zachować się jak należy, poszedłem na drugą stronę wyspy – nie potrafiłem jednak znaleźć drogi powrotnej, mimo że chciałem.

Przeznaczenie przypomniało o sobie. Chciałam uciec od życia, a ono i tak mnie znalazło. Całą noc z ukrycia obserwowałam nieznajomego. Nie

wiem, czy wiedział, że to ja byłam szumem wiatru między krzewami. Nie rozumiałam, czemu akurat tu chciał zostać. Chował się? Jeśli tak, to przed kim? Może jemu też była przeznaczona śmierć? Księżyc milczał każdej nocy, a ja każdej nocy przyglądałam się obcemu.

Nie wyglądał na mężczyznę, raczej przypominał dorosłego chłopca, jak miała w zwyczaju nazywać ich przewodniczka dusz. W dodatku różnił się znacznie od ludzi, których znałam. Skąd się tu wziął? Jasne włosy, oczy jak błękit nieba, nigdy czegoś takiego nie widziałam. Na pewno był człowiekiem, czułam to tak samo jak zapach jeziora, choć zmysły czasem nas zawodzą. Każdego wieczora robił to samo: mył się, rozpalał niewielkie ognisko, a później czytał książkę, po czym zasypiał. Zdawał się bezbronny, ale czy taki był? Swoją ocenę odkładałam w czasie, może niesłusznie. Nie chciałam uciekać, to miejsce było idealne na moją wieczną samotnię.

Pewnego dnia, kiedy przebierałam palcami w powietrzu, a słońce tylko lekko wystawało zza chmur, usłyszałam kroki. Wiedziałam, że należą do Raphaela. Moje serce przyspieszyło.

– To chyba twoje – powiedział z nadmierną łagodnością, jakbym była zwierzyną, której nie chce spłoszyć. – Następnym razem go pilnuj, takiej biżuterii ze świecą szukać.

Zmierzyłam go wzrokiem. Oślepił mnie blask słońca odbijający się w kryształach mojego pierścionka, spoczywającego w dłoni Raphaela. Zaniemówiłam. Poczułam ukłucie wstydu – jak mogłam nie zauważyć jego braku?

– Nie martw się, i tak wiedziałem, że mnie obserwujesz. Czy raczej miałem nadzieję, że jesteś to ty – dodał lekko speszony.

– Połóż go na ziemi, a później opuść tę wyspę – poprosiłam, tłumiąc lęk przed wszystkim, co rozumne.

– Problem w tym, że nie potrafię.

Zaskoczył mnie swoją odpowiedzią. Być może był to znak, którego nie potrafiłam rozczytać?

– Przecież śpisz przy jednej z kamiennych ścieżek – stwierdziłam.

Raphael szerzej uniósł lekko powieki i poprosił:

– Czy możesz wskazać mi jedną z nich?

Nie mówiąc nic, nakreśliłam palcem przebieg tej tuż obok nas.

– Wystarczy, że na nią wejdziesz? I w ogóle gdzie mam nią iść? – Jego głos zdradzał nieufność.

– Pewnie prosto, choć sama nią tu nie przybyłam.

– Dokąd prowadzi? Dlaczego jej nie widzę?

– Skąd miałabym to wiedzieć? Zamierzam pozostać na tej wyspie, więc zachowaj jej istnienie w tajemnicy. Teraz idź. – Miałam nadzieję, że posłucha.

Niepewnie postawiłem stopę w miejscu, w którym ona wskazała początek drogi. Zimna woda podmyła mój but.

– To na pewno tu? – zapytałem z myślą, że zaraz wyśmiejemy moją głupotę, stało się jednak inaczej.

– Co czujesz?

– Wodę oraz chłód.

Widziałem, jak płaszące po głowie myśli odbijają się na jej twarzy. Ja też się zastanawiałem – nad tym, kim ona jest. Miałem swoje podejrzenia, ale siedziałem cicho.

Nieznajoma przeszła koło mnie. Jej blada skóra przypadkiem otarła się o moją, co wywołało dreszcze, które o dziwo były przyjemne. Postawiła stopę w tym samym miejscu. Zdawała się unosić delikatnie nad niewzburzoną taflą jeziora. Nie wierzyłem własnym oczom, pomimo że w swoim życiu widziałem już wiele czarów. Tym razem było inaczej, miałem wrażenie, że żyjemy w dwóch różnych światach. Pokazała mi, żebym za nią podążył. Spróbowałem zrobić krok jeden raz, drugi trzeci – bez skutku. Moje skórzane buty były przemoczone. Zrobiła krok do tyłu.

– Jesteś człowiekiem? – zapytała, przenikając mnie wzrokiem.

– Tak – odparłem bez chwili zawahania.

– Może jesteś przeklęty – podsumowała, robiąc kolejne kroki wstecz.

Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo.

– Zaczekaj! – zawołałem, wiedząc, że jest moją jedyną nadzieją.

Zatrzymała się w miejscu, gdzie zostawiłem pierścień, i schyliła się po niego.

– Nie pomogę ci. Chcę, żebyś stąd zniknął, lecz moja wiedza o klątwach jest znikoma. Wybacz, Raphelu, czy jakkolwiek wypowiada się to twoje niecodzienne imię.

– Musisz coś wiedzieć! – wykrzyczałem w desperacji. – Jesteś przecież jedną z nich, prawda?

Znów udało mi się zaskarbić sobie jej uwagę.

– Jedną z jakich?

– Ludzi północy. Słyszałem o was tylko legendy, lecz poniekąd pasujesz do tamtych opisów. Te twoje fioletowe oczy, ubiór, jakiego nie znalazłbym na największych targach w Paryżu. Nie pochodzisz z mojego świata.

Przyjrzała się swoim dłoniom, później zerknęła na mnie.

– Macie swój własny świat? – W jej głosie usłyszałem iskrę ciekawości w jej głosie.

– Raczej wy. Legenda mówi o ludziach połączonych bezpośrednio z niemi splatającymi wszechświat. Ukrywają się przed śmiertelnikami w krainie znajdującej się na północy, lecz nikt nie potrafi jej odnaleźć. Podobno możecie dokonywać cudów, jeśli przeznaczenie wam pozwoli.

Zapanowała cisza. Nieznajoma na pewno analizowała moje słowa, na pewno miałem w jakimś stopniu rację, inaczej zaprzeczyłaby od razu. Wcześniej chciałem wydostać się z tego miejsca, ale w tamtym momencie zapragnąłem tam pozostać. Byłem pewien, że ona może mi pomóc z moją chorobą. Nadzieja, której nie czułem od dawna, wróciła.

Staliśmy wpatrzeni w siebie, aż słońce zaczęło znikać za horyzontem. Był nieznajomym, obcym mogącym zranić mnie w każdej chwili. Jego wygląd, zachowania znacznie różniły się od tych, które znałam. Budziły mój niepokój, ale też zainteresowanie. Co miałam zrobić? Długo to trwało, zanim rozplątałam ten kołtun przemyśleń. Nie ufałam temu chłopakowi, czy jednak gdyby miał być moją zgubą, to już by się nią nie stał? Raphael czekał na mój osąd, a ja nareszcie postanowiłam.

– Pomogę ci się stąd wydostać...

Spodziewałam się większej ekscytacji z jego strony, choć tak naprawdę nie obchodziło mnie to. Zależało mi tylko na jego odejściu.

– Zawrzemy pakt, pomoc w zamian za dyskrekcję, a jeśli powiesz komuś o tym miejscu... umrzesz. – Mocno zaakcentowałam ostatnie słowo.

Sklamałam. Nie potrafiłam takich rzeczy, lecz lęk zrodzony w ten sposób w sercu Raphaela pozwoliłby mi spać spokojnie. Zgodził się. Piasek trzeszczał pod nami, kiedy siedząc, złączyliśmy ręce. Kazałam mu powtarzać za mną:

– Gajo, matko stworzenia, bądź świadkiem obietnicy siostry dla brata i brata dla siostry. Zdrajca niech skona na twym ołtarzu uplecionym z korzeni pradawnych drzew, a ci krocący ścieżką prawości niech zyskają twoją łaskę.

Były to słowa jednej z naszych modlitw, które przeinaczyłam na swoją potrzebę. Następnie nakazałam Raphaelowi, aby odpalił przygotowaną gałąź od uprzednio rozpalonego ogniska. Podniosłam się i wzięłam do ręki drugą odrośl. Przyłożyłam ją do tej, którą Raphael trzymał

mocno w dłoni, jego niepewność mnie otaczała. Ogień tlił się na obu gałęziach.

– Dokonało się – oznajmiłam, kreśląc płomieniem okrąg w powietrzu.

Był wstrząśnięty, a ja nie wiedziałam, czy słusznie zrobiłam, okłamując go. Na wątpliwości było za późno. Może to właśnie przez nie pozwoliłam mu zostać po mojej stronie wyspy.

Wyciągnął książkę, ukradkiem spoglądałam na skórzaną oprawę, skąpaną w świetle ogniska. Poczekalam, aż zaśnie. Obawiałam się, że zaatakuje mnie we śnie. Wzięłam głęboki wdech, spoglądając na blask pełni odbijający się w mroku jeziora.

Następnego dnia obudził mnie cichy dźwięk uderzenia czegoś o piasek. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że Raphael od przebudzenia krążył po wyspie, zbierając wszystkie przedmioty, które jego zdaniem mogły mu pomóc. Musiał wstać znacznie wcześniej niż ja, ponieważ nabierał już masę przeróżnych muszli, ziół i wielu innych rzeczy. Wiedziałam, że raczej na nic się to nie zda, lecz obietnica była obietnicą.

Wszystko, co znalazłem, brała do ręki i uważnie się temu przyglądała. Modliłem się o to, żeby żadna z tych rzeczy nie okazała się moją drogą wyjścia. Odkąd byłem pewien, iż jest człowiekiem północy, wiedziałem, że moim przeznaczeniem było ją poznać. Tylko jak zmusić ją do wyleczenia mnie? Czy w ogóle musiałem ją zmuszać? Może wystarczyłaby prośba? Coraz bardziej przypominała mi twierdzę – a ja stałem u jej bram, błagając o litość. Przez kilka godzin uważnie obserwowałem jej kamienną twarz. Szczerze mówiąc, nie wydawało się, żeby robiła coś wyjątkowego z tymi rzeczami. Szybko się domyśliłem, że mój czas na tej wyspie jeszcze się nie skończył.

Odłożyła ostatni przedmiot na ziemię i spojrzała na mnie tak bezpośrednio, że przez chwilę poczułem, jak łapie mnie za serce. Dziwne, choć na swój sposób mi się spodobało. Pokręciła przecząco głową. Wstała, zdjęła buty z białej skóry, aby chwilę później zanurzyć się po kostki w wodzie. Podeszedłem do niej i wyciągnąłem dłoń w jej kierunku. Wiatr rzucił kolorowe liście pod moje stopy.

– Chcesz? – zapytałem.

Moje oczy powędrowały w jej stronę, a potem szybko przeniósłem wzrok na garść jagód, które trzymałem w dłoni. Zmarszczyła czoło, odrobinę cofając głowę.

– Po co? Pewnie nie są magiczne.

– Spokojnie, mają służyć tylko do jedzenia.



– Na tej wyspie nie zaznałam jeszcze głodu, więc zostawiam je tobie, dziękuję.

Wpatrywała się w słońce, zupełnie ignorując moją obecność, a raczej tak mi się zdawało do momentu, aż usłyszałam:

– Kolejny taki sam dzień przemija, kolejna taka sama noc nadchodzi. – Zrobiła pauzę. – Raphaelu, chciałbyś opowiedzieć mi o swoim świecie?

Przez ułamek sekundy sądziłem, że się przysłyszałem. Grymas na jej twarzy stanowczo temu przeczył. Dostrzegłem w niej nie tylko żar zainteresowania, ale też iskrę tęsknoty. Tylko za czym mogła tęsknić, skoro sama wybrała taki los?

– Bardzo chętnie, tylko powiedz mi, proszę, jak masz na imię? Głupio mi ciągle mówić...

– Aurora – przerwała mi błyskawicznie, a ja zacząłem opowiadać.

Nie mogłam go odesłać. Pewne było, że kiedyś stąd odejdzie, jeśli nie do swojego świata, to do tego pod nami. Wmówiłam sobie, że to dla-

tego poprosiłam, żeby opowiedział mi o nieznanym. Chciałam, aby jego świat żył dalej, nawet po tym, gdy umrze. Nie spodziewałam się, iż jego język rozplącze się do tego stopnia, że będziemy musieli sięść przy ognisku w towarzystwie gwiazd.

Właśnie poczułam w powietrzu woń rosnącego mchu, kiedy usłyszałam wyraz tak prosty, a jednocześnie tak mi nie znany.

– Coś nie tak, Auroro? – przerwał opowieść, a ja w myślach powtarzałam wciąż ten sam ciąg liter.

– Nie – odparłam niepewnie. – Po prostu... to jedno słowo, którego użyłeś, nie daje mi spokoju.

– Jakie? – Płomienie ogniska wkraśli się do jego podniesionych kącików ust.

– Karnawał. – Zawiesiłam wzrok na skąpanym w mroku horyzoncie. – Czym on jest?

Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Przez kilka chwil przygryzał policzek

– Oj żałuj, że nigdy tego nie widziałś. Ulice są wtedy pełne ludzi w kolorowych strojach, do tego głośna, energiczna muzyka. Wszyscy dookoła ciebie tańczą, a te zapachy, uwierz minigdzie takich takich nie poczujesz, tylko tam.

– Ten rytuał... – odparłam z ostrożnością. – Wszyscy ludzie twojego świata w nim uczestniczą?

Widziałam, jak w ostatniej chwili powstrzymał rozbawienie i tylko się uśmiechnął.

– Nie starczyłoby dla nas miejsca, a w dodatku nie nazwałbym tego rytuałem. Sam nie wiedziałem o jego istnieniu do czasu, gdy podczas jednej z podróży trafiłem do Brazylii. To taki kraj w Ameryce Południowej, chociaż pewnie i tak ci to nic nie mówi. – Zaśmiał się sam do siebie, a ja coraz bardziej chciałam, żeby mówił dalej. – Mniejsza z tym. Ważne jest to, że to właśnie tam usłyszałem o nim pierwszy raz. Kiedy jedna z tamtejszych szamanek wspomniała o karnawale, zapragnąłem go zobaczyć. Nocą wkradłem się do jednego z pociągów jadących w kierunku Rio. Następnego dnia przeżywałem już najlepsze chwile mojego życia.

Sposób, w jaki to mówił... nie potrafię tego opisać, był taki ciepły, pełen uczuć. Te wszystkie nieznanne mi słowa pobudzały moją wyobraźnię. Starałam się nie pokazać tego po sobie, ale na moment zapragnęłam stać się częścią karnawału.

– Dziwnie oddajecie hołd Gai – skwitowałam, dorzucając suchych gałęzi do ogniska.

– Gai? Nie, my jej nie czcimy, a raczej oni, chociaż ja też nie. Kwestia wierzeń tylko u was wydaje się tak prosta. – Znów zaśmiał się do siebie. – Ale faktycznie, łączy się to z jednym z bóstw, chociaż, będąc szczerym, nie o to w tym chodzi.

Ucichł. Położył się na piasku i na moment wyciągnął dłonie w kierunku nieba. Czemu nie mówił dalej? Chciał, żebym dopytywała? A może był znużony tą rozmową i tylko udawał, że ta opowieść była dla niego przyjemna? Narastająca we mnie ciekawość nie pozwoliła mi odpuścić.

– To dlaczego to robicie? – Speszyłam się na dźwięk nuty desperacji w moim głosie.

– Dla radości, odpoczynku, zapomnienia – odparł, kreśląc losowe linie na piasku. – W ten sposób jesteśmy w stanie choćby na moment uciec od problemów... Nie liczy się nic oprócz wirujących światła, tańców. – Zaciągnął się powietrzem. – Widzisz, mój świat jest, ech, jakby to powiedzieć, skomplikowany? Trudny? Sam nie wiem, po prostu czasem jak patrzę na to wszystko z boku, to dochodzę do wniosku, że mało z tego, co robimy, ma jakieś znaczenie.

Zapadła cisza. Zerkając na delikatnie falującą wodę, wyobrażałam sobie to, o czym mówił Raphael. Ludzie tańczyli po całej wiosce, niebieski ogień sięgał ku niebu, a ja siedziałam z nim i obserwowałam. Zastanawiało mnie, jak zareagowałyby na widok przewodniczki dusz ubranej w ceremonialne szaty uplecione ze słonecznego jedwabiu? Pewnie opowiadałby o tym z taką samą pasją...

– A wy, ludzie północy, macie coś podobnego? – Wyrwał mnie z zadumy. – Dlaczego ja w ogóle o to pytam, na pewno macie.

Udałam zastanowienie – nie byłam pewna, czy mogę zdradzić nasze sekrety. Natomiast piąty mówca zawsze powtarzał, że wymiana jest fundamentem istnienia, wszystko musi krążyć.

– Mamy – odparłam. – I to dość sporo – dodałam po chwili.

W moich myślach zapanował chaos, przebiebrałam we wszystkich znanych mi rytuałach, szukając tego najlepszego, najbarwniejszego, a zarazem prostego do wytłumaczenia. Oczy Raphaella zachęcały mnie, bym kontynuowała.

– Attuba – pomyślałam na głos.

– Co to? – zapytał ze szczerym zainteresowaniem, a przynajmniej tak sądziłam.

W tej chwili zrozumiałam, czemu początkowo się zawahał, mówiąc mi o karnawale: trudno opisać coś, co trzeba było przeżyć. – To zjednoczenie kobiety i mężczyzny w ramionach

Gai – odpowiedziałam, w myślach wracając do wszystkich Attub, w których uczestniczyłam. – Zawsze odbywa się w jednym miejscu: nad szafrowym wodospadem. Zanim do tego dojdzie, przewodniczka dusz wybiera przyszłych partnerów i... – Dostrzegłam zdziwienie malujące się na twarzy Raphaella. – Powiedziałam coś nieodpowiedniego?

– Nie, nie. – Raphael przygryzł wargę. – Czyli nie wybieracie sobie ukochanych sami?

– W żadnym wypadku, nasza miłość skrywa się w sercach, dopiero przewodniczka wyciąga ją na zewnątrz. Ona zna przeznaczenie i to ona pomaga mu się dopełnić.

– Nie denerwuje was to? Powinniście sami decydować o swoim losie.

– Los jest przesądzony z góry, taka jest prawda wszechświata, a przewodniczka po prostu ma w nią wgląd. Nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś był niezadowolony z jej wyboru.

Przeszył mnie wzrokiem, a jego niezrozumienie wręcz musnęło mnie po twarzy. Czy poczuł to samo, kiedy ja wypytywałam jego?

– Nieważne, mów dalej, Auroro, proszę.

– Dobrze. A więc cała wioska zbiera się nad wodospadem. Wszyscy nieuczestniczący siadają na ziemi. Obserwują, jak wybrana dwójka kroczy korytarzem utworzonym z druchen i druhów, trzymających misy z niebieskim ogniem. Później para staje przed przewodniczką, obmywa ręce w wodospadzie, a prowadząca ceremonię wygłasza trzecią prośbę o łaskę.

Księżyc zaczął ustępować miejsca słońcu. Byłam skupiona na opowieści, chciałam być jak najdokładniejsza, w razie gdyby świat podziemi najpierw pochłonął mnie, a nie jego. Miałam nadzieję zostawić mu coś po sobie, bo jeśli umrę, to on będzie jednym z nielicznych, którzy mnie zapamiętają. Nie oznaczało to, że się poddałam, wciąż pragnęłam przeciwstawić się przeznaczeniu, którego tak nienawidziłam.

– Następnie – kontynuowałam – przewodniczka nakłuwa srebrną igłą palce wskazujące przyszłej wiecznej pary, a ona i on splatają je, wypowiadając przysięgi.

– A co potem? – wtrącił Raphael.

– Potem? – zapytałam ze zdziwieniem. – Rozchodzimy się, śpiewając jednym głosem ku pomyślności wiecznej pary, a następnie wracamy do naszych codziennych żyć.

– Dziwne. U nas wesela to ogromne wydarzenie, alkohol, śpiewy, zabawa do białego rana, a u was... nic?

– Jak widać, jesteśmy spokojnym ludem.

Przed oczami miałam huczną celebrację związaną z moją przepowiednią. To był jedyny raz, kiedy cała wioska dała się ponieść

hedonistycznemu duchowi. Szkoda, że mnie nie było to dane.

Po czasie uświadomiłam sobie, jak bardzo ta rozmowa zbliżyła nas do siebie. Podświadomie przestałam obawiać się Raphaela. Rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas. Mimo drażniącego nasze powieki słońca zasnęliśmy bez problemu.

Pobudka o zachodzie słońca nie była dla mnie niczym nowym, za to widok śpiącej tuż obok Aurory jak najbardziej mnie zaskoczył. Niestety, w tym najmniej odpowiednim momencie moja choroba dała o sobie znać – skóra na całym ciele zaczynała piec. Musiałem szybko poprosić ją o pomoc – tylko jak ona zareaguje? Na samą myśl o tym przeszywał mnie chłód, a łomot serca odbijał mi się echem od czaszki. Postanowiłem wybrać się na spacer po wyspie, miałem złudną nadzieję, że tym razem znajdę coś, na co Aurora zareaguje: „To nie pomoże ci opuścić tego miejsca, ale jest w stanie pomóc w rzadkiej chorobie, jaką jest...”

Moje myśli urwały się nagle, kiedy zobaczyłem purpurowego wilka stojącego na porośniętej mchem skale. Nie byłem w stanie się ruszyć. Pot spływał mi po ciele. Zwierzę wpatrywało się we mnie, a jego sierść powiewała na wietrze; i choć było mi obce, coś w nim przypominało mi o domu. Bestia ani drgnęła. Jej płytkie oddechy kontrastowały z moimi. Powoli zrobiłem krok w tył. Nagle moich uszu dobiegł głos: wydawał się nieznany, zaraz jednak odniosłem wrażenie, jakbym już gdzieś go słyszał.

– Nie uciekniesz...

Potknąłem się i upadłem na ziemię. Od razu obejrzałem się w kierunku skał. Wilk rozmyślił się w powietrzu. Siadłem pod pnem jednego z drzew, kuląc się najbardziej jak to możliwe. W tamtej chwili czas się dla mnie zatrzymał. Odczekałem, aż odrętwienie przeminie, i założywszy maskę beztróskiego chłopca, wróciłem do Aurory, która właśnie się przebudzała.

Zaoferowałem jej jedno z dwóch zebranych po drodze jabłek. Odmówiła – fakt, przecież nie musiała jeść. Z trudem ukrywałem strach, podobnie jak zachwyt na widok ostatnich promieni słońca tańczących w oczach Aurory. Nadszedł czas – miałem zamiar zapytać ją o to, czy pomoże mi z moją chorobą. Jeśli mnie odrzuci, trudno – pomyślałem, przełykając powietrze.

– To skąd wiecie, że partner, którego wybieracie, jest tym właściwym? – zagadnęła nagle Aurora.

Zupełnie nie spodziewałem się takiego pytania. Wpatrywałem się w nią, próbując zrozumieć, co ma na myśli.

– Nigdy tego nie wiesz. Los bywa przewrotny, wiele małżeństw dożywa późnej starości, są też i takie, które z czasem gniją i obracają się w pył.

– Okrutne – podsumowała.

– Fakt, ale i piękne jednocześnie. Życie byłoby smutne bez wyborów, nawet tych złych.

– Rozpad jest wrogiem wieczności. Jak chcecie zostawić po sobie ślad, jeśli nie potraficie utrzymać podstawy egzystencji?

– Dobre pytanie – zaśmiałem się pod nosem. Głos Aurory brzmiał tego dnia jakoś inaczej, przyciągał mnie w niezrozumiały dla mnie sposób. – Szczerze mówiąc, nie zaznałem jeszcze miłości. Zbyt często podróżuję, żeby o tym myśleć – dodałem pospiesznie.

– Ja też jej nie poznałam... Tu jej pewnie nie poznam. – Zabrzmiała tak, jakby dopiero teraz rozumiała, co traci, skazując się na odosobnienie.

Nie rozmawialiśmy już więcej. Wpatrywaaliśmy się w gwieździste niebo, w ciszy dzieląc nasz zachwyt. Nie miałem serca, by niszczyć tę piękną chwilę, a może brakowało mi odwagi?

Zasnęliśmy przy ognisku. Żadne z nas nie zauważyło, że nasze dłonie dzieliło od siebie zaledwie kilka ziarenek piasku. We śnie słyszałem powracający głos mojej matki.

– Wróć do nas – mówiła.

Wtem ze snu wyrwał nas dźwięk, który znałem aż zbyt dobrze – wycie wilków. Nim zdążyłem w pełni otworzyć oczy, zacząłem dłonią szukać Aurory. Nie było jej. Wstałem, panicznie się rozglądając. Wtem ją dostrzegłem: kroczyła ścieżką będącą drogą ucieczki z wyspy, choć dla mnie unosiła się nad wodą niczym duch.

– Auroro! Zaczekaj! – krzyczałem, biegnąc w jej stronę.

Znów ten mrozący krew w żyłach skowyt. Ewidentnie nie tylko mnie przeraził, gdyż Aurora znieruchomiała i szczerze wątpiłem, że było to spowodowane moimi nawoływaniem. Wbiegłem do wody. Po chwili lodowata ciecz sięgała mi pod samą brodę.

– Auroro, co się stało? – wydyszałem, stojąc kilka metrów od niej.

– On tu jest, ja to wiem, on... – Ledwo potrafiła złożyć zdanie, ręce jej drżały, tak samo jak jej usta. – Muszę uciec, przepraszam, Raphaelu.

Z trudem stawiała kroki, idąc w stronę nieznanego. Musiałem i chciałem ją zatrzymać. Zacząłem płynąć tuż za nią. Ledwo łapałem oddech za oddechem. Z sekundy na sekundę coraz ciężiej mi było za nią nadążyć.

– Proszę, zostań! – wykrzyczałem, omal się nie dławiając.

– Daj mi odejść, musisz pozwolić mi przed nim uciec. – Zerknęła na mnie tylko po to, by zaraz się odwrócić.

– Nie pozwolę.

– Na co?

– Żeby ktoś cię skrzywdził.

Zatrzymała się. Światło księżyca oświeślało nasze twarze. Nachyliła się do mnie.

– Ja...

– Nie, to JA przyrzekam, że dopóki tu jestem, nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię skrzywdził. Wróćmy razem na wyspę, obiecuję być z tobą o każdej porze dnia i nocy, na jawie, jak i we śnie.

Chłodny podmuch rozmazał odbicie pełni na tafli jeziora.

– Od przeznaczenia mnie nie uchronisz – rzuciła przegnębiona.

– A czym jest przeznaczenie w obliczu siły człowieka? To my tworzymy nasz wspólny los. Wróć ze mną, stawmy mu czoła, proszę.

Trzęsłam się ze strachu. Głos Raphaela był jedynym, co mnie uspokajało. Spojrzałam na niekończącą się ścieżkę, a potem na niego. Nie byłam w stanie uwierzyć w to, że dotrzyma obietnicy, ale część mnie chciała mu zaufać. Biłam się z myślami do momentu, aż jego słowa wdarły się do moich uszu:

– Jeśli masz rację, to prawda jest taka, że nie uciekniesz przed tym, ile byś nie próbowała. Powiedz mi, wolisz żyć w nieustannym strachu, czy pozwolisz, abym cię udowodnił, że przeznaczenie da się zmienić?

To jedno pytanie było tak proste, a zarazem zmieniło wszystko.

– Pamiętaj, że to nie była twoja wina odparłam cicho.

Ostrożnie postawiłam stopę na piasku, ciągle rozglądając się dookoła. Przemoczony Raphael rozpalil ognisko. Siadłam przy nim i opłotłam go rękami, co sprawiło, że otworzył szeroko oczy. Czyżby jego ludzie nie ocieplali się w ten sposób? Przynajmniej wypieki na twarzy oznaczały, że to działa. Chciałam dorzucić gałęzi do ogniska, lecz on miał taki sam zamiar. Nasze dłonie spoczęły jedna na drugiej, spojrzeliśmy na siebie, nic nie mówiąc. Jego oddech pogładził mnie po twarzy. Przez moment świat dookoła nas zniknął. Z zawieszenia wyrwał mnie trzask ogniska. Chwyciłam szybko gałąź, po czym wrzuciłam ją w płomień. Raphael odwrócił ode mnie wzrok i skierował go na gwiazdy.

– Dobrze być tu z tobą, Auroro – powiedział ze ściśniętym gardłem.

Jego słowa rozgrzały mnie od środka. Nie chciałam, żeby opuszczał tę wyspę. Jeśli los miał zabrać mnie z tego świata, niech nie robi tego teraz i pozwoli poznać mi go bliżej. Wmawiałam sobie, że to ciekawość oraz doskwierająca samotność. Nie chciałam się do tego przyznać... lecz podświadomie wiedziałam, że to właśnie z nim pragnęłam tu być.

– Dziękuję, że mnie powstrzymałeś – wyszeptalam.

– Nie masz za co, naprawdę nie masz za co.

Oboje nie mogliśmy zasnąć. Dym z ogniska unosił się w powietrzu. Notorycznie spoglądałam w stronę spowitego mrokiem lasu. Raphael siedział z kolanami przyciśniętymi do klatki piersiowej. Spoglądał na mnie raz na jakiś czas. Udałam, że tego nie widzę. Nasze ciała lekko drgały w rytm szumu wiatru. Raphael obrócił się do mnie, rozprostował nogi i przyciągnął do siebie dużą grudę piasku. Zaczęłam go obserwować, a moja mina wyrażała zainteresowanie. W ciszy zgarniał coraz to więcej małych drobinek. Wstał, podszedł do jeziora. Nabral wody w ręce, po czym wylał ją na zebrany piach. Kiedy zaczął z niego formować przeróżne kształty. Nie rozumiałam, po co to robi. Mimo to wstrzymałam się z pytaniami, ten widok w połączeniu z ciszą tłumil mój strach. Płomień ogniska kurczył się stopniowo, a przed moimi oczami rosła budowla, której kształtu nie potrafiłam rozpoznać. Nie mogłam dłużej się powstrzymywać.

– Co to? – zapytałam po cichu.

– Zamek z piasku. Chcesz mi pomóc?

Czym był „zamek”? Zastanawiałam się, siadając przy Raphaelu. Wydawało mi się, że odczytał to pytanie z moich myśli, kiedy nie mówiąc nic, czule złapał mnie za nadgarstki.

– Teraz zajmijmy się wieżą. W takich budowlach kiedyś mieszkali najwięksi władcy mojego świata. Oczywiście nie były zrobione z piasku – dodał z lekkim rozbawianiem w głosie.

Prowadził moje dłonie w górę. Czułam, jak piasek wygładza się pod palcami. Uśmiech sam wprosił mi się na twarz, a ciepły oddech Raphaela na karku wywołał u mnie dreszcze. Powoli zmienialiśmy nic nieznaczący pył w budynek godny królów, o których w międzyczasie mi opowiedział.

Kiedy skończyliśmy, nagle poczuła senność. Wciąż trzymając go za rękę, położyłam się i oparłam głowę na jego udzie. Przez chwilę poczułam się jak w domu, znów leżałam w swoim łóżku, a w powietrzu unosił się zapach błękitnych róż.

– Auroro, wybacz, muszę o to zapytać. Cemu chciałaś uciec?

– Wilk, to on będzie moją zgubą, ostatnim, co zobaczę – odpowiedziałam sennym głosem.

W tamtym momencie żadne zło nie mogło mnie dotknąć.

Poczułem, jak cała krew spływa mi do stóp. Dopiero po chwili zamknąłem lekko rozwarłe usta. Kiedy Aurora zasnęła, delikatnie położyłem jej głowę na piasku. Zacząłem iść wzdłuż linii brzegowej. Co jakiś czas się odwracałem, by zobaczyć, czy Aurora jest bezpieczna. W myślach powtarzałem jedno słowo: wilk. Kopnąłem w ziemię i zacisnąłem pięści. Upadłem na kolana. Nie ze złości, lecz z bólu rozrywającego moje płuca. Było to uczucie, jakby stado szczurów próbowało przegryźć mi się przez wnętrzości, aby wyjść na zewnątrz. Choroba znów dała o sobie znać, moje największe przekleństwo wkrótce miało wyjść na jaw. Z trudem

powstrzymywałem łzy, zastanawiając się nad przewrotnością losu. Uderzyłem pięścią o grunt. Nie mogłem się ugiąć, obiecałem ją chronić, ale... czy byłem w stanie? Odchyliłem kołnierz koszuli – mój tors był porośnięty wilczym futrem. Huknąłem jeszcze raz pięścią, i jeszcze raz. Robiłem to do momentu, aż czerwień zaczęła spływać mi po dłoni.

O poranku wróciłem do naszego ogniska, Aurora już nie spała.

– Gdzie byłeś? – zapytała z cieniem przejęcia w głosie.

– Rozprostować nogi, rozejrzeć się po okolicy. – Byłem wyprany z emocji.

Bezkres jeziora wołał mnie do siebie. Cała moja skóra była napięta. Wyczekiwałem najlepszego momentu, żeby przyznać się Aurorze do tego, kim jestem. To co Aurora robi, gdy się dowie? – pytałem samego siebie.

Najgorszy był fakt, że znałem już odpowiedź i wcale mi się ona nie podobała. W myślach słyszałem, jak Aurora mnie przeklina, oskarża

Zajazd Pod Cnotliwą Sekutnicą



Autor: Artur Tojza

Wydawnictwo: KMH Media Group

Formaty: audiobook, e-book

Gatunek: przygodowe fantasy z domieszką science fiction

Data premiery:

Gdzie kupić? Empik, Legimi, Audioteka

Klara Abramson, córka Kaina, Władcy Demonów i wszelkich piekieł, ma w przyszłości przejąć władzę nad całym Zaświatami. Jednak by zasiąść na Świetlistym Tronie, musi spełnić jeden warunek - wyjść

za mąż.

Młoda kobieta nie ma zamiaru podporządkowywać się starym prawom i dobitnie przedstawia swe stanowisko ojcu. Ten zawiera z córką pakt: jeśli ta przez sto lat da radę z sukcesem poprowadzić pewien przybytek na jednym ze światów, wtedy przystanie na jej warunki i pomoże zmienić prawo. W innym wypadku będzie mu posłuszna.

Klara podejmuje wyzwanie i tym samym trafia na Panger, planetę z pozoru podobną do Ziemi z końca XIX wieku, jednak zamieszkaną przez elfy, krasnoludy i inne fantastyczne rasy. W świecie tym magia jest skupiona w rękach elit, a większość zdobyczy technologicznych nadzoruje elficka Inkwizycja Myśli.

Okazuje się, że Klara trafia do miejsca skrywającego wiele mrocznych tajemnic, w tym przerażający sekret dawnego ludzkiego państwa, zwanego Trzynastym Królestwem.

Jest to pierwszy tom serii Trzynaste Królestwo, będącej wprowadzeniem do Multiwersum Snów. Rzeczywistości, w której magia oraz technologia łączą się w jedność.

Seria stanowi również prequel do „Piekle kosmosu” oraz nawiązuje do pewnych wydarzeń wspomnianych w „Farreterze”.

o zdradę... mówi, że mam zniknąć z jej życia. Zapraǳiałem uciec, tylko w jaki sposób? To nie tak, że chciałem ją zostawić, po prostu musiałem. Każda chwila rozmowy z Aurorą sprawiała, że mimo iż była obok, tęskniłem za nią coraz bardziej.

W tym samym momencie spojrzeliśmy na zamek z piasku.

– W świetle dnia jest jeszcze piękniejszy – stwierdziła Aurora, muskając paznokciami jedną z chropowatych gałęzi.

– Tak, zdecydowanie.

Moje myśli wypełniały się kolejnymi scenariuszami naszego pożegnania. Może nie pożegnać się wcale? Tylko jak miałem opuścić tę wyspę bez jej pomocy? Zmęczenie wywołane nieprzespaną nocą dało o sobie znać. Położyłem się. Dlaczego to ja urodziłem się lykanem? Człowiek z duszą wilka, tak tłumaczyła mi to matka. Normalnie bestie takie jak ja przybierają wilczą postać tylko w pełni księżyca, ponoć ja byłem inny.

– Jesteś zrodzonym w pełni – oznajmił kiedyś mój ojciec.

Nie wiedziałem, co to znaczy, poza tym, że miałem być wybawcą lykan. Nie znosiłem tego przeznaczenia, zawsze chciałem być sobą i takim pozostać. Niestety, każdego dnia czułem, jak wilczy instynkt wzmaga we mnie, pragnie czegoś nienamagalnego. Wtedy pojawiła się ona. Tylko przy Aurorze potrafiłem zapomnieć o losie czającym się za rogiem. Chciałem zapytać ją o to, czy poznała kogoś takiego jak ja, czy może wie o magicznym sposobie na moją chorobę. Teraz było już za późno. Ale czy na pewno? W najgorszym przypadku Aurora ode mnie ucieknie, ale przynajmniej uratuje się przed tym, co miało ją spotkać. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że buduje kolejny zamek z piasku. Była taka śliczna.

– Auroro! – wykrzyczałem w chwilowym przyływie odwagi.

Podeszła do mnie, po czym kucnęła i położyła ciepłą dłoń na moim kolanie. Zaschło mi w gardle. Patrząc w jej oczy, nie wyobrażałem sobie, że mogę nie zobaczyć ich już nigdy więcej. Poczułem, jak smutek odciska piętno na mojej twarzy.

– Coś się stało? – zapytała.

Od natłoku myśli piekła mnie głowa, a Aurora wpatrywała się we mnie, oczekując odpowiedzi, której nie mogłem, a raczej nie chciałem jej dać. Zebrałem się w sobie. Siłą wypchnąłem słowa przez drgające wargi.

– Koszmar, to był istny koszmar, Auroro. – Stchórzyłem, nie byłem w stanie wyznać jej prawdy.

Przytuliła mnie. Martwiłem się, że poczuje wilcze futro pod moimi ubraniami, ale nie potrafiłem jej odtrącić. Nasze spojrzenia się spotkały, a usta mimowolnie ciągnęły ku sobie.

Odepchnąłem ją, to było silniejsze ode mnie.

– Wybacz!

Pobiegłem w głąb lasu. Nie mogłem, po prostu nie mogłem. Wiatr rozwiewał moje łzy, a ja pędziłem przed siebie, starając się zapomnieć. Znikąd pojawiła się mgła. Zatrzymałem się.

– To wszystko twoja wina! – warknąłem, spoglądając na kreaturę o purpurowej sierści. – Zostaw mnie! Słyszysz? Zostaw i nie wracaj, przeklęty kundlu.

Był niewzruszony. Chwyciłem jeden z kamieni, lecz kiedy miałem nim rzucić... Zgiąłem się w pół. Serce, kości, wszystko zaczęło mnie niemilośnie palić. W tym czasie bestia zniknęła wraz z mgłą. Świat dookoła zaczął wirować, powieki mimowolnie mi opadały. Ciemność. Mój umysł powędrował do miejsca, gdzie splatają się nici przeznaczenia, a gwiazdy ogląda się z góry. Widząc bezkres czasu, w końcu zrozumiałem.

Kiedy otrząsnęłam się z szoku, Raphaella już nie było. Ta tajemnicza siła, która pchała nas ku sobie – czy to była miłość, czy zwykłe przywiązanie? Położyłam dłonie na kołatającym sercu, nie wiedząc, co mam teraz zrobić. Dlaczego czułam, że poznanie tego tajemniczego chłopaka było najważniejszym wydarzeniem w moim życiu? Gonić go? Zostawić? Zamarłam. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy usłyszałam głos przewodniczki dusz:

– Nadeszła pora naszego zbawienia, Auroro.

Koścista dłoń przerażenia zacisnęła się na moim gardle.

Nagle doznałam wizji: świat w ogniu, ulice skąpane we krwi, płaczące matki. Był to dopiero początek okrucieństw, które dostrzegłam w niekończącym się koszmarze.

– Gaja umiera, Auroro. Ty będziesz tą, która da jej siłę. Twoje przeznaczenie musi się dopełnić, nim mrok ludzkich serc wciągnie boginię w odmęt zapomnienia.

Chciałam zapytać o tak wiele rzeczy, prosić, że uciekłam, lecz nim zdążyłam to zrobić, usłyszałam:

– Nie pozwól, by nienawiść oraz strach zwyciężyły.

– Przewodniczko, zaczekaj, ja...

Ale ona już odeszła.

Dlaczego zjawiała się dopiero teraz? Czym była ta wizja?

Wtem usłyszałam szelest dobiegający z lasu. Odruchowo obróciłam głowę, a moim oczom ukazał się purpurowy wilk. Nasze spojrzenia się skrzyżowały i przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że go znam. Wilk uciekł, a ja upadłam na ziemię. Moje mięśnie zeszytywniały, ale jednocześnie coś kazało mi podążyć za bestią. Nie była to nić przeznaczenia, a – uczucie.

Prowadzona światłem księżyca, wtargnęłam w leśną gęstwinę. Błądziłam do momentu, aż donośny skowyt przeszył powietrze. Ruszyłam w jego stronę, zastanawiając się czy słusznie postępuję.

Wybiegłam po drugiej stronie wyspy i zatrzymałam się gwałtownie. Na brzegu, dokładnie na ścieżce prowadzącej do wyjścia stąd, stał wilk. Na mój widok bestia pomknęła ku swojemu światu. W głębi duszy wiedziałam...

– Raphael! – krzyknęłam drżącym głosem.

Znieruchomiał, a ja podbiegłam do niego najszybciej, jak potrafiłam. Gdy dzieliło nas zaledwie parę kroków, zatrzymałam się. Chłód przeszył moje kości, dłonie zaczęły drżeć. Czy na pewno tego chciałam?

Patrzyliśmy na siebie, czułam jego potrzebę bliskości, ale ja... nie mogłam podejść. Ta chwila niepewności wystarczyła. Raphael zawył, po czym odszedł ze spuszczoną głową. Powoli zniknął za mgłą, a ja stałam beczynn timer, mimo że serce mówiło „idź”. Bałam się go dopuścić do siebie, bałam się swojego końca. Jednocześnie przed oczami miałam wspomnienia wspólnie spędzonych chwil. Nasza znajomość nie trwała długo, lecz nigdy za nikim nie zatęskniłam tak szybko, jak za nim.

– Raphael, proszę, wróć – błagałam po cichu.

Było już za późno, nicość wypełniła mnie od środka. Wróciłam na brzeg, w myślach przeklinałam siebie za to, że wygrałam z przepowiednią. Położyłam się i zamknęłam oczy. Dryfowałam myślami po bezkresie rozpacz. Wszystko dookoła zaczęło się rozpadać. Pnie drzew czerniały i kruszyły się za moimi plecami. Krzewy wracały pod ziemię. Chciałam, żeby bezkresny mrok pochłonął i mnie.

– Ta tajemnicza siła, która pchała nas ku sobie, czy to była miłość, czy zwykłe przywiązanie? – zadałam sobie to pytanie jeszcze raz.

Ze łzami w kącikach oczu powiedziałam na głos:

– Miłość, to była miłość.

Co jednak znaczyło to słowo, kiedy nie miało się go z kim dzielić? Ile razy można je wypowiedzieć i nie zmienić nic?

Nagle poczułam ciepły oddech na swojej twarzy. Nade mną stał Raphael. On był wilkiem, który był mi pisany. Wpatrując się w jego purpu-

rowe oczy, rozumiałam, że przeznaczenie zawsze było większe niż my. Nie mogliśmy wiecznie przed nim uciekać, a egoistyczne pobudki nigdy nie powinny być ważniejsze niż dobro ogółu. On też to rozumiał. Powoli zbliżaliśmy się do siebie. Nasze usta spotkały się w namietnym pocałunku i był to najszczęśliwszy moment naszych dotychczasowych żyć.

Zielony blask przeszył nieboskłon. Ogromna postać wyrosła z ziemi. Jej pokryta korą twarz była młodsza, jej oczy szczęśliwe. Spojrzałam na Raphaela, po chwili nasze ciała przylegały do siebie. Lazurowe światło księżyca nas otulało – kolejny pocałunek, już ostatni w tym życiu. Bogini uklękła na jedno kolano i położyła ręce na ziemi. Przez moment wspólnie przyglądaliśmy się jej tunice objającej całe ziemskie życie.

– Kocham cię – wyszeptał Raphael, stawiając stopę na pokrytej korą dłoni.

– Ja ciebie też kocham – odpowiedziałam z uśmiechem na ustach.

Gaja wyniosła nas pod same chmury. Matka życia złożyła dłonie. Otaczał nas mrok, ale to dobrze, trzeba coś zniszczyć, by zbudować to na nowo. Ostatnie sekundy dawnego życia spędziliśmy w swoich objęciach. Spod palców bogini rozbłyśły promienie zielonego światła. Wyspa zaczęła wracać do życia: w miejsce starych drzew wyrosły nowe, a krzewy wręcz wystrzeliły z ziemi. Po chwili Gaja rozłożyła ręce, wydając z siebie okrzyk radości. Blask lazurowo-purpurowego światła otoczył ziemię, zabijając strach. Bariery opadły, a w ich miejsce pojawiły się zrozumienie oraz empatia. Ten, którego niegdyś nazywali obcym, stał się bratem lub siostrą. Świat pozbawiony męki narodził się ze zgłiszczy nienawiści oraz strachu. Odeszliśmy wspólnie do nowego świata, depcząc po drodze zazdrość i chciwość. To właśnie tam spoczniemy, nowi my, z orężem miłości wbitym w serce. Kolejny cykl się zakończył, rozpoczynając nowy.

Nastała era harmonii.

Czy tym razem na stałe?

CZYM JEST DYREKTYWA O DOSTĘPNOŚCI

PO CO POWSTAŁA I DLACZEGO ZMIENIA SPOSÓB PRZYGOTOWYWANIA E-BOOKÓW

REDAKCJA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

KOREKTA: EWA RAJSKA

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

W ostatnich latach coraz częściej mówi się o dostępności. Nie jako dodatku, miłego gestu czy „opcji premium”, ale jako standardzie, który powinien być naturalną częścią projektowania produktów i usług. Jednym z najważniejszych kroków w tym kierunku jest dyrektywa o dostępności, która realnie wpływa także na rynek wydawniczy – w tym na sposób przygotowywania e-booków.

Ten tekst jest próbą spokojnego, uporządkowanego wyjaśnienia:

- czym jest dyrektywa o dostępności,
- dlaczego w ogóle powstała,
- kiedy zaczęła obowiązywać,
- oraz dlaczego sprawia, że do składu e-booków potrzebni są wyspecjalizowani ludzie, a domowe sposoby często nie wystarczają.

Czym jest dyrektywa o dostępności?

Dyrektywa o dostępności, znana szerzej jako European Accessibility Act (EAA), to przyjęty przez Unię Europejską akt prawny, którego celem jest ujednolicenie wymagań dotyczących dostępności produktów i usług na rynku europejskim.

W praktyce oznacza to jedno...

Produkty cyfrowe – w tym e-booki – muszą być możliwe do używania przez jak najszerszą grupę odbiorców, niezależnie od ich sprawności, wieku czy sposobu korzystania z technologii.

Dostępność nie dotyczy wyłącznie osób niepełnosprawnych. Obejmuje również:

- osoby słabowidzące,
- osoby z dysleksją,
- osoby z ograniczeniami ruchowymi,
- osoby neuroróżnorodne,
- seniorów,
- użytkowników czytników ekranowych

i technologii asystujących.

To nie jest nisza. To ogromna część społeczeństwa.

Po co powstała ta dyrektywa?

Nie pojawiła się przypadkiem. Jej powstanie było odpowiedzią na realny problem wykluczenia.

Przez lata:

- produkty cyfrowe były projektowane głównie z myślą o „przeciętnym” użytkowniku,
- standardy dostępności różniły się w zależności od kraju,
- osoby z niepełnosprawnościami często nie mogły korzystać z treści na równych zasadach.

Unia Europejska zauważyła, że brak wspólnych regulacji:

- ogranicza dostęp do kultury i edukacji,
- utrudnia swobodny przepływ towarów i usług,
- pogłębia nierówności społeczne.

Dyrektywa o dostępności ma więc dwa cele jednocześnie

SPOŁECZNY – zapewnienie równego dostępu do treści i usług.

RYNKOWY – ujednolicenie zasad w całej UE, tak aby produkt dostępny w jednym kraju spełniał te same wymagania w innym.

Kiedy dyrektywa zaczęła obowiązywać?

Dyrektywa została przyjęta w 2019 roku, a państwa członkowskie otrzymały czas na wdrożenie jej do prawa krajowego.

Pełne stosowanie przepisów zaczyna się w 2025 roku.

To ważne: nie jest to nagła zmiana „z dnia na dzień”, ale też nie jest to odległa przyszłość.

Dla branży wydawniczej to wyraźny sygnał, że dostępność przestaje być opcją, a staje się obowiązkiem.

Co to oznacza dla e-booków?

E-book, który spełnia wymagania dostępności, to nie jest po prostu plik z tekstem.

To publikacja, która:

- ma poprawną strukturę logiczną (nagłówki, sekcje, hierarchię),
- jest czytelna dla czytników ekranu,
- umożliwia zmianę wielkości fontu bez utraty układu,
- posiada opisy alternatywne grafik,
- nie opiera sensu treści wyłącznie na kolorze lub układzie wizualnym,
- działa poprawnie na różnych urządzeniach i w różnych technologiach asystujących.

I tu pojawia się istotny moment.

Dlaczego domowe sposoby często nie wystarczą?

Wiele osób zakłada, że: „Wystarczy zapisać tekst jako EPUB albo PDF i gotowe”.

Niestety – to mit.

Program może wyeksportować plik, ale:

- nie sprawdzi sensowności struktury,
- nie poprawi błędnej hierarchii nagłówków,
- nie nada znaczenia elementom wizualnym,
- nie zadba o semantykę dokumentu,
- nie przetestuje pliku z czytnikiem ekranu.

Dostępność to nie checkbox w programie.

To proces, który wymaga wiedzy, doświadczenia i świadomości, jak działa odbiór treści przez różne osoby.

Dlaczego do składu e-booków potrzebni są odpowiedni ludzie?

Profesjonalny skład e-booka dostępnego:

- łączy kompetencje redakcyjne, techniczne i projektowe,
- wymaga znajomości standardów (np. WCAG),
- wymaga myślenia nie tylko o estetyce, ale również o funkcjonalności,
- często wymaga ręcznych korekt kodu EPUB,
- zakłada testowanie pliku w realnych warunkach użytkowych.

To praca, której nie da się w pełni zautomatyzować.

Magazynowanie książek oraz sprzedaż internetowa

Koszty i prowizje - Co musisz wiedzieć?



Oплата wprowadzenie 20 zł

Oплата за wprowadzenie książki то единовременно 20 zł brutto за каждый титул (książka papierowa, e-book lub audiobook).

Oплата magazynowa miesięczna 130 zł

Если дистрибуируешь книжки папиерове, мушиз лициць сиэ з коштиэм 130 zł brutto за палету (500 егземплярэй) миешиэcznie.



Prowizje od sprzedaży 10%, 15%

15% brutto od ceny detalicznej książki papierowej.
10% brutto od ceny detalicznej e-booka lub audiobooka.

Miesięczna obsługa serwisowa 20 zł

Kosztuje 20 zł brutto i obejmuje wsparcie techniczne, obsługę klienta oraz raporty sprzedaży.



Oferuję magazynowanie książek oraz sprzedaż egzemplarzy w moim sklepie internetowym – to rozwiązanie dla autorów, którzy chcą zaoszczędzić czas, a często także pieniądze, bez potrzeby tworzenia własnego sklepu, opłacania platform i obsługi systemów sprzedażowych.

Chcesz wiedzieć więcej?

Napisz:

craft.swan.creations@gmail.com

Tak samo jak nie da się zastąpić redaktora jednym kliknięciem.

Dyrektywa o dostępności jasno pokazuje, że: e-book nie jest już tylko „produktem wydawniczym”, ale narzędziem komunikacji, które musi być inkluzywne.

Co zmienia dyrektywa – tak naprawdę

Dyrektywa o dostępności zmienia perspektywę.

Z pytania: „Czy ten e-book wygląda dobrze?” na pytanie: „Czy każdy może z niego skorzystać?”.

To przesunięcie akcentów jest fundamentalne. I właśnie dlatego coraz częściej potrzebni są:

- doświadczeni składacze e-booków,
- redaktorzy świadomi dostępności,
- specjaliści DTP rozumiejący technologię, a nie tylko estetykę.

Kompedium o dyrektywie EAA

Dyrektywa EAA to skrót od European Accessibility Act (Europejski Akt o Dostępności).

Dotyczy ona m.in. e-booków i usług cyfrowych.

W praktyce

EAA nakłada obowiązek, aby produkty i usługi cyfrowe były dostępne dla osób z niepełnościami, w tym dla osób niewidomych i słabowidzących.

W odniesieniu do e-booków oznacza to, że wydawcy, dystrybutorzy i sprzedawcy muszą zapewniać publikacje w formacie możliwym do odczytania przez technologie wspomagające (np. czytniki ekranu, syntezy mowy, powiększalniki).

Dotyczy to zarówno samego pliku e-booka, jak i platform sprzedaży/dystrybucji (np. sklep internetowy, aplikacja do czytania).

Konkretnie przy e-bookach dyrektywa wymaga m.in.:

- stosowania semantycznych znaczników (np. nagłówki, listy, przypisy),
- opisów alternatywnych dla grafik,
- unikania elementów nieczytelnych dla czytników ekranu,
- dostępnych formularzy (np. logowania, zakupów),
- odpowiedniego kontrastu i czytelności na platformach sprzedaży i w aplikacjach.

Terminy

Dyrektywa EAA została przyjęta w 2019 r.

Państwa członkowskie UE wdrażają przepisy do prawa krajowego.

Od 28 czerwca 2025 r. obowiązki zaczną realnie dotyczyć przedsiębiorców (czyli m.in. wydawców i księgarnie internetowe).

Dyrektywa o dostępności nie jest zagrożeniem dla twórców.

Jest szansą na tworzenie treści lepszych, mądrzejszych i bardziej odpowiedzialnych.

A e-book, który jest dostępny:

- dociera dalej,
- służy dłużej,
- spełnia standardy przyszłości.

I właśnie dlatego domowe sposoby często przestają wystarczać.

Bo EAA to nie skrót. To jakość.



Nasze błękitne lato

Autor: Artur Tojza

Formaty: audiobook

Gatunek: romans w stylistyce k-dramy

Patryk Han po wielu latach przybywa do

Korei, w rodzinne strony ojca, gdzie czeka na niego spadek po dziadkach: ziemia wraz z domem i dawnym pensjonatem. Przyjął spuściznę pod wpływem chwili, nie wiedząc, co zastanie na miejscu. Okazuje się, że jego babcia przed śmiercią przerobiła stary pensjonat na wiejską klinikę, którą obecnie zarządza Son Su-ah, pierwsza miłość Patryka z czasów, gdy mieli po trzynaście lat. Powracają wspomnienia, na nowo odżywają dawno zakopane uczucia, a jednocześnie na wierzch wypływa cała seria tajemnic rodziny Han. Wychodzi na jaw, że ktoś celowo doprowadził do rozdzielenia pary zakochanych nastolatków oraz ukrywał przed Su-ah listy, które Patryk wysyłał do niej z Polski. Trzydziestolatkowie postanawiają rozwikłać zagadkę i odkryć, kto oraz dlaczego rozdzielił ich na blisko dwadzieścia lat. Nie zdają sobie jednak sprawy, z jak mroczną i zawiłą tajemnicą przyjdzie im się zmierzyć.

Czy pierwsza miłość na nowo rozkwitnie?

Jakie sekrety skrywa rodzina Patryka?

Czemu chciano go rozdzielić z Su-ah?

Odpowiedzi poznacie, sięgając po „Nasze błękitne lato”, książkę napisaną w stylu romantycznej k-dramy.

HANDLARZ DARAMI

REDAKCJA: WERONIKA BELOWSKA

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

Karnawał był jedynym momentem, gdy miała możliwość wyruszyć na łowy. Raz do roku, kiedy Kryształowe Księżyce ustawiały się w jednej linii, tworząc zaćmienie, mogła kontynuować swoje poszukiwania. A czas rozpaczliwie się jej kończył. Niebawem minie jej dwudziesta piąta wiosna i jeżeli nie wypełni swojego przeznaczenia, po prostu umrze. Problem polegał na tym, że dostała niezwykle rzadki i nieprzydatny dar od bogini Tamaris. Dar, który sprawił, że była ścigana w całym królestwie, a jej podobizny – lepsze bądź gorsze – niczym obrazy w muzeum zdobiły wszystkie tablice ogłoszeniowe, drzwi karczm i wejścia do świątyń.

Wzięła w dłonie maskę, którą przygotowała na dzisiejszy wieczór. Przedstawiała ona lisicę z lekko wysuniętym pyszczkiem. Była piękna. Miedziana okleina odbijała światło świecy i przywodziła na myśl prawdziwy ogień – kolor jej włosów. Na co dzień przeklinała rudość, która towarzyszyła jej od maleńkości, w dzień karnawału jednak tysiące kobiet przywdzieją peruki w tym właśnie odcieniu, udając mityczną boginię Karis. Boginię łowów, która potrafiła przyjmować postać lisicy właśnie. Delikatnie musnęła maskę opuszkami palców. Uwielbiała dotykać przedmiotów, poznawać ich fakturę i kształt. Mogła to robić do woli, bo nie wiązało się to z żadnymi przykrymi konsekwencjami. Zupełnie inaczej się miała sprawa z dotykaniem ludzi...

Dar Halszki się uwidocznił, gdy skończyła osiemnaście wiosen i dostała pierwszego miesięcznego krwawienia. Nie było w tym nic niezwykłego. Zazwyczaj Ujawnienie pojawiało się u dziewcząt, gdy osiągały dojrzałość płciową, i wówczas także poznawały one swoje przeznaczenie: odkrywały je kolejnej nocy podczas snu. U Halszki wyglądało to inaczej – przede wszystkim tamtej nocy nie śniła. Nie dowiedziała się, czy posiada dar botaniczny, naukowy, muzyczny, czy jakkolwiek inny. Zasnęła i obudziła się rano z wrażeniem, że całą noc spędziła w pustce. Nie było wskazówek, czym jest jej przeznaczenie.

Parę dni później zrozumiała jednak, że coś się zmieniło. Okazało się, że nikt nie potrafił tego, co ona. Gdy wracała z targu, spotkała Ovego – chłopca, z którym planowała spędzić

życie. Kiedy złapał ją za dłoń, ujrzała wszystkie najgorsze rzeczy, które ten uczynił. Zachłysnęła się powietrzem i wyrwała rękę. Chłopak patrzył na nią, nic nie rozumiejąc, ona jednak już wiedziała. Wiedziała, że Ove sypia z jej siostrą. Wiedziała, że okrada jej dom z jedzenia. Wiedziała, że wraz ze swymi kolegami naśmiewa się z jej naiwności. Niewiele myśląc, wygarnęła mu to wszystko, uderzając pięściami w jego tors i zalewając się łzami. Sama nie wiedziała, czego się spodziewać, choć na pewno nie była gotowa na to, że chłopak brutalnie ją popchnie i zacznie wyzywać od wiedzmi.

Wieści o umiejętnościach, które posiadała, szybko rozeszły się po okolicy i Halszka została wykluczona ze społeczności. Ludzie się jej bali. Nikt nie chciał, by poznała ich tajemnice. Zwłaszcza te najgorsze. Dwa lata później odeszła więc i postanowiła rozpocząć nowe życie w zupełnie innym miejscu. Jej sława szła jednak za nią niczym mroczny cień.

Z każdym rokiem jej uroda przyciągała coraz większą uwagę. Włosy, nawet ścięte bardzo krótko, odzyskiwały swoją długość po kilku dniach, a ich kolor po prostu raził w oczy. Doskonale wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Spotykało to osoby, które wbrew woli bogów nie wypełniały swojej powinności. Halszka jednak nie wiedziała, co powinna robić. Dotyk innych ją niszczył. Widziała w ludziach wyłącznie zakłamanie i zło. Nie spotkała nikogo, kto nie miałby wielu rzeczy na sumieniu – nawet dzieci, choć akurat ich mroczne sprawy dziewczyna była w stanie unieść. Postanowiła więc nosić rękawiczki, by oszczędzić sobie cierpienia.

Świat bez bliskości i ciepła innych był niezwykle mrocznym światem. Nie potrafiła stwierdzić, czy w ten sposób jest jej źle, czy trudniej. Gdy jednak przestała korzystać ze swojego daru, zaczęła się upodabniać do bogini Karis. Zawsze była do niej podobna, ale w tym momencie mogłaby wręcz uchodzić za jej córkę.

Dlatego właśnie Karnawał w dniu zaćmienia był idealnym momentem na jej łowy – nikt wówczas nie zwracał na nią uwagi. Nie wyróżniała się niczym szczególnym wśród tysiąca kobiet przebranych za boginię łowów.

Wręcz czekała na ten dzień, który był zarówno jej osobistym świętem, jak i jedyną nadzieją. Przybyła do stolicy tylko z jednego powodu: by znaleźć dla siebie ratunek. To tu podobno żył człowiek specjalizujący się w zamianie darów. Zamierzała go odszukać, by odebrał jej mroczny dotyk i dał w zamian inny dar. Doskonale wiedziała, że nie będzie to uczciwa transakcja, postanowiła jednak, że i tak spróbuje. By żyć.

Według legend człowieka tego można było spotkać w czasie Karnawału Kryształowego Zaćmienia w pobliżu ognisk pochwalnych. Podania mówiły, że posiada on kilkanaście darów i nimi handluje. Trzeba go jednak przekonać, by zechciał się wymienić. Podobno wyczuwa tego, kto przyszedł się targować. Halszka miała więc nadzieję, że i ją namierzy.

Założyła suknię w kolorze miedzi i nasunęła maskę na twarz. Spoglądając w lustro, miała

wrażenie, że jej oczy wręcz krzyczą, kim jest. Ich zieleń była coraz intensywniejsza. Na szczęście zapadł już zmrok, a wtedy wszystko traci swój blask.

Zabezpieczyła brzegi sukienki, lekko je upinając, by w razie potrzeby móc swobodnie uciekać. Musiała być gotowa na to, że ktoś ją rozpozna, bo wszędzie wisiały plakaty z jej podobizną. Ściągał ją król. Pragnął, by stała się narzędziem w jego rękach. Wyznaczył za nią ogromną nagrodę, więc wychodziła jedynie nocą i żyła w ciągłym strachu. Na plakatach określano ją jako Mroczny Dotyk. Według pogłosek gdy ktoś jej dotknie – umiera.

Gdy stanęła w wąskiej uliczce, tłum wiwatujących ludzi porwał ją ze sobą. Wszędzie rozbrzmiewał śmiech i grała muzyka. Szczęście było wręcz namacalne. Wokół niej płonęła ruadość peruk. Tak jak podejrzewała – większość kobiet postanowiła przebrać się za niepokorną boginię.

Według podań Karis była śmiertelniczką, która rzuciła wyzwanie bogom. Nie chciała wypełniać swojego przeznaczenia, jak to czynili wszyscy od wieków, a że dostała dar śmierci, miała zabijać i przeprowadzać dusze w zaświaty. Jeżeli chodziło o złoczyńców, nie miała z tym problemu, nie godziła się jednak na zabijanie dzieci i niewinnych. Oczywiście w dniu dwudziestych piątych urodzin zmarła. Ta historia miała jednak kilka wersji. Najczęściej mówiło się o tym, że Helar – bóg chaosu – zakochał się w Karis i by została jego partnerką, uczynił ją nieśmiertelną. Ona jednak zamiast okazać wdzięczność, wpadła we wściekłość, że odebrano jej możliwość decydowania. Od tamtej pory toczą ze sobą nieustanną walkę, a na kobiety spadła klątwa: każda, która nie wypełnia swojego przeznaczenia, zaczyna być podobna do Karis, by inni wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Po dotarciu do głównego placu Halszka spróbowała wydostać się z tłumu i stanąć pod podcieniami. Stamtąd miała idealny widok na płonące na zielono ognisko. Był to święty ogień – zapalany wyłącznie na wyjątkowe okazje.

Na nocnym niebie skrzyły się dwa Kryształowe Księżyce.



Do zaćmienia pozostała jeszcze godzina.

Halszka czekała, obserwując tłum. Czuła zadość, patrząc, jak ludzie trzymają się za ręce i nie widzą w tej drugiej osobie wyłącznie zła. Żałowała, że się nie zdecydowała, by spróbować z kimś żyć, strach przez odkryciem, że jest się oszukiwaną, był jednak zbyt wielki. Weszła w dorosłość w poczuciu, że ludzie to kłamcy.

Nagle poczuła, jak ktoś wyrzywa jej sakiewkę. Odwróciła się błyskawicznie i dostrzegła mężczyznę w masce wilka, trzymającego w dłoniach wszystkie jej pieniądze.

– Hej! Oddawaj! – krzyknęła.

Bandyta podrzucił tylko swój łup i zaczął z nim uciekać.

– Złodziej! – krzyknęła jeszcze raz, ale świętując tłum nie zwrócił na nią uwagi.

– Na jaja Moguna... – zaklęła pod nosem, po czym podwinęła suknię i ruszyła w pościg.

Wściekłość napędzała ją niczym najlepsze paliwo. Tuż nad tłumem widziała czarne, kręcone włosy złodzieja. Stanowiły dla niej w tym momencie najważniejszy punkt orientacyjny. Ludzie rozstępowali się przed uciekinierem, a ona z tego korzystała. Dzieliło ją od niego zaledwie kilka kroków, on jednak wciąż był szybszy.

W pewnym momencie skręcił gwałtownie i pobiegł w kierunku nabrzeża. Tutaj praktycznie nikogo nie było, bo ludzie skupili się w centrum miasta. Halszka, dysząc ciężko, kontynuowała pościg. Powoli dystans pomiędzy nimi się zwiększał. Dziewczyna już zaczynała tracić nadzieję, że odzyska swoje pieniądze. Nie do końca wiedziała, jak wygląda transakcja z handlarzem, ale miała nadzieję, że dzięki monetom będzie mogła liczyć na jego przychyłność. Jeśli straci je wszystkie, znajdzie się w bardzo niekorzystnej sytuacji.

W kolejnym zaułku zatrzymała się gwałtownie. Znaleźli się w ślepej uliczce. Złodziej stał przed murowaną ścianą, wpatrując się w nią. Widziała jego szerokie plecy.

– Hej, ty! – krzyknęła. – Oddawaj moją sakiewkę!

Mężczyzna bardzo powoli odwrócił się w jej stronę. Dopiero w tym momencie poczuła, że paraliżuje ją strach. Nie wierzyła, że pobiegła za dwa razy większym od siebie napastnikiem, licząc... no właśnie, nie potrafiła sobie przypomnieć, na co właściwie liczyła. Że poprosi, a on jej odda to, co ukradł?

Ciemna postać zrobiła kilka kroków do przodu. Gdy wyszła z cienia, Halszka aż zamarła ze strachu. Mężczyzna był wysoki i umięśniony. Miał na sobie skórzany kombinezon i tylko szara maska wilka odróżniała się kolorem od tej wszechobecnej czerni. Mogłaby przysiąc, że złodziej się pod nią uśmiecha.

– Nie radzę ci się do mnie zbliżać nawet na krok! – powiedziała. – Jestem uzbrojona. Jeśli jednak oddasz mi moją sakiewkę, nie zawołam służb i rozstaniemy się w pokoju.

Jego śmiech wypełnił zaułek..

– Mówisz o tym sztyleciku na twoim udzie? – Głos nieznanego brzmiał szorstko.

Halszka starała się z całych sił, by nie dać po sobie poznać, co czuje. A czuła czystą panikę. Gdyby nie obawa, że mężczyzna rzuci się na nią, gdy tylko ona się odwróci, już by jej tu nie było. Pomimo paraliżu i galopu serca jednym płynnym ruchem wydobyła broń. Nie miała pojęcia, skąd o niej wiedział. Najpewniej zgadywał i trafił w dziesiątkę.

I w tym momencie stało się coś, co powinna była przewidzieć. Zapadła całkowita ciemność, ponieważ księżyc naszył na siebie. W jednej sekundzie napastnik złapał jej dłoń i przycisnął je do ściany naprzeciwko, a sztylet z głuchym brzękiem wylądował na bruku. Halszka krzyknęła, ale tylko raz, bo napastnik, nadal przytrzymując jej dłoń przy ścianie, jedną ręką szybko zdjął jej maskę i zatkał jej usta. W całkowitej ciemności rozległ się jego szept:

– Dlaczego krzyczysz, skoro to dla mnie się wystroiłaś i przyszłaś na ognisko? Możemy pohandlować. Ale cena za nowy dar nie będzie mała.

Powoli opuścił dłoń z jej ust, a miasto znów zostało zalane światłem Krysztalowych Księżyców. Halszka zamiast zapytać o cenę, oznajmiła:

– Nie widzę twoich grzechów. Jesteś nieczytelny dla mojego dotyku... – W jej głosie dźwięczał szok.

Nigdy nie spotkała nikogo, kto byłby na nią odporny. Mężczyzna się odsunął i zdjął maskę wilka, a dziewczyna wciągnęła powietrze. Jego oczy lśniły czystym srebrem, niczym Krysztalowe Księżyce.

– Powiedzmy, że nie jestem jak inni – mruknął. – Nie mam czasu. Możemy zawrzeć umowę, zamienię twój dar, gdy odpowiednio za to zapłacisz.

– Chciałam, ale mnie okradłeś! – prychnęła ze złością.

Nieznamy uśmiechnął się jednym kącikiem ust i rzucił jej sakiewkę.

– To nie ma dla mnie znaczenia. Oczekuję czegoś innego. Wypełnisz dla mnie zadanie.

– Jakie? – Spodziewała się najgorszego.

– Powiem, gdy złożymy przysięgę krwi – oznajmił, podniósł z ziemi jej sztylet i naciął sobie dłoń.

Ciemna krew wypłynęła na powierzchnię. Halszka nie zastanawiała się długo. Zostało jej zaledwie kilka miesięcy do dwudziestych piątych

urodzin. Nie miała nic do stracenia. Złamanie przysięgi kończyło się śmiercią, która i tak już od dłuższego czasu siedziała jej na ogonie.

Wzięła nóż od handlarza i powtórzyła nacięcie u siebie, patrząc mu prosto w srebrne oczy. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Gdy uściśnęli sobie dłonie, łącząc krew, całe jej ciało przeszły dreszcz. Zakreśliło jej się w głowie i lekko się zachwiało.

Mężczyzna zabrał rękę i wbił w nią spojrzenie swoich niezwykłych oczu.

– Powiesz wreszcie, co mnie czeka? – zapytała zniecierpliwiona.

– Z przyjemnością. – Nieznajomy wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Chcę, żebyś mnie zaabiła.

MARTA PAWLIK

Z wykształcenia archeolog, z zawodu linergistka. Na co dzień pracuje z pacjentkami onkologicznymi, pomagając im wracać do normalności po leczeniu chemioterapią i mastektomii. Prywatnie mama 17-letniej Oliwii i to dla córki pisze od dziesięciu lat powieści oraz opowiadania, które rosną wraz z nią. Do tej pory trafiły jedynie do szuflady, ale niczym nocne stwory powoli z niej wychodzą.

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: [maki_papierowe](#)



Wydawnictwo Limitless Mind Publishing

Weź do ręki swoją książkę już w tym roku!

Wydawnictwo z Duszą z siedzibami w Polsce i UK.

Wydajemy książki na całym świecie na warunkach, jakich nie znajdziesz nigdzie indziej!

Poczuj to... Wchodzisz do ulubionej księgarni.

Twoje serce bije szybciej.

Wśród setek tytułów – jest. Twoja książka.

Z Twoim nazwiskiem na okładce.

Dotykasz jej. Czujesz fakturę papieru. To nie sen. To Twoja historia. Poza miejscem i czasem.

Pomagamy zamieniać marzenia w dzieła.

Wspieramy autorów, którzy chcą zostawić po sobie coś więcej:

- książki rozwojowe, duchowe i inspirujące;
- poradniki, które mają realny wpływ na czyjeś życie;
- edukacyjne i rekreacyjne książeczki dla dzieci;
- autobiografie, historie z sercem, beletrystykę z przekazem.

Zatroszczymy się o Twoją książkę z pełną starannością:

- Redakcja, Korekta, okładka, skład, publikacja, promocja;
- dystrybucja do największych księgarni w Polsce i na świecie – **Empik, Amazon;**
- wsparcie jak od przyjaciela – na każdym etapie, z pełnym szacunkiem dla Twojej wizji;
- grupa wsparcia autorów – bo twórczość potrzebuje przestrzeni i wspólnoty;
- **70% zysku** – bo to Ty jesteś twórcą i zasługujesz na więcej;
- głos w każdej decyzji – bo to Twoja książka.

Odezwiń się. Opowiedz nam o swoim pomysle: kontakt@limitlessmindpublishing.com
Nie odkładaj tego na „kiedyś”. Prawo przyciągania działa nieustannie. To, że tu jesteś, nie jest przypadkiem. A Twoja książka czeka na Twój ruch.

PIEKŁO JEST PUSTE

ROZDZIAŁ 2

REDAKCJA: PAULINA MIKA

KOREKTA: MAGDALENA ZWOLIŃSKA

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BEŁOWSKA

ILUSTRACJE: PATRYK JAKUBIAK

Ruby obudził jej własny krzyk.

Za oknem było jeszcze ciemno, a w pokoju niewiarygodnie duszno i gorąco. Starła się uspokoić oddech, ale miała wrażenie, że wokół nie ma dostatecznie dużo powietrza, by mogła swobodnie odetchnąć. Natychmiast podniosła się do pozycji siedzącej i pochyliła do przodu, przyciskając dłoń do klatki piersiowej. Dodatkowy stres wywołany świadomością, że znów miała atak paniki, wcale nie pomógł.

Co się dzieje? Gdzie jest? Gdzie była przed chwilą?

Nagle otworzyły się drzwi i do sypialni wpadł Peter, całkowicie ubrany i rozbudzony.

– Cholera – mruknął tylko, zanim usiadł obok Ruby i przytulił ją mocno. – Spokojnie, nic się nie dzieje. To tylko zły sen. Jesteś bezpieczna. Już dobrze.

Zamknęła oczy, skupiając się na tym, by rozluźnić spięte mięśnie. Jej oddech zaczął się uspokajać, a drżenie powoli ustępowało. Temperatura w pokoju wróciła do normy, a Ruby znów mogła swobodnie nabrać tlenu do płuc. Peter przez cały czas głaskał ją po plecach, cierpliwie czekając, aż dziewczyna dojdzie do siebie.

– Okej? – upewnił się, kiedy nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

– Tak. – Pokiwała głową i odsunęła się od niego. – Dzięki.

– Nie ma sprawy. – Uśmiechnął się łagodnie.

– Która godzina?

– Dochodzi trzecia. Spałeś niecałe dwie godziny.

Ruby westchnęła i potarła zmęczoną twarz. Jakby z opóźnieniem dotarło do niej, że była sobota i nikt nie mógł jej zmusić, by wstała o jakiejś nieludzkiej porze. Co prawda była umówiona, ale mogła to przesunąć... albo odwołać w cholerę.

– A ty? Spałeś? – zapytała z troską, ale Peter machnął ręką, jakby to nie było ważne. – Przecież dzisiaj miałeś nie pracować.

– Po tym, co się stało, wszyscy pracują. – Jego uśmiech stał się smutny. – Pozwolili mi zostać w domu przez wzgląd na ciebie, ale ktoś nadal musi analizować dane, materiały dowodowe i... – Pokręcił głową. – Nie myśl teraz o tym. Powinnaś odpocząć.

Peter podniósł się z materaca, ale Ruby nadal bawiła się rogiem kołdry. Gdy podszedł do drzwi, wciąż siedziała w tej samej pozycji.

– Poważnie, Ruby. Spróbuj znowu zasnąć.

– Dobra. – Zaśmiała się, choć wyszło to nieco sztucznie, i położyła z powrotem na poduszce, jakby chciała pokazać, że się stara. – Dobranoc.

– Karaluchy pod poduchy, młoda.

Uśmiechnęła się lekko i w końcu zamknęła oczy, zanim Peter na dobre wyszedł z pokoju. Jednak w chwili, gdy to robiła, pod jej powiekami znów pojawił się obraz skrzydatego potwora i jego rozżarzonego spojrzenia.

Od razu otworzyła oczy, ale w sypialni, oczywiście, nikogo nie było – tylko stare, znajome meble i jasne zasłony. Peter zostawił delikatnie uchylone drzwi, ale nie zamierzała go wołać.

Po tym, co się stało, wszyscy pracują.

Szybko wyciągnęła rękę, zapaliła lampkę nocną i ponownie ukryła się pod kołdrą. To, co się stało w bibliotece... Naprawdę tam była? Naprawdę to widziała? Jej umysł był w takim stanie, że sama nie mogła być pewna niczego. Miała tylko nadzieję, że kiedy rano się obudzi, okaże się, że Peter miał na myśli coś innego. Że jego przełożony wcale nie postawił na nogi całego komisariatu. Że cała reszta okaże się snem.

Że nic się nie stało.

Że była bezpieczna.

To przecież niemożliwe, żeby po Londynie biegał sobie (albo latał) wielki, potworny stwór, prawda?

Resztę nocy Ruby spała przy zapalonym świetle.

Kiedy kilka godzin wcześniej Ruby i Lydia wydostały się z biblioteki, policja właśnie dotarła na miejsce. Ratownicy z ambulansu zatrzymali je i opatrzyli, podczas gdy funkcjonariusze wyprowadzili z biblioteki dwie pozostałe oszołomione uczennice i Theo, który tylko wpatrywał się w chodnik pod stopami. A potem zaczęli wynosić stamtąd czarne worki. W jednym z nich była pewnie dziewczyna, którą Ruby i Lydia minęły w drzwiach, gdy wchodziły... W drugim musiał być chłopak w okularach kujonkach. Poza ciałami nie znaleźli nic – tylko zdewastowane wyposażenie wnętrza.

Gdy Ruby patrzyła na worki, pakowane do samochodu razem z metalowymi wózkami, starała się poczuć żal z powodu śmierci ludzi, których pewnie codziennie mijała na szkolnym korytarzu. Chciała poczuć cokolwiek, co czyniłoby ją lepszym człowiekiem. Zamiast tego dopadły ją jedynie mdłości wywołane wspomnieniem zapachu krwi, wylewającej się z rozerwanej szyi.

Nie potrafiła zdobyć się na współczucie. W głowie miała tylko jedną myśl.

To mogłam być ja. To mogła być Lydia.

Mimo to wiedziała, że ten widok będzie jej towarzyszyć do końca życia.

– Co widziałaś? – zapytał jeden z policjantów, kiedy zamieszanie pod biblioteką osłabło, a Lydię nareszcie zabrano do szpitala.

Ruby przyjrzała mu się uważnie. Był młody, może nawet młodszy od Petera, który kilka metrów dalej rozmawiał z kolegami po fachu. Ciekawe, czy mogli mu cokolwiek teraz powiedzieć... Czy dostanie wgląd do jej zeznań?

– Chyba mi pan nie uwierzy – powiedziała lakonicznie, poprawiając folię na ramionach. Ktoś owinął ją kocem termicznym, choć nie zauważyła, kiedy to się stało.

– Dlaczego nie? Chcę dotrzeć do prawdy. Taką mam pracę.

Ruby uśmieknęła się słabo, z powątpiewaniem.

– Nie będę cię oceniał – dodał. Najwyraźniej jej wahanie rzucało się w oczy. – Spiszę twoje zeznania i pozwolę bratu zabrać cię do domu. Okej?

– Okej – odparła w końcu. Jeśli to pozwoli jej szybciej opuścić kampus... Nie miała nawet siły, żeby wyprowadzić policjanta z błędu w kwestii Petera. Jak będzie chciał, to sam mu powie.

Odchrząknęła i zaczęła relacjonować wszystko od momentu przyścia do biblioteki. Miała wrażenie, jakby to przydarzyło się komuś innemu. Albo jakby opowiadała bardzo surrealistyczny sen. Zamilkła jednak, gdy dotarła do momentu, kiedy regał przewrócił się na Lydię. Co miała powiedzieć dalej? Że widziała potwora?

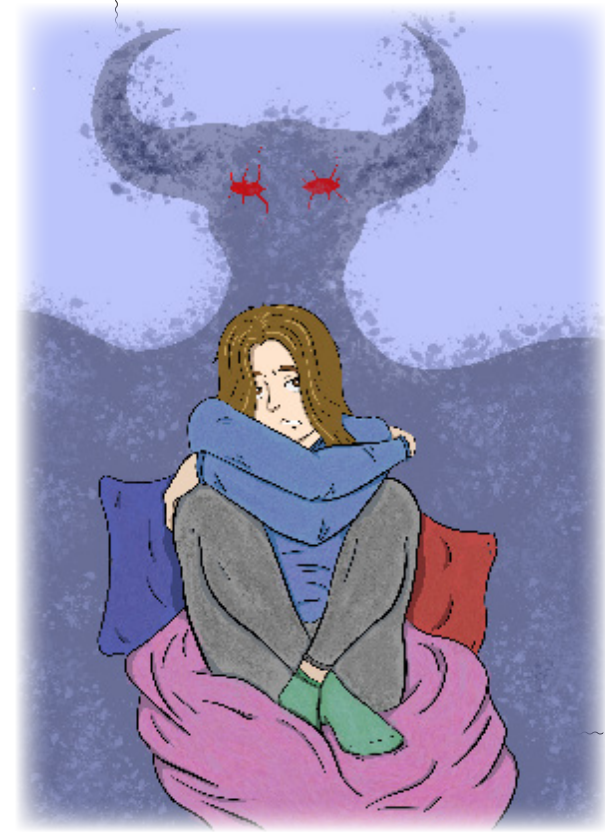
– Śmiało – zachęcił ją. Naprawdę wyglądał na człowieka, którego nic dzisiaj nie zaskoczy. Ruby poczuła nagłą chęć, by to zmienić. Mimo to kolejne słowa przyszły jej z jeszcze większym trudem.

– Widziałam coś dziwnego. To mogła być gra światła, szok, albo... nie wiem. To coś miało skrzydła i rogi. Był też wielki wilk – wypaliła, jakby nie miała już kontroli nad swoimi zeznaniami.

– Coś ze skrzydłami i wilk? – upewnił się policjant, gryzmoląc w swoim notesie.

Nagle Ruby poczuła się niewymownie głupio i spuściła wzrok. Po co to powiedziała? Już w jej głowie cała ta historia brzmiała kiepsko, a opowiedzenie jej na głos sprawiło, że prezentowała się jeszcze gorzej.

– Przepraszam, wiem, że to absurdalne...



– Nie! – przerwał jej ostro policjant. – Nie przepraszaaj. Powiedz mi tylko... Wierzysz w to, co mówisz? Że widziałaś tego demona?

Demon, powtórzyła Ruby w myślach. To słowo pasowało całkiem dobrze.

Zastanowiła się chwilę nad jego pytaniem. To było niedorzeczne, ale dlaczego miała nie ufać własnym oczom? Może wokół niej działały się rzeczy, których nie rozumiała, ale to jeszcze nie znaczyło, że nie były prawdziwe.

– Chyba tak – powiedziała w końcu.

– Więc nigdy za to nie przepraszaaj. Rozumiesz?

Pół godziny po tej rozmowie, gdy Ruby wreszcie dołączyła do Petera, inny funkcjonariusz wyjaśnił im, że do biblioteki wtargnął człowiek z bronią. Był to prawdopodobnie ktoś z uczniów, ale śledztwo jeszcze trwało. Wiadomo jednak, że rozpylił gaz, który mógł wywołać halucynacje. Kiedy Ruby wsiadała do samochodu, jeszcze raz spojrzała na młodego policjanta. Ich oczy spotkały się tylko na sekundę, ale to wystarczyło, żeby zyskała pewność.

Nie było żadnego gazu.

ROZDZIAŁ 3

Dla Ruby nie miało znaczenia, o której godzinie zwlekła się z łóżka. W końcu była sobota, a łóżko zbyt wygodne, żeby perspektywa jakichkolwiek rozrywek mogła ją z niego wyciągnąć.

Jedynie grawitacja miała nad nią przewagę – kiedy przewróciła się na drugi bok, od razu ześlizgnęła z materaca na podłogę.

Na dźwięk jej krótkiego okrzyku drzwi do pokoju otworzyło się szerzej. Tym razem w progu nie pojawił się Peter, a najlepszy i najwierniejszy przyjaciel Ruby, który od razu wskoczył jej na kolana i zaczął lizać po twarzy.

– Scott! – Próbowała odsunąć od siebie psi pysk. Z rozbawieniem zaczęła przeklinać Petera za to, że wczoraj zostawił uchylone drzwi. Husky darował sobie czułości dopiero, gdy Ruby złapała za potłuczone żebra i skrzywiła się z bólu. Spojrzał na nią smutno.

– To nic... nic się nie stało – zapewniła go, chociaż wcale tak nie myślała. Krótka wizyta w łazience i spojrzenie na własny tors rozwiały wątpliwości.

Wczorajszy wieczór wydarzył się naprawdę.

Jeszcze przed chwilą mogła się łudzić, że wizyta w bibliotece była tylko złym snem. Potwornym i wyjątkowo realnym, ale jednak snem. Niestety, nie wszystkie koszmary kończyły się po przebudzeniu. Wiedziała o tym aż za dobrze.



W końcu się zmusiła, żeby zacząć dzień. Wciąż w piżamie ruszyła do kuchni, w której nadal unosił się słodki zapach śniadania. Husky dzielnie podążył za nią na wypadek, gdyby na korytarzu napadły ją jeszcze jakieś baśniowe stwory.

Na stole znalazła stos naleśników, słoik Nutelli i liścik od Petera.

Przepraszam, musiałem iść do pracy, nie chciałem cię budzić. Zadzwoń, jak wstaniesz. Smacznego!

Rozczulona Ruby się uśmiechnęła i od razu sięgnęła po telefon. Poczuła wyraźną ulgę na widok wiadomości od Lydii. Co prawda tylko krótko powiadomiła wszystkich o odwołaniu zaplanowanej na dzisiaj posiadówki, ale to przynajmniej oznaczało, że żyła. A Ruby nie musiała już przejmować się wykręcaniem ze spotkania.

Polajkowała wiadomość na znak, że akceptuje zmianę planów, i od razu skupiła się na kolejnym zadaniu. Wybrała numer Petera. Miała zamiar w międzyczasie posmarować pierwszego naleśnika, ale on odebrał niemal natychmiast.

– Proszę, proszę, księżniczka już wstała?

– Nie wiem, dam znać, jak ją spotkam. Dziękuję za naleśniki. – Ruby miała nadzieję, że po zameldowaniu uniknie porannej kontroli samopoczucia, ale się myliła.

– Oczywiście, specjał szefa kuchni! Jak się czujesz? Potrzebujesz czegoś? – zapytał już poważniejszym tonem, na którego dźwięk Ruby zawsze pękało serce. Nie chciała, żeby Peter martwił się o nią bez przerwy. Ale on nie chciał przestać, nawet na chwilę.

– Jest okej – zapewniła go. – Poradzę sobie z siedzeniem w domu – zażartowała.

– Właśnie... Chciałem cię prosić, żebyś dzisiaj nigdzie nie wychodziła. Wiem, że miałaś iść do Lydii...

– Nie... To znaczy i tak odwołała spotkanie. Ale chciałam porozmawiać z nią w cztery oczy, o tym, co się wczoraj stało – wypaliła, zanim zdążyła się nad tym zastanowić. – Mogłabym do niej pojechać...

– Lepiej nie – Peter przerwał jej delikatnie. – Wiem, że wróciła już do akademika, ale lepiej poczekaj z odwiedzaniem kampusu do poniedziałku. Okej?

Ruby zacisnęła usta.

– Po wczorajszym sytuacji jest trochę napięta. Mam nadzieję, że rozumiesz? – Z rozczarowaniem musiała przyznać, że aż za dobrze. – To nie areszt domowy...

– Okej. Nigdzie nie pójde – powiedziała w końcu. Nie chciała, żeby teraz to on musiał się przed nią usprawiedliwiać.

Peterowi wyraźnie ulżyło.

– Dziękuję. Postaram się dzisiaj wrócić jak najszybciej, ale nie wiem, ile mi tu zejdzie.

– Nie ma sprawy. – Tym razem to ona mu przerwała i zapewniła raz jeszcze: – Poradzę sobie.

– Nie wątpię. Ale uważaj na siebie. Mimo wszystko... masz skłonności do pakowania się w kłopoty.

Ruby spojrzała spod byka na naleśnika przed sobą.

– Nienawidzę cię, wujku.

– Tylko nie „wujku” – wyobraziła sobie, jak Peter grozi jej palcem – bratanico!

Ruby się roześmiała, a Peter wreszcie pozwolił sobie skupić się na obowiązkach, podczas gdy ona zajęła się naleśnikiem. Dłubiąc w nim, nie potrafiła jednak przestać myśleć o tym, że naprawdę musiała porozmawiać z Lydią. Zamknięcie w domu z piątkowymi wspomnieniami nie mogło jej pomóc, ale Peter tak rzadko cegokolwiek jej zabraniał, że nie chciała się z nim kłócić. Był od niej tylko dziesięć lat starszy, co pozwalało im na swobodne zachowanie w swoim towarzystwie, Ruby nie traktowała go jednak jak zwykłego kolegi. Wiedziała, że dałby jej wszystkie gwiazdy z nieba, gdyby tylko mógł, a w zamian oczekiwał tylko, że skończy szkołę, dostanie się na studia... i nie będzie pakować się w kłopoty. Przynajmniej niezbyt często. Wiedziała, że mogła liczyć na jego wsparcie. A co najważniejsze, przy nim czuła, że wciąż ma rodzinę. Nikt inny nie mógł jej tego zapewnić.

I zawsze ją rozumiał. A nawet jeśli nie, to wierzył, że Ruby jest dostatecznie dorosła i mądra, by decydować sama za siebie.

Powtarzała to sobie, kiedy zakładała buty.

W drodze na kampus Ruby miała wrażenie, że wszyscy ją obserwują. Zanim wyszła z domu, przebrała się w coś bardziej wyjściowego, ale nic nie mogła poradzić na opuchnięte oczy. Wzrok starszej kobiety, która siedziała naprzeciwko niej w autobusie, zdawał się wwiercać pod bluzkę i oceniać siniaki na żebrach i ramieniu. Zupełnie jakby cały Londyn wiedział, gdzie wczoraj była. I że nie powinna tam dzisiaj wracać.

Starła się wytłumaczyć sobie, że to absurd. Może jej ciemnoblonde włosy wyglądały dzisiaj jeszcze bardziej niekorzystnie niż zwykle. Może wyglądała, jakby nie spała od tygodnia. Ale ci wszyscy ludzie nic o niej nie wiedzieli. Jeśli mieli coś sobie o niej pomyśleć, to świadczyło bardziej o nich niż o niej... prawda?

Odwróciła się do okna i spróbowała przynajmniej częściowo schować twarz za włosami. Ta kurtyna nie mogła jej jednak ukryć, gdy już znalazła się na przystanku, wystawiona na widok szkolnej bramy i wszystkich, którzy w niej stali. Jak na wczesne sobotnie popołudnie, ludzi było naprawdę sporo.

Ruby podeszła niepewnie, przyglądając się uczniom, którzy dzisiaj nie musieli mieć na sobie mundurków. Ustawiali się w kolejce, by wejść na kampus, a policja sprawdzała ich legitymacje, spisując każdego, kto wchodził na teren szkoły lub z niego wychodził. Ścisnęło ją w żołądku.

– Nie wpuszcicie mnie do szkoły? Poważnie? – prychnął chłopak, który stał przed nią. – Nie moglibyście mi tego zabronić w poniedziałek?

– To tylko tymczasowa procedura bezpieczeństwa, nie ma się czym przejmować. Mogę zobaczyć dowód tożsamości?

Chłopak jeszcze przez chwilę wyklócał się z policjantem, który z wyraźnym zmęczeniem znosił jego humory. Kiedy wreszcie przyszła kolej Ruby, ta bez słowa wręczyła mu swoją legitymację. Serce waliło jej tak szybko, że miała wrażenie, iż wszyscy wokół mogą to usłyszeć.

Mundurowy jednak zaznaczył tylko jej nazwisko na liście i przepuścił przez bramę. Może nie znał Petera albo uznał to za zwykłą zbieżność nazwisk? Ostatecznie „Blake” nie było zbyt oryginalne...

Kiedy już minęła kontrolę, poczuła się nieco bardziej na swoim miejscu. Pomyśleć, że mogłaby tu zaczynać każdy dzień, tak samo jak wszyscy jej przyjaciele. Codziennie budziłaby się w swoim pokoju w akademiku, przechodziła przez ten plac, żeby dostać się na lekcje, jadłaby śniadania na szkolnej stołówce i może, gdyby Lydia ją zmusiła, pisałaby wypracowania w szkolnej bibliotece...

Ruby powiedziała wzrokiem w stronę znajomego budynku na końcu kampusu. Zwykle nie zwracała na niego uwagi; ot, kolejny element krajobrazu z czerwonej cegły, ginący w cieniu szkoły i budzący o wiele mniejsze zainteresowanie niż bursa. Dziś jednak niewątpliwie przyciągał wzrok. Okna patrzyły wybitymi szybami na przechodniów niczym puste oczodoły, a żółta taśma wokół tylko podkreślała jego odciecie od codzienności. Gdy Ruby odwróciła się od niego, poczuła się tak, jakby minęła na ulicy przejechanego kota. Przeszły ją ciarki.

Nieprzyjemne wrażenie minęło dopiero, kiedy zamknęły się za nią drzwi akademika i owiał ją znajomy zapach pełnych życia korytarzy. Przynajmniej tutaj panowało typowe sobotnie rozleniwienie i Ruby mogła pójść do pokoju Lydie, jakby to był zwyczajny tydzień. Nieliczni uczniowie mijali ją, nie zaszczycając nawet spojrzeniem. Ruby uśmiechnęła się sama do siebie. Odpowiadało jej, że mogła zniknąć, schować się przed wszystkimi, nawet jeśli nigdy jej tak naprawdę nie dostrzegali. Teraz chciała zobaczyć tylko jedną osobę; jedną, która mogła potwierdzić, że nie oszalała.

– Ruby?

Lydia wyglądała na zaskoczoną, gdy otworzyła drzwi. Tym razem Ruby uśmiechnęła się naprawdę szczerze. Wszystkie wątpliwości, które czuła przed przyjściem tu, od razu zniknęły. Wiedziała, że Lydia będzie ją wspierać, tak jak zawsze to robiła i tak jak ona była gotowa wspierać ją.

– Hej. Jak kostka?

– W porządku. To znaczy: skręcona, ale do odratowania. Co tutaj robisz?

– Po prostu... mogę wejść? – Fakt, że Lydia nie wpuszcila jej od razu do pokoju, zaskoczył Ruby równie mocno, jak sama jej obecność musiała zaskoczyć Lydię.

– Wiesz... – Lydia obejrzała się przez ramię. – Tak, pewnie. Po prostu się ciebie nie spodziewałam.

Gdy tylko przyjaciółka przepuściła ją w drzwiach, Ruby od razu zrozumiała jej zmieszanie. Na łóżku leżały sterty ciuchów. Sama aż zaczęła się zastanawiać, czy w szafie zostało coś jeszcze.

– Masz syf! – zaśmiała się.
 – Daj spokój. – Lydia przewróciła oczami. – Nie mogę stąd za bardzo wychodzić, musiałam się czymś zająć.

– No tak... Przepraszam, że tak bez uprzedzenia.

– Spoko. – Lydia machnęła ręką i opadła na łóżko. Mimo to Ruby miała wrażenie, że przyjaciółka jednak wołałaby, żeby ją uprzedziła. Nagle poczuła się głupio ze swoją uwagą. Lydia nie znosiła bałaganu – nawet gdyby teraz w pokoju wybuchła bomba i rozniosła wszystko wokół, Ruby nie powinna jej tego wypominać.

Dziewczyna dyskretnie odsunęła komplet mundurków w kolorze ciemnej wiśni, robiąc sobie miejsce obok niej.

– To czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – Lydia spojrzała na nią wyczekująco i na jej twarz wypłynął cień dawnego blasku, którym przecież promieniała jeszcze kilka godzin temu.

– Chodzi o wczoraj – przyznała od razu. Może i wprosiła się do Lydie, ale miała dość taktu, by wyczuć, że powinna zostawić ją samą. Postanowiła więc się streszczać. – No bo... – kontynuowała, ale zamiast rzeczywiście przejść do rzeczy, skupiła uwagę na wykręcaniu palców. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek będzie jej tak trudno rozmawiać z Lydią. Z drugiej strony nie przewidziała, że kiedykolwiek będą rozmawiać o tym. – Miałś jakieś wieści od Theo?

– Nie. Dlaczego miałabym mieć?

– No bo... znacie się...

– Wszyscy chodzimy do tej samej szkoły. To tyle.

– I wszyscy widzieliśmy coś dziwnego – powiedziała Ruby odrobinę ostrzej, niż zamierzała, ale postawa Lydie zaczęła ją irytować.

– Widzieliśmy atak strzelca. Nie ma w tym nic aż tak dziwnego.

– Atak strzelca? – powtórzyła Ruby z niedowierzaniem, czując ukłucie strachu.

– Tak. Z użyciem broni i gazu, który mógł wywoływać halucynacje – dodała powoli Lydia, jakby Ruby była nieszczerólnie rozwiniętym dzieckiem. – Tak powiedziała policja...

– I ty w to wierzysz?

– Oczywiście. – Lydia uśmiechnęła się z pobłażaniem. Ciekawość musiała jednak wziąć górę, bo zmarszczyła brwi i dodała: – Ty nie?

– Nie – przyznała Ruby. *Może Lydia też ma wątpliwości?* – Po co ktoś miałby napadać akurat na bibliotekę? I to w piątek wieczorem, kiedy jest prawie pusta?

Notatki zaginionego boga



Autor: Kamila Biernacka

Wydawnictwo: self-publishing

Oprawa: zintegrowana

Formaty: druk, e-book

Gatunek: literatura fantastyczna, steampunk

Data premiery: 2025

Gdzie kupić? [W sklepie internetowym SwanCraft Creations](#)



„Notatki zaginionego boga” to niezwykła podróż do świata pełnego magii, maszyn parowych i wymyślnych, steampunkowych mechanizmów. Świata, którego każdy element wydaje się idealnie harmonizować z resztą. Do czasu... kiedy to chciwość sprawi, że Pożeracze Gwiazd przekroczą granicę, do której żaden humanoid nie powinien sięgać. Otworzą przejście do świata poza ich wyobrażeniem. A następnie wyrwą z niego... istotę o umyśle i mocy wykraczającymi poza ich pojmowanie.

By upewnić się, że bóg pozostanie im posłuszny, umieszczą go w klatce, z którą nawet on nie będzie w stanie sobie poradzić. Uwięziony w prostym, ludzkim ciele, będzie musiał nauczyć się oddychać, myśleć i mówić, nim zrozumie otaczającą go rzeczywistość: mroczną, trudną, gdzie czerni i biel zwykle zlewają się w różne odcienie szarości.

Zaginiony bóg trafi w końcu w ręce tajemniczych stworzeń z Ruiny. Ekscentryczna grupa będzie miała przed sobą jeden cel – spróbować odesłać zaginionego boga... Nim dla świata będzie za późno.

Lydia wzruszyła ramionami, jakby takie rzeczy zdarzały się codziennie. A przecież ona nie potrafiła niczego tak po prostu zignorować. Nie potrafiła przeżywać niczego w ciszy. Obojętność, jaką teraz okazywała, była po prostu niepokojąca.

– Może nie lubi książek.

– Lydia!

– No co? Skąd mam wiedzieć? Chcesz robić psychoanalizę psychologa?

– Daj spokój. – Ruby oparła ręce na jej ramionach, zmuszając, żeby spojrzała jej w oczy. To był ten moment. Musiała postawić wszystko na jedną kartę. – Też to widziałaś, prawda? Tego demona? Powiedz, że tak.

Lydia nie odpowiedziała.

– Widziałaś! – zawołała tryumfalnie Ruby, uśmiechając się szeroko. Jej reakcja zaskoczyła nawet ją samą, ale poczuła, jakby ktoś zdjął z jej serca wielki ciężar. Może nie upraszczało to sytuacji, ale przynajmniej odrobinę ją krystalizowało. – Posłuchaj, myślę, że...

– Ruby – odezwała się Lydia cicho, delikatnie i przez cały czas uważnie ją obserwowała – nic nie widziałam. Dobrze się czujesz?

Cały entuzjazm natychmiast z niej uleciał.

– Naprawdę pytasz, czy widziałam jakiegoś potwora? To nawet brzmi idiotycznie.

– Wiem, ale... ale wiem, co widziałam. I wiem, że ty też...

– Nie! – krzyknęła Lydia, przez co Ruby odsunęła się od niej gwałtownie. – Wystarczy, Ruby. Brunetka opadła na stertę ubrań za sobą i ukryła twarz w dłoniach. Może Ruby byłoby jej żal, gdyby nie była równocześnie zła, zawiedziona i zdezorientowana.

Kiedy Lydia znów się odezwała, brzmiała już spokojniej. Wciąż jednak nie przypominała jej najlepszej przyjaciółki. Jedynej, prawdziwej przyjaciółki.

– To był napad. Nic więcej. – Po kilku sekundach wzięła Ruby za rękę. – Posłuchaj – podjęła znowu, tym razem łagodnie – to było straszne, dla nas obu. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, przez co teraz przechodzisz. Jeśli po tym wszystkim zdecydujesz się wrócić na terapię, będę cię wspierać...

– Nie potrzebuję terapii! – Ruby zerwała się z miejsca.

– Ja tylko... martwię się o ciebie.

– Jasne. Muszę już iść. – Ruby złapała torebkę i wybiegła z pokoju. Mimo wzbierających w jej oczach łez miała ochotę się roześmiać na myśl o tym, że Lydia nie miała szans jej dogonić.

Ona też to widziała. Ruby była tego pewna. Ale najwyraźniej, w przeciwieństwie do niej, Lydia Spiegelman nie chciała dotrzeć do prawdy. Wolała oszukiwać samą siebie i wszystkich wokół, bo tak było łatwiej.

Ruby to jednak nie wystarczało. Nadal sądziła, że to, co się stało, było przerażające i nienormalne, ale prawdziwe. I wciąż musiała z kimś o tym porozmawiać.

ZUZANNA KŁOSEK

Co warto wiedzieć o Zuzannie Kłosek?

Z nudnych rzeczy: ukończyła studia na kierunkach Kultury Mediów (I stopnia) oraz Twórcze Pisanie i Marketing Wydawniczy (II stopnia) z wyróżnieniem na Uniwersytecie Śląskim. Zawodowo zbłądziła w obszary marketingu i dziennikarstwa.

Z ciekawszych? Uwielbia książki Cassandry Clare, urban fantasy i dystopie. Píše dłużej niż pamięta. W notesie, na komputerze, na Wappadzie, w czasopismach „ArtPapier”, „Kreatywni” i „Fragmentarium”.

A przede wszystkim... jest redaktorką naczelną Książkowego Szalika! I kiedyś napisze książkę, która złamie Ci serce.

KONTAKT DO AUTORKI:

Zuzanna Kłosek • 501 372 591 • klosekzuzia@gmail.com • ksiazkowyszalik@gmail.com

MIEJSCA W SIECI:

Instagram: https://www.instagram.com/ksiazkowy_szalik/

UPIÓR KARNAWAŁU

KOREKTA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ
KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

w foyer pachnie kurzem i szampanem sprzed roku,
gdy przekładasz maski –
szukasz tej jednej, która nie obetrze ci skóry

wiesz, że dziś znów zatańczycie
według rozpiski cudzych oczekiwań –
choć ktoś powie: to tylko karnawał

jego chętne dłonie
będą ważyć więcej
niż te słowa

na scenie chór się śmieje na trzy głosy –
szydzą, że za kulisami upiór stoi
i notuje ołówkiem wahania
w rubryce *przeznaczenie*

wychodzisz drżąc w światło,
czując, jak odbiera ci oddech,
jakby zamieszkał w twoich
płucach i wreszcie mógł przemówić –
śpiewasz, ale to on wybiera wysokość tonu

tylko on decyduje, dokąd dojdzie fraza –
jesteś garderobą,
zakładnikiem
czyjejś obsesyjnej i nieprzepracowanej miłości

po owacjach w lustrze zostaje obca twarz;
upiór zerwał ci maskę,
nim zdążyłaś odejść albo powiedzieć dość –
nawet, gdy gasną światła, karnawał trwa

A POTEM PŁACZĘ I PŁACZĘ

REDAKCJA: PATRYK ŻELAZNY

KOREKTA: MILENA WYSOCKA

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

Nic nie zapowiadało katastrofy. Gdybym wiedział, co się stanie i kim tak naprawdę jestem, już dawno by mnie tu nie było.

Słońce przypiekało spragnioną promieniami skórę. Maj. Pierwsze naprawdę gorące dni w tym roku. Jakże mnie cieszyło, że wreszcie bez wstydu mogę chodzić w koszulkach, choć z drugiej strony szarpnęło mnie to trochę po kieszeni trochę po kieszeni. Musiałem rozstać się ze wszystkimi XXL-kami. Biegłbym w tym półmaratonie, gdyby nie kontuzja. Jak za dużo chcesz i przesadzisz, to potem zostaje ci przeżywanie wszystkiego z pozycji ściśniętego w tłumie widza stojącego niedaleko mety.

Czas sączył się leniwie. Wokoło biegały radośnie pokrzykujące dzieci, uciekając ledwie nadążającym za nimi mamom. Zakochane pary tuliły się do siebie. Emeryci zaś zabijali nudę, namiętnie plotkując.

Mógłbym się zwolnić z pracy chwilę wcześniej i być tu teraz z żoną i synkiem, ale choroba nie wybiera. Mały dwa dni temu dostał gorączki, więc Basia wzięła urlop i siedziała z nim w domu. Szkoda, że tak wyszło, lubili rodzinne wypad. Maciek tak szalenie emocjonował się nawet najbardziej prozaicznymi rzeczami, że aż sami czuliśmy się czasami jakby nam ubyło lat, jakbyśmy przeżywali szalone przygody.

Ulica między kamienicami nadal była pusta. Barrierki odgradzały ją od tłumu.

Kto wie, gdybym był mądrzejszy i trochę poczytał, może wkrótce wybiegłbym zza rogu i zdobył medal, a synek z żoną byłiby ze mnie dumni?

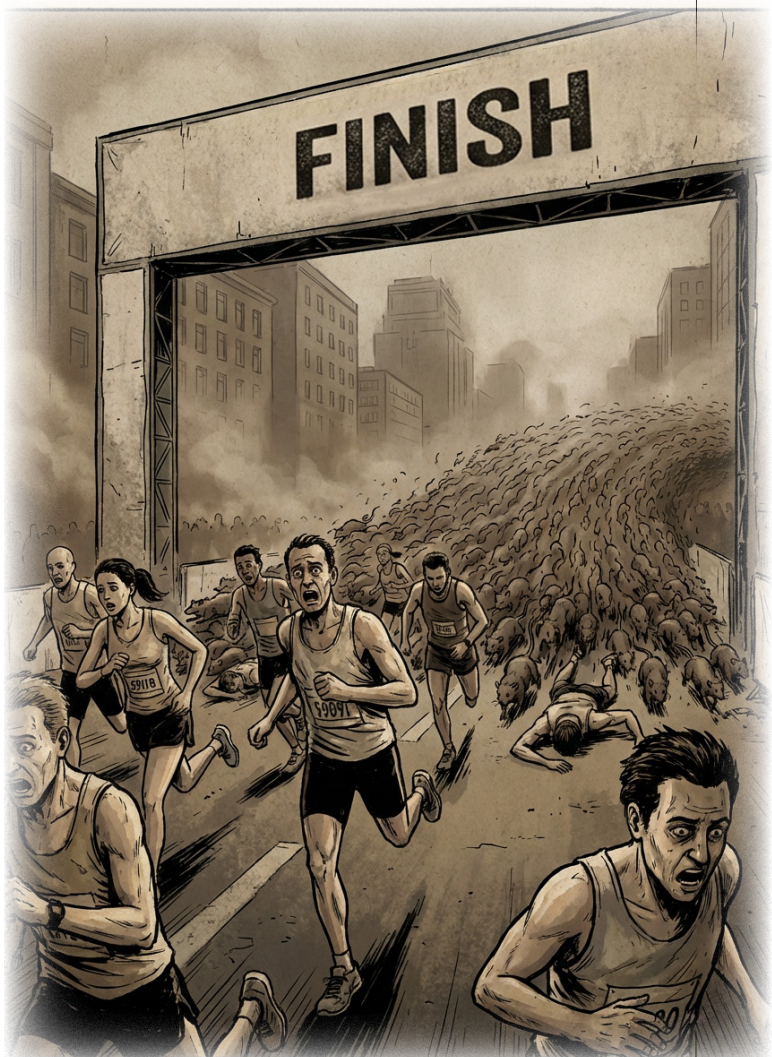
Niestety byłem mądrzejszy od specjalistów i zamiast biegać co dwa, trzy dni, biegałem dzień w dzień i na dodatek wcale się przy tym nie oszczędzałem. A mając czterdziestkę na karku, powinienem trochę bardziej uważać.

Schudłem, nabrałem formy i życiowej energii, ale przez najbliższe pół

roku będzie obowiązywał mnie zakaz biegania. Już teraz coraz bardziej mi tego brakowało. Trzeba będzie znaleźć na ten czas inne aktywności.

Zza rogu budynku, zza wiwatującego tłumu wybiegł przyszły zwycięzca. Szybko zbliżał się do mety. Choć wyczerpany, był też szczęśliwy, świadom tego, że nikt mu nie odbierze wygranej. A ja mu zazdrościłem. Bardzo.

Tłum bił brawo. Biegacz oparł się dłońmi o uda i ciężko dyszał. Ktoś mu podał jakiś napój.



Ktoś gratulował. Ludzie robili zdjęcia i wiwatowali.

Po paru chwilach pojawili się kolejni biegacze. A potem się zaczęło...

Pierwszym, co mnie zaniepokoiło, był dziwny, narastający odgłos, jakby ludzkie krzyki przemieszały się z jakimiś dziwnymi piskami i wizgami.

Zamach? – To była pierwsza myśl, jaka pojawiła mi się w głowie.

Krzykopisk narastał i wkrótce zza zakrętu wyłonili się biegacze wraz z tłumem widzów. Wszyscy nawzajem się tratowali i panikując, gnali przed siebie tak szybko, jak tylko się dało. Ludzka rzeka napływała, a ja z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że zadepczą mnie na śmierć, jeśli tu zostanie. Że muszę się gdzieś schronić, tym bardziej że panikowanie udzielało się wszystkim. Jeszcze nie było wiadomo, o co chodzi i czy strach był uzasadniony, ale rozszedł się po wszystkich niczym fala uderzeniowa potężnej eksplozji.

Chaos – tylko tak mógłbym opisać to, co się dalej działo.

Czym prędzej wskoczyłem za latarnię i mocno się jej uchwyciłem. Rwący nurt rozwrzeszczanej ludzkiej masy usiłował mnie od niej oderwać i porwać ze sobą, ale ja twardo trzymałem się żelaznej rury. Czułem, że to przerażenie zaczyna mnie paraliżować, mroząc wewnętrzności i odbierając czucie w kończynach. Ale wiedziałem, że gdybym z moją chorą nogą dał się porwać tłumowi, czekałaby mnie niechybna śmierć. Tymczasem piski, coraz wyraźniej przebijające się przez krzyki, zwiastowały gorszy od zdeptania koniec.

Podciągnąłem się nieco, by cokolwiek zobaczyć. I wtedy je ujrzałem...

Niektórzy z uciekających się miotali, usiłując odczepić od siebie czarne, pokryte sierścią stwory wielkości kota albo i większe. Krwawili. Słabli w nierównej walce.

Szczury?

SZCZURY!

W oddali, wyłaniając się zza zakrętu, falował czarny, piszczący dywan. Co chwilę ktoś z uciekających, oblepiony zbyt wieloma gryzoniami, padał i tonął pod kłębowiskiem tego paskudztwa. Ostre pazurki drapiące po asfalcie brzmiały, jakby setki złośliwych dzieciaków pocierało styropian. Dźwięk ten wywoływał nieprzyjemne ciarki na plecach.

Przerażenie zaczęło dźgać mnie od wewnątrz lodowatymi szpilami i ścisnąć trzewia.

Gryzonie błyskawicznie wspinały się po swoich ofiarach, gryzły ostrymi jak sztylety zębami i wyrzywały strzępy ciała. Odpadały z cennym

łupem, a w tym miejscu zaraz pojawiały się kolejne, by oderwać swoją porcję ze słabnącej ofiary. Obgryzały do kości. Systematycznie okaleczani ludzie padali jak muchy. Z każdą sekundą topniała za mną tak zwana warstwa ochronna, złożona z ludzkiej masy. Towarzyły temu przeraźliwe, bolesne jęki, krzyki, błagania do Boga o litość.

Noga nogą, ryzyko ryzykiem, ale wolałem nie być jedzonym żywcem. Puściłem słup i dałem się porwać tłumowi, starając się nie stracić równowagi i nie upaść.

Piski. Krzyki. Piski. Krzyki. Drapanie pazurami po asfalcie. Krzyki. Piski.

Czy to koszmarsenny?

Znajome ukłucie w kolanie upewniło mnie, że nie.

Ale skąd to się wzięło?

I nagle mnie olśniło – przypomniał mi się news dnia sprzed dwóch miesięcy: Wypadek wojskowego pojazdu przewożącego jakąś tajemniczą substancję. Do dziś nie wyjaśniono, co to było, zasłanianie się tajemnicą państwową i bezpieczeństwem kraju. W każdym razie w trybie ekspresowym ewakuowano wtedy kilka tysięcy ludzi, całe osiedle.

Szczury giganty jak nic musiały być owocem chemii, która spłynęła wtedy do studzienek kanalizacyjnych.

Basia! Maciek!

Serce zaczęło łomotać mi jak szalone, gdy zdałem sobie sprawę, że jeśli to cholerstwo rozprzestrzeni się po mieście, to moi bliscy znajdą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Chciałem się stąd wyrwać, gnać do nich jak najszybciej, ale spocony tłum miażdżył bezlitośnie, pozbawiając mnie tchu. W pewnym momencie dotarło do mnie, że jestem całkowicie bezradny. Nadal się przemieszczałem, podtrzymywany po bokach przez nacisk uciekających.

Szczęście w nieszczęściu, że znajdowałem się po prawej stronie ulicy. Gdybym znalazł się gdzieś pośrodku, nie miałbym szans. A tak, będąc z brzegu, musiałem tylko cierpliwie poczekać, aż dojrniemy do skrzyżowania, i zrobić wtedy wszystko, by się wybić z tłumu, który siłą rzeczy trochę się rozszczęlni. Jeśli tylko więcej osób zda sobie sprawę z tego, że ratunkiem nie jest owczy pęd przed siebie, ale rozbiegnięcie się na wszystkie możliwe strony, to szanse nas wszystkich wzrosną.

Rozglądając się na boki, dostrzegłem, że ukryci w domach przerażeni gapie, nie mogą powstrzymać niezdrowej ciekawości, wyglądali dyskretnie zza firanek, by ujrzeć śmierć na żywo. Ktoś nawet nagrywał to wszystko komórką. Czyżby przyszły hit na YouTubie? Ciekawe, ile zarobi?

„Warstwa ochronna” topniała z minuty na minutę. Już zaledwie kilkanaście metrów ubitej mięsno-tłuszczowo-kostnej masy dzieliło mnie od zasztytowania przez ostre szczurze siekacze. Wiem, że to brzmi okrutnie, ale w tym momencie to przestali być dla mnie ludzie, stali się tylko żywą zaporą. Szansą na przeżycie.

Gdzieś za mną ginęli starzy ludzie i dzieci, najbardziej bezbronne „jednostki” – właśnie „jednostki”, bo oto zapanowało dzikie prawo dżungli. Przetrwają najsilniejsi, czyli głównie wysportowani mężczyźni.

Ciekawe, ilu z nich, podobnie jak ja, będzie się potem wstydziło, że nie próbowało walczyć z hordą żądnych krwi i mięsa gryzoni?

Ale jak? Czym? I czy nie byłoby to samobójstwo?

Zadziałał instynkt samozachowawczy.

W końcu „dopłynąłem” z nurtem do skrzyżowania i stało się tak, jak przewidywałem, choć w znacznie mniejszym stopniu – zdecydowana większość uciekających zdawała się mieć klapki na oczach; parli do przodu. DO PRZODU! DO PRZODU! DO PRZODU!

Nieliczni ze środka ulicy usiłowali się wy dostać się – ale byli bez szans. Brzegi ludzkiej rzeki się rozszczelniły. Po kilkadziesiąt osób z jednej i z drugiej strony skorzystało z szansy i skręciły w boczne ulice. Ja musiałem walczyć, wyrwać się, a nawet gryźć, ale w końcu udało mi się tych koło mnie wytrącić z transu przerażenia. Uświadomili, że jest jeszcze jakaś inna możliwość niż bezmyślna ucieczka. Raz i drugi wdepnąłem przy tym w coś miękkiego, zadziwiająco przypominającego...

Tak, dokładnie tak, wgniatałem w chodnik miękką tkanę: ciała, zapewne koszmarnie poturbowane. A to twarde pod spodem jak nic były to kości. Nie chciałem wiedzieć, jak bardzo połamane i czy gdzieś któraś nie wystawała z otwartego złamania jak krwawy kikut. Nagle moja noga się zapadła. Brzuch? Czy właśnie wciskałem czyjeś wnętrzności w kręgosłup?

To było okropne i do dziś się zastanawiam, czy ci ludzie wtedy jeszcze żyli, konali, czy też Bóg oszczędził im cierpienia?

W końcu poczułem przestrzeń wokół siebie, choć musiałem walczyć o utrzymanie równowagi, by nie zostać zdeptanym. Zwierzęcy pęd. Poszturchiwania. Popychania. Niektórzy nawet potrafili specjalnie kogoś przewrócić, by wywalczyć więcej miejsca na ucieczkę, by bardziej odgrodzić się od agresywnych stworzeń, które były tuż, tuż.

Mimo bólu w kolanie, który był teraz neutralizowany przez przerażenie, miałem tę przewagę, że byłem konkretnie rozbiegany. Miałem kondycję. Grupa uciekających coraz bardziej się

przerzedzała. Padali kolejni zagryzani, rozpaczliwie przy tym krzycząc i błagając o pomoc. A ja zaciskałem zęby, pragnąc żyć, bo miałem dla kogo, i nie wyobrażałem sobie, by to ohydztwo dopadło moją rodzinę. Nie teraz, kiedy wreszcie dostawałem coś od życia, gdy wreszcie zaczęło mnie ono cieszyć, miało mi coś do zaoferowania. Finansowo wyszliśmy na prostą, awansowałem. W planach były wspaniałe wakacje. Schudłem, wreszcie miałem energię i dobre samopoczucie. Postanowiłem jeszcze raz dać sobie szansę z grafikami i ostatnio wygrałem konkurs na logo. Tyle szans! Tyle możliwości! I tyle dni przede mną! Nie dam! Nie oddam! Są moje! Nie pozwolę, by jakieś cholerne szczurzydła mi to wszystko zniszczyły!

Tyle wyrzeczeń i potu przełanego w imię spełnienia marzeń. Tyle sytuacji, gdy musieliśmy zaciskać zęby, i teraz to wszystko ma zostać poświęcone na ołtarzu matki natury?!

NIGDY!

Biegłem! Ile sił! Mimo bólu! Biegłem! Powtarzałem sobie, że się nie dam!

Czułem pulsującą czerwienią, agresywną złość. Wkurwienie puchło we mnie, rozprzestrzeniało się po ciele, chwilowo zduszając strach. Byłem wściekły na los, że tak bardzo chciał mnie skrzywdzić. Że okazał się tak bardzo niesprawiedliwy.

Zaciskałem zęby, gnałem przed siebie i już byłem na przedzie jak zwycięzca na ostatniej prostej. Tylko że mety tu nie było. I nie wiedziałem, gdzie jest, gdzie będzie. Ale dopóki biegłem, wygrywałem.

Ulice wyludnione. Ludzie się pochowali. Pozamykali bramy i okna, pozatraskiwali drzwi.

Gdzie się skryć? Nikt mnie nie wpuści!

Zostałem tylko ja i drugie, i trzecie miejsce – tak ich nazwałem, bezosobowo. Gdy pokonałem m strach i obejrzałem się do tyłu, zobaczyłem, że obaj są silni i wysportowani, ale słabsi ode mnie. A za nimi piszczący dywan szczurów...

Pokryte szorstkim futrem szczury wielkości kota. Brązowe, cuchnące. Ich odór dolatywał z wiatrem do mych nozdrzy. Nawet nie chciałem sobie wyobrażać, jak bardzo musiało im śmierdzieć z pyszczków. I przypomniało mi się, jak parę razy jako mały chłopiec widziałem dzikie szczury w piwnicy na osiedlu. Zawsze porażała mnie ta lodowata, bezlitosna inteligencja zakłeta w złośliwie łypiących kulkach wypukłych oczu. Właśnie to było w tych zwierzakach najbardziej przerażające. Nie długie, sine ogony, nie ostre zęby, ale właśnie złośliwość bezlitosnego spojrzenia ich demonicznych ślepi.

Krzyk. I już po jednym z kolegów maratończyków...

Przyspieszałem. Póki biegłem, była nadzieja. Lodowate sztylety paniki raz po raz dźgały mój mózg, wnetrzności. Ciało pragnęło omdlenia, ucieczki w niebyt, a z drugiej strony mobilizowało wszystkie siły. Gdybym był sam na świecie, może bym się poddał, ale w ryzach trzymała mnie świadomość, że żona i synek czekają na mnie i strasznie się martwią. I boją się. Zaciśnąłem zęby jeszcze mocniej, dławiąc przerażenie.

W oddali stał samochód. Otwarte drzwi, ktoś zastygł przy nich w bezruchu.

Przyspieszyłem. Krzyk. Teraz już byłem tylko ja i mordercza fala za mną.

To staruszka. Sytuacja ją zaskoczyła. Sparaliżował ją strach. Ale była szansa...

Wnętrze samochodu! Zatrzasnąć drzwi! Odgrodzić się! Był ratunek.

Piski rosły. Ogłuszały. Kakofonia pisków.

Napędzane głodem pieprzone zwierzaki!

Jeszcze ze dwadzieścia metrów. Ale staruszka...

Co z nią?

Któryś z gryzoni próbował mnie dziabnąć. Poczułem coś w okolicy pięty, ale gruba podeszwa buta ochroniła moją stopę.

Ale nie na długo. Zaraz uczipią się moich butów, spodni, koszulki, spowolnią mnie. A wtedy koniec...

Zaciśnąłem zęby i jeszcze bardziej przyspieszyłem. Dobiegłem do auta i chwyciłem lekką jak piórko, oszołomioną staruszkę. Zasłoniłem się nią jak żywą tarczą i rzuciłem czyjąś ukochaną babcię prosto na żer, na rozszarpanie. Zachowałem się jak potwór, by ratować własną skórę. I uratowałem. Wskoczyłem do środka. Zatrząsnąłem drzwi, miażdżąc głowę jednemu ze szczurów. Usłyszałem przy tym chrupnięcie czaszki i młaśnięcie rozbryzgującego się mózgu.

Widziałem, jak bestie obdzierają staruszkę ze skóry i tną mięso ostrymi jak brzytwy siekaczami. Brunatne kłębowisko oblepiające bezradne, ludzkie ciało. Widziałem, jak krzyczą bezzębne usta. Mignęły mi najpierw przerażone oczy, a zaraz potem oczodoły pokryte szklistym śluzem. Nos. Nie było nosa. Usta zniknęły. Goła czaszka w krwawych strzępach.

Opadłem niżej. Ukryłem się. Przeczekałem. Przetrwałem.

Do dziś ta staruszka śni mi się po nocach. Do dziś ze strachem myślę o tym, co będzie, gdy kiedyś umrę, że być może zostanę za to osądzony.

Do dziś mam wyrzuty sumienia i świadomość, że gdzieś w środku jestem potworem. Że mój synek ma ojca potwora...

I tylko cichy głos w mej głowie czasem podszeptuje, że musiałem, że albo ja, albo ona...

A gdy go zbywam, uciszam, dodaje, że rodzina, że jestem młody, a ona...

Ona i tak by lada moment...

A potem płaczę, płaczę, płaczę...



Cienie Umysłu

Autor: Artur Tojza

Formaty: audiobook, e-book

Gatunek: science fiction, fantasy

Połowa grudnia 1981.

W Polsce wybucha stan wojenny, natomiast w USA dochodzi do tragedii w pewnej tajnej placówce wojskowej ulokowanej w Dolinie Śmierci na pustyni Mojave. Sierżant Luc Kowalsky, Polak z pochodzenia urodzony w Ameryce, wraz ze swymi ludźmi ma eskortować trójkę specjalistów należących do rządowej organizacji LUNAR, aby sprawdzić co się stało w placówce wojskowej. Ich nadrzędnym zadaniem jest uratowanie kilkorga kluczowych naukowców oraz zlikwidowanie źródła tajemniczej anomalii wypaczającej strukturę czasu i rzeczywistości wokoło placówki. Ruszają zatem do dziwnej wizji piekła zdającej się być pokretną wersją „Boskiej Komedii” Dantego Alighieri, musząc stawić czoła nie tylko potworom, ale również własnym demonom.

Książka jest kolejną częścią Wojen Snów, uzupełniając tym samym historie poznane w „Piekło kosmosu”, „Farreter” oraz „Zajeździe pod Cnotliwą Sekutnicą”.

KOREKTA NAWYKÓW

KOREKTA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BELOWSKA

znalazłem azyl. kurz
osadza się na grzbietach i pachnie
starym klejem. pięć minut

bez powiadomień. cisza
wchodzi bez pukania i montuje
retrospekcje. palce znaczą

smugi czerwieni. strach
pracuje sumiennie i oddycha
z ulgą. mogę zmienić

swoje przeznaczenie.

DOM NA WZGÓRZU

REDAKCJA: PATRYK ŻELAZNY

KOREKTA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

KOREKTA TECHNICZNA: WERONIKA BEŁOWSKA

Siny ślad, tuż pod brodą. Twarz spokojna, piękne ubranie, ale ten gruby ślad... Nie potrafił nie zwracać na niego uwagi. Kościół a w nim zgromadzeni, rodzina, syn, książd, ale pośród tego wszystkiego widział tylko siny odcisk wokół szyi leżącej w trumnie siostry jego ojca. Najpierw on zaginął, teraz ona zmarła. Tomasz chwycił ciężący mu na piersi woreczek. Jedyny totem, w jaki kiedykolwiek wierzył. Tamtego dnia był przekonany że albo to jego rodzina jest przeklęta, albo przeklęty jest ostatni czas.

Nagle po ramieniu rozlało mu się ciepło dłoni Łukasza, jego jedyne, prawie trzydziestoletniego syna. Przecież to nie dzieci powinny pocieszać umęczonych rodziców. Gdzie podział się Tomasz Staszewski, osłaniający swoją pociechę przed światem, z czujnością obserwujący wszystko wokół biegnącego na plac zabaw szkraba? Czas pędził nieubłaganie. Czemu teraz dłoń syna koi ojca, a nie na odwrót? Kiedy ona stała się tak wielka? Myśl, że mogłaby też kiedyś leżeć zimna w trumnie, ścisłała mu pierś.

Stypa: wszyscy jedli niewiele i rozmawiali niezbyt długo. Cieszyli się, choć cicho, jakby w strachu, że zmarła usłyszy. Tłumaczyli się jej w duchu, że to nie do końca tak... To tylko te spotkania, znów zbyt szybkie. Rozmawiali, nadrabiali zaległości, by potem zniknąć ze swoich żyć, wrócić na samotne wyspy aż do kolejnego pogrzebu, bo na wesele na razie się nie zanosilo. I nie były w stanie tego zmienić pytania co rusz rzucane w stronę coraz bardziej poirytowanego Łukasza.

Tomasz też jadł, cieszył się towarzystwem, rozmowami, śmiał się z ciotek, wujków, trącał nadąsanego Łukasza ramieniem, czym rozchmurzał go na chwilę. Szeroki uśmiech przykrywał rozszalałe myśli. Wewnątrz, gdzieś w odmętach pamięci, wszystko zasłaniał siwy naszyjnik

śmierci, wieszający w eterze bezgłośnie pytanie – dlaczego?

Goście się porozjeżdżali i dom Staszewskich znów zaświecił pustkami. Łukasz wrócił do siebie, a Tomasz został sam z myślami i dwuosobowym łóżkiem. Na szafce nocnej wciąż leżały opakowania po lekach. Nie potrafił na nie patrzeć.

Uświadomił sobie, że czas mija zdecydowanie za szybko. Trzy zdecydowane puknięcia do drzwi wystarczyły, by wyrwać go z rozmyślań.

– Dzień dobry, list do pana, podpis proszę. – Listonosz wystrzelił słowami jak z karabinu i podsunął Tomaszowi urządzenie do podpisu bardzo blisko twarzy.



Zdezorientowany mężczyzna w ciszy odebrał kopertę i zamknął drzwi. Mnogość tego, co mogła zawierać treść listu, paraliżowała go. Aż do południa, zanim wreszcie się odważył otworzyć list, myślał, jakie problemy mogą wynikać z jego treści. Ktoś chciał się sądzić o spadek? Nie miał siły walczyć. Co, jeśli odziedziczył długi? Przecież po zrzeczeniu się spadku, wszystko przejdzie na...

Dom. Przypadł mu dom.

Stary, ale zadbany, w Poniatowie, wśród gór i lasów, znany mu tak dobrze z dzieciństwa. Jego ojciec był kiedyś współwłaścicielem tego domu, ale przepisał swoją część na ciocię, zanim zniknął w tamtejszej okolicy. Owa ciotka twierdziła, że nic nie wiedziała o okolicznościach zaginięcia swojego brata. Plotki, wyrosłe jak grzyby po deszczu, Tomasz zawsze starał się gasić. Teraz dom wreszcie trafił do niego. Wiszące od pogrzebu pytanie znów dobijało się do jego świadomości. Najpierw zaginięcie ojca, potem samobójstwo ciotki... Dlaczego?

Wziąwszy urlop, Tomasz ruszył w drogę. Tajemnica związana z domem przyciągała go do siebie jak magnes, wrywając w końcu z wycieńczającej rutyny. Po godzinie minął wieś i jadąc żwirową drogą, skupiał wzrok tylko na niej. Jak ognia unikał choćby spoglądnięcia na otaczający ulicę las. Nie umiał się do tego zmusić.

Lata temu jedno ognisko z dziadkiem zasiało w nim lęk, który zakorzenił się w nim na stałe i towarzyszył mu również w dorosłości. Pamiętał je doskonale, choć tak bardzo nie chciał. Ilekroć rodzice próbowali wyciągnąć go na spacer, dziwaczne zdarzenie odtwarzało mu się przed oczami jak zacięta płyta. Samemu nawet nie próbował się tam zapuszczać, zwłaszcza po tym, jak dziadek przepadł. Cały czas w głowie słyszał drżący głos ojca, mówiący mu...

Pisk hamulców odbił się echem się między drzewami. Rozdrażnione kamienie uderzały wściekle w spód auta. Tomasz, blady, oddychając szybko, wpatrywał się w przebiegające tuż przed nim stado jeleni. Zamknął oczy i westchnął przeciągle, opierając głowę o kierownicę.

– Nie odpływaj – szepnął do siebie. – Nikt nie potrzebuje trzeciego pogrzebu.

Z przesadną ostrożnością wtoczył się na wzgórze. Oczami wyobraźni widział młodego siebie, krzyczącego z entuzjazmem, chcącego pokazać mamie, tacie i cioci jaszczurkę wygrzewającą się na słońcu. Wiele lat później jego syn również biegał wesoło po tej okolicy, kiedy jeszcze nie był taki wielki i ani trochę tak dorosły jak teraz. Dzieciak wskazywał na żmiję, pędzącą prosto w las. Dorosły już Tomasz tłumaczył

Łukaszowi, jak nie pomylić jej z zaskrońcem. Młodsza i starsza jego wersję łączyło to, czego teraz mu brakowało – szczerzy uśmiech.

Gdy Tomasz już się otrząsnął ze wspomnień, jego oczom ukazał się pusty biały dom z brązowym dachem, stojący pośrodku polany. Od zawsze przyjeżdżał tu z rodziną. Teraz był sam jak palec. Brakowało już nawet zwierząt, które pamiętał z dzieciństwa. Ciocia sprzedawała wszystkie, bo nie była w stanie się nimi zajmować – ból towarzyszył jej nawet przy zginaniu małego palca.

W środku panowała zupełnie inna atmosfera niż pamiętał. Pusto. Chłodno. Nieswojo. Wszystko zatrzymane w czasie, jakby razem z ciocią zawisł cały dom. W kuchni i sypialni stały te same meble, na których kiedyś siedział i spał. Schody na piętro skrzypiały jak dawniej. W łazience kurki chodziły z oporem – tak, jak zapamiętał, a nad nimi wisiało to samo stare lustro. Widział w nim swoją okrągłą twarz, już nie dziecięcą, lecz dorosłą, wymęczoną, z coraz liczniejszymi zmarszczkami i siwizną przebijającą się między czarnymi włosami.

Szybko sprawdził, czy wszystko, co potrzebne do przeżycia, wciąż działa. Piecyk grzał wodę świetnie, aż za dobrze. Prąd – obecny, jakby czekał, aż ktoś wróci do domu. Kuchnia? Tu już gorzej. Palniki na kuchence swoje przeżyły, instalacja gazowa też nie była najnowsza. Kiedyś będzie musiał się nią zająć.

Odświeżył się pod prysznicem. Posprzątał. Rozpalił ogień w kominku. Nic nie dało rady przepędzić przytłaczającej pustki. Wzbraniał się przed uznaniem, że ukochane miejsce prześląknęło śmiercią.

– No, Jacek, dotarłem. – Tomasz odezwał się do słuchawki, smażąc obiad.

– Jacek... Nic tu się nie zmieniło, nawet nasze rozjechane monety dalej wiszą w pokoju, wiesz? Choć jakoś tak tu mniej przyjemnie. Myślisz? To przez to? Hm... no może masz rację. Nie, Jacek. Jeszcze nie byłem na strychu. To tam? Nie wiedziałem, może mi wyleciało z głowy. Szlag... Napisałem Łukaszowi, że jadę. Więc wie, ale i tak jest w pracy. Jakiś ważny projekt. Wiesz, jak to on... Czekaj. Kurwa, kurwa, kurwa!

Zdziczały płomień, jak wyciągnięta ręka, chwycił woreczek na szyi i na niego wpełzł. Tomasz zrzucił go z siebie w mgnieniu oka. Odskoczył tak jak wtedy, dawno, przy ognisku. Zdeptał go butem. Został jedynie żałosny, szary pył, a pierścionek ze środka, cały powyginany, ledwo dało się chwycić.

Dotarło do niego wołanie Jacka w słuchawce.

– Nic. Nic się nie stało, muszę kończyć – burknął chłodno przez ściśnięte gardło i się rozłączył.

Dopiero wtedy pozwolił sobie na chwilę żaloby. Słone łzy popłynęły po policzkach, każda niosła inną przykrą myśl, inny wyrzut do świata, do losu, do Boga. Nawet tak bliską sercu pamiętkę musiał mu odebrać.

Przez resztę dnia Tomasz majstrował przy palniku, zapalał go, obserwował jego działanie; niezależnie od tego, ile gmerał tam śrubokrętem, uderzał patelnią czy potrząsał kuchenką, płomień nie zachował się tak drugi raz.

W nocy śnił, jakby coś wymieszało wszystkie dziecięce lęki z dorosłymi troskami i siłą wlało Tomaszowi tę miksturę prosto do gardła. Ciocia, w tej samej sukni, co na pogrzebie, z sinym śladem na szyi, blada, prowadziła za rękę lunatującego Łukasza. Tomasz szedł za nimi. Chciał krzyknąć, choć z gardła wylatywało tylko żałosne, ciche charczenie. Oddalali się, znikali otoczeni półmrokiem, tuleni gęstą, rozlewającą się wokół drzew mgłą.

Coś strasznie gorącego chwyciło go za rękę. Płomień jak z palnika, jak z ogniska kroczył obok, ścisnął dłoń, szarpał za rękaw. Mamrocząc coś głosem jego ojca i dziadka, wyrwał wiszący na szyi Tomasz woreczek i spalił go doszczętnie. Ubranie, ostatnia bariera dzieląca go od lasu, obróciło się w pył. Z każdym krokiem bosa stopy grzęzły w błocie coraz bardziej.

Kiedy zanurzył się w nim po pas, w jednej chwili stało się ciepłe, gorące, parzące, jakby coś chwyciło go za stopy, łydki, uda, tors... Ciągnęło pod ziemię. Parzyło dotkliwie.

Plakał. Krzyczał. Wierzył się.

Daremnie. Płomień.

Potem drugi. Trzeci. Czwarty. Dziesiąty...

Gromadziły się wokół, tańczyły szaleńczo, łapały się wszędzie, biegały dookoła, skakały, wnikały w siebie i się oddzielały, a on się topił, zapadał głębiej i głębiej w towarzystwie skwierczącego rechotu, aż...

Własny wrzask wyrwał Tomasz ze snu, wyrzucił z łóżka. Błędym wzrokiem krążył po sypialni zatrzymał go dopiero na stojącym za oknem samochodzie. Nie mógł wyjechać. Jeszcze nie teraz. Zniszczony pierścionek na szafce nocnej zamajaczył mu boleśnie w kącie oka. Zacisnął pięści w bezsilności.

Robiąc śniadanie, omijał felerny palnik. Niebieskie płomienie otulające żeliwną skorupę sprawiały, że przechodziły go dreszcze. Obejrzał się dookoła, wyjrzał przez okno w stronę lasu, wszystko szybko, w trakcie kilku sekund, jakby coś mu groziło. Czy to ognisko dalej tam jest? Czy nawet z tak daleka wyciąga do niego rękę?

Był sam. Nawet ptaki milczały.

– Może źle to wszystko znoszę – burknął pod nosem. – Tak, wyjazd, by podumać, czemu ktoś się zabił. Boże, co za idiotyzm.

Nie umiał skupić się na jedzeniu, wzrok uciekał mu w kierunku korytarza. Niespokojnie wędrował spojrzeniem po kolejnych stopniach, coraz wyżej, dopóki przerażony własnym zachowaniem nie skierował go gwałtownie z powrotem na stygnącą jajecznicę. Iść tam, czy jednak sobie odpuścić? Stres ścisnął mu żołądek.

Ostrożnym krokiem wszedł po schodach. Wahał się dłuższą chwilę, po czym opuścił drabinę na strych. Chwycił ją. Ręce nie potrafiły znaleźć w sobie siły. Dlaczego tak trudno było mu się przemóc? Przecież wiedział, co się stało. Policjanci wszystko mu opowiedzieli, ciąg dalszy historii dodał lekarze, a zwięzłe podsumowanie widział wymalowane na jej szyi. Co jeszcze mogło tam na niego czekać?

Szczebel za szczebłem, ciało wszczynало coraz gwałtowniejszy bunt. Nogi wiotczały, ręce dygotały, powieki wbrew woli się zaciskały, a płuca nie chciały w sobie powietrza. Myśli pędziły jak szalejąca powódź: młodość i dorosłość, ciocia młodsza i ciocia starsza, ciocia w trumnie, siny ślad, ognisko, płomienna dłoń. Zaginął dziadek, zaginął ojciec. „Od dzisiaj nie chodzimy do lasu, Tomek, w lesie jest niebezpiecznie, jutro jedziemy do domu, pakuj się po woli, słuchasz mnie, młody?”

Tomasz stanął w rogu strychu i odruchowo sięgnął po nieobecny woreczek. W przełamujących półmrok słupach promieni słońca, wpadających przez zakratowane okno, martwo wisiały obłoki kurzu. Ciągnęły się aż do stojącego pośrodku przewróconego krzesła, podkreślonego światłem jak w teatrze. Nad nim, wokół jednej z belek stropu, wisiał rozcięty, jutowy kikut. Po wisielcu została pustka, dziura, z której płynęła zaciskająca się wokół szyi cisza.

Obok stał znajomy kufer. Dziadek nigdy nikomu nie pozwalał się do niego zbliżyć. Tomasz podszedł bliżej i spróbował rozewrzeć jego paszczę, oglądając się, jakby zmarły wciąż patrzył. Ani drgnęła, gniewny ryk gniecionych kartek i tłuczonego szkła był jedyną odpowiedzią. Tylko fragment papieru wysunął się spod wieka. „Ustaw dookoła” i „rozpalic duszę” – więcej nie widział. Spróbował wyjąć całą kartkę, lecz trzymany kawałek się oderwał, jakby skrzynia mocniej zacisnęła szczękę.

Wiszące obłoki, ścisnąca pustka, dziwne zapiski, rozpalone dusze, myśli Tomasz wirowały razem z całą głową. Ten dom go dusił. Gdy się odsuwał, przykładając dłoń do napiętej skroni, wrócił wzrokiem do przewróconego

krzesła. Stało idealnie naprzeciw okna. Ostrożnie podniósł je, ustawił się na nim tak, jakby chciał wypełnić wisielczą dziurę i spojrzeć na wprost z rosnącą dezorientacją. Dlaczego ona umierając, chciała oglądać akurat łysy fragment polany?

Duszony umysł bezbłędnie wyczuł okazję, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Tomasz pospieszenie zszedł na dół, chwycił łopatę i wybiegł na zewnątrz. Zatrzymał się przy łysinie i obrócił głowę w kierunku okienka na strychu. Jutowy kikut kiwnął mu z pozdrowieniem. Trafił we właściwe miejsce. Zawzięcie machał łopatą, z każdą kroplą potu i kupką ziemi wyrzucał z siebie trochę kielkującego w nim obłędu powodowanego rozrastającą się tajemnicą.

Dół w kształcie grobu się pogłębiał, aż łopata odbiła się od przedmiotu na dnie. Zeskoczył tam ostrożnie, odkopał znalezisko rękami i je wyczyścił. Księga. Skórzana oprawa, obite złotem rogi, kartki w jednym miejscu nadpalone. Wewnątrz ogrom obszernych, jak podejrzewał, opisów w nieznanym mu języku i ilustracje. Abstrakcyjne symbole ze świec otaczające ognisko, bluźniercze tańce i ta jedna rycina, która wyryła mu się w pamięci: wielka istota o szpetnym, byczym łbie pożerała tańczące wokół, żywe płomienie.

Mała z każdą przejrzaną stroną. Strych, dom, las, płomienie, księga, wszystko rośło i przytłaczało go, nękało, dobierało się do niego zewsząd. Nic z tego nie rozumiał, oprócz rzeczy najbardziej oczywistej – diabelskie przeznaczenie, fatum wyciągało po niego niewidoczne jeszcze łapska, o wiele większe, niż był w stanie pojąć. Dosyć. Nakreślił lakonicznego SMS-a do Jacka, musiał mu to pokazać. Nie oglądając się za siebie, pognął do samochodu. Księgę położył na fotelu pasażera.

Jadąc żwirową drogą, stukał palcami o kierownicę. Nie potrafił opędzić się od nękających go myśli. Rozrastająca się jak nowotwór zagadka wrzeszczała w głowie, domagając się racjonalnego wyjaśnienia, którego Tomasz nie potrafił znaleźć. Spojrzał na księgę i nerwowo zacisnął palce. Dlaczego ciotka chciała przed śmiercią patrzeć właśnie na miejsce zakopania tajemniczej księgi? Czy to przez nią ojciec...

Ruch za szybą. Rozszerzenie źrenic. Stopa na hamulcu do podłogi. Szarpnięcie. Pisk. Huk. Dym. Ciepło. Jeleń na masce. Połamany, krzyżował spojrzenie z trzęsącym się, zawieszonym w bezruchu Tomaszem, a jego poroże przebijało szybę. Gorąc rozlewał się powoli po samochodzie, ostry zapach drapał mężczyznę w nozdrza. Zewsząd bezgłośnie szep: „Uciekaj”. Jak odczarowany, drżąc, szarpnął za pasy, chwycił nie-

dbale księgę i wyskoczył z samochodu, prawie wyrwijąc drzwi z zawiasów.

Uderzenia serca próbującego wyrwać się z piersi zagłuszały wszystko prócz ryku poparzonego jelenia. Płomienie wyskoczyły spod samochodu i wbiły się w niebo, otulając maskę i umęczone zwierzę. Biegały wokół ofiary, tańczyły, skakały, a po okolicy rozlewał się skwierczący śmiech. Tomasz błąd jak ściana wpatrywał się w to widowisko sparaliżowany, jakby jego umysł także płonął żywcem. Mijały godziny, płomienie trzymały go na żwirowej drodze w środku lasu, póki nie zgasły razem z wieczornym słońcem. Na pożegnanie wyciągnęły do niego ponętne dłonie.

Dopiero buczenie telefonu zerwało trzymające jego jaźń kajdany. Jak śmiech dziadka przed laty, pozwoliło mu wstać i ruszyć do domu.

„Co masz? I kiedy będziesz?”

„Przyjedź”, odpisał otepiały. „Samochód się zepsuł”.

Już pod osłoną nocy dom rozświetliła para reflektorów.

– Jestem! – Niskiemu głosowi towarzyszyło donośne pukanie.

W progu stał potężny, wysoki rudzielec z łysiną na czubku głowy i parą małych oczu. Szczerył się z ulgą, pokazując krzywe zęby. Niepewny uśmiech przyozdobił bladą twarz Tomasza, który opuścił na moment zeszytniałe ramiona.

– Chryste, człowieku – powiedział Jacek po chwili, ściągając buty. – Jakie „się zepsuł”?! Co ci tak wóz załatwiło? Jakies zwierzę? I wyglądasz, jakbyś miał mi tu zaraz paść, jeszcze ta nasza rozmowa wczoraj. Kuźwa, Tomek, co się dzieje?

Tomasz popatrzył tępym wzrokiem na przyjaciela i powiedział:

– Jeleń... Coś musiało z samochodem być... no... nie tak. I się zapalił...

Zamyślił się głęboko. Płomienie wciąż tańczyły mu przed oczami. Wyciągały dłonie prosto do siedzącego przy ognisku dziecka.

– I nie wezwałeś nic? Żadnej straży? Dobrze, że las się nie zajął.

– Ja... Nie miałem do tego głowy. A potem było po wszystkim.

Powłócząc nogami, zaprowadził przyjaciela na strych. Nieobecny głos tłumaczył ustawienie krzesła, wspominał o kufrze, braku klucza, znów o krześle, polanie, wszystko nieskładnie, chaotycznie, jakby gorączkowo. Wreszcie wcisnął swojemu gościowi w ręce księgę.

– O, chłopie... – szepnął Jacek, wertując kartki. – Racja, racja, można by to gdzieś opchnąć. W sumie, szukałeś w okolicy kluczy do kufra? Wiesz, skoro to ona...

– Zakopała księgę... – przerwał mu Tomasz. Coś obłąkańczego błysło w jego oku. – To razem z nią też te pieprzone klucze! – Trzęsąc się, krążył niespokojnie po pomieszczeniu. – Boże, czemu ja o tym... Rozgość się, poszukam ich. Wróć. Zaraz. Z nimi. Pewnie tam...

– Bez wygłupów! – Przyjaciół niemalże ryknął, jakby ganił szaleńca. – Przecież można łomem...

Staszewski jednak już biegł na polanę, naciągając na czoło starą czołówkę.

Łopata kolejny raz poszła w ruch. Rozrzuciła kupy ziemi na wszystkie strony, wbijana agresywnie, w gorączce. Kufer. Co w środku? Odpowiedzi? Więcej zagadek? A jeśli szuka nie w tym miejscu? Jedna gruda zadzwoniła, druga upadła z donośnym, tęym plaśnięciem. W dziurze zamajaczyły zwęglone, zwierzęce szkielety. Mroczki płynęły mu przed oczami, mieszając się z gwiazdami na bezchmurnym niebie.

Tomasz odsunął się i drżąc, rozkopał obie sterty. Pęk kluczy i mały zeszyt w ciemnej, skórzanej oprawie leżały przed nim, skąpane w zimnym świetle latarki. Wołały go. Ponaglały, by wybrał, którą tajemnicę złapie najpierw. Zamkniętą w kufrze, czy rzuconą pod jego stopy.

Wahał się tylko chwilę, chwycił książkę i wertował ostrożnie niemal rozpadające się w palcach kartki. Pamiętnik. Spośród najstarszych zapisków rozróżniał tylko pojedyncze słowa. Rytuał, nieśmiertelność, rozpalenie duszy... A potem klątwy. Pierworodni. Sąd na pokoleniach. Niewola i pożarcie. Zeszyt wypełniały notatki kolejnych męskich członków rodziny, jakby każdemu z nich przeznaczone było go znaleźć. W najlepszym stanie zachował się ostatni wpis jego ojca: „Oby Tomek już nigdy tu nie przyjechał”. Ciągłe przewijały się ofiary zabrane przez ogień. Najpierw najdroższy przedmiot. Potem zwierzę. Na końcu...

Trzęsąc się, spojrział na dom. Chciał wrócić, powiedzieć Jackowi, uciec, uciec, uciec! Zimny pot zalewał jego ciało. Tonął w szaleństwie. Postawił pierwszy krok i zamarł.

W kuchni pojawił się pomarańczowy błysk. Jak rak pochłonął cały parter. Okna się rozsypały, wypuściły ze środka miażdżący ucho, demoniczny ryk. Roześmiane płomienie wystrzeliły w górę, otuliły budynek, biegały, skakały, tańczyły, wchodziły w siebie, powstawały na nowo, przenikały się w rozpustnym dotyku. Na jego oczach odprawiały ognisty sabat. Z wnętrza dobiegał pełen cierpienia, bulgoczący, cichnący z każdą sekundą krzyk.

Ostatnia ofiara. Człowiek.

Tomasz rzucił się do ucieczki niczym spłoszone zwierzę.. Pisk w uszach stłumił myśli, wybijając z nich telefon, numery alarmowe i sa-

mochód Jacka. Łapsko niewytłumaczalnego zaciskało się wokół umysłu. Chwytało go. Paliło resztki rozumu. Biegł zwirową drogą.

Może dotrze do krajówki? Drzewa chcą go pożreć.

Może ucieknie do wioski? Cienie wyciągają macki.

Może ktoś otworzy mu drzwi? Płomienie tańczą! Tańczą gdzieś w pobliżu.

Harcujące światła zamajaczyły za mgłą. Ekstazy. Dziękuję. Pośrodku drogi. Poczuli impuls. Instynkt. Pchnięcie, by z dziecinny wrzaskiem wbiec do lasu. Czarne słupy otaczały go zewsząd, skąpane w szarzyźnie. Spomiędzy nich przebijał się skwierczący śmiech. Ognik tańczył tuż obok. Tomek skręcił w panice. Znów płomienne duchy. Wbijał się w las, głębiej i głębiej, uciekał, płakał, buty grzęzły w błocie. Stanął dopiero przed ogniskiem, znanym jemu i przodkom. Płonęło żywym ogniem. Przepoczwarało się w dłoń wyciąganą po kolejnego Staszewskiego. Zbliżała się, centymetr po centymetrze, napinając powykrzywiane paluchy.

Wrzasnął jak przestraszone dziecko. Upadł i zaczął wycofywać się niedbale. Próbował uciec na czworaka. Ogniki zbierały się wokół, tańczyły, krzyczały, ulatywały, jakby coś zżerało je kawałek po kawałku. Zataczały wokół niego krąg, ciaśniejszy i ciaśniejszy. Kolejne płomienne łapska chwytały jego stopy, łydki, uda, wspinały się po ciele, wciągały pod ziemię. I wrzeszczał, kiedy parzyły jego odsłoniętą skórę. Darł się, gdy głowę zanurzały mu w błocie. Krzyczał, jak pokolenia przed nim, jak wspomnienia w pierścieniu, jak jelen, jak Jacek. A z wnętrza, po wyciągniętej do góry ręce, wypelzał ogień.

Kolejny roztańczony duch.

Umysł rozbudził się na ostatnie chwile, szepotał w kółko tylko jedno słowo. Tomasz próbował zakłąć myślami uciekającą rzeczywistość. Błagał. Płakał. Modlił się. *Łukasz!* Oby Łukasz już nigdy tu nie przyjechał!

NOC SYLWESTROWA

W JEDNYM AKCIE

REDAKCJA: PAULINA MIKA

KOREKTA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

ON – Adam

ONA – Ewa

Opis akcji:

Powinno być przestronnie, elegancko, wręcz geometrycznie i zimno.

Jasne wnętrze, utrzymane w bardzo oszczędnej aranżacji. Jeśli są w nim meble, powinny wyglądać na eleganckie, wysokiej jakości i drogie. Na scenę, z dwóch przeciwnych jej stron, wchodzi mężczyzna i kobieta. Ona elegancko ubrana oraz w szpilkach.

On w garniturze. Obydwoje trzymają w rękach komórki, mijając się, jakby w ogóle nie zwracali na siebie uwagi. Ona wpatrzona w komórkę, trzyma ją w jednej ręce, a drugą zdejmując buty. Następnie, nie odrywając wzroku od urządzenia, przenosi każdy but na drugą stronę sceny, ustawiając je równiutko obok siebie.

On, rozluźniając krawat pod szyją, idzie w stronę kanapy, stojącej na przodzie. Zatrzymuje się przy stole, zastawionym naczyniami, kieliskami i mnóstwem butelek.

ADAM

Po co tyle szampana?

EWA

Dziś jest sylwester. Raz w roku można sobie pozwolić.

ADAM

Ale nikt go nie pije. Poza tym idiotycznym toastem. Więc, po co aż tyle?

EWA (z przekąsem)

Najważniejszym w roku.

ADAM

Wierzysz w te bzdury? Dobra. Ale czy musisz kupować prawdziwego? I wyrzucać na to tyle pieniędzy?

EWA

Nie będę stawiać na stole taniego wina musującego! Przyjdą twoi pracownicy! O czym będą potem opowiadać? Że szef sknera? Albo, że lekceważy tych, którzy mają mniej? Albo – i to byłoby najgorsze – że jest bankrutem?!

ADAM

O czym ty mówisz? To są moi przyjaciele! Taki podział ról w firmie. Jakie lekceważenie? To nie jest lud roboczy.



EWA

Ale w hierarchii społecznej stoisz wyżej niż oni. I nie powinni o tym zapominać.

ADAM

Ewka, tobie zupełnie odbiło. W podstawówce z nimi w piłkę nożną grałem. Założyliśmy razem firmę. Mogłem włożyć więcej niż oni, to wszystko!

EWA

Ty nie wyczuwasz ludzi. Zresztą, jak każdy facet. Ufasz im naiwnie. A potem budzisz się z ręką w nocniku.

ADAM

Do tej pory nic takiego się nie wydarzyło.

EWA

Ale w każdej chwili może się zdarzyć.

ADAM (wzburzony)

I co? Jedna butelka szampana za kilkaset złotych ma mnie przed tym uratować? A kilka zapewni mi wieczny spokój?

EWA

Nigdy nie wiadomo. Na pewno nie zaszkodzi.

ADAM

Zazdroszczę ci tej kobiecej wyobraźni. Ale twoje katastroficzne scenariusze mnie przerażają.
(po chwili)

Kawior też kupiłaś? Nie znoszę kawioru!

EWA

Nie chodzi o to, co lubisz, czy nie lubisz. Niech widzą!

ADAM

No kurwa! Wiesz, że mnie mdli, jak go widzę! Rybie jaja jako symbol luksusu, no ja pierdołę! Nic nie będę przez ten kawior jeść. Po prostu się upiję!

EWA

Przestań już! Obojętnie, co robię, wszystko zawsze źle! Ja tylko dbam o twój wizerunek. Kawior i szampan musi być na stole!

ADAM

Mój wizerunek? Sam umiem o niego zadbać! Nie muszę niczego udawać przed najbliższymi przyjaciółmi!

EWA (zgryźliwie)

Najlepsi przyjaciele? Boże daj, żeby ta naiwność nie zrobiła ci krzywdy.

ADAM (patrzy na nią przez chwilę w milczeniu)

Czy jest coś, o czym nie wiem?

(Ewa nie patrzy na niego, rozkłada naczynia na stole. Krząta się. Wygląda, jakby w ogóle go nie usłyszała)

ADAM

Ewka!

EWA

Tak, słucham?

ADAM (*spięty*)

Pytałem, czy jest coś, o czym nie wiem?!

EWA (*robi niewinną minę*)

Ależ skąd. Ty zawsze wiesz o wszystkim... Najlepiej!

ADAM

Ooo nie. Nawet nie próbuj.

EWA (*zdziwiona*)

Nie rozumiem...

ADAM

Przecież cię znam. Nie rób z siebie idiotki, bo nią nie jesteś.

EWA

O, dziękuję. Nareszcie coś miłego.

ADAM

Nie prowokuj. Bo będzie jak zawsze. Ja się wkurwię, ty się rozplączesz. Przeniesiesz się z pościelą do salonu i będziesz czekała, aż cię przeproszę.

EWA

O co ci chodzi?

ADAM

Zasugerowałaś, że nie powinienem ufać moim najbliższym przyjaciołom.

EWA

Tak to odebrałeś? Błędna interpretacja.

ADAM

Nie zaczynaj z tymi babskimi gierkami. Otwierasz puszkę Pandory, a potem udajesz, że nie masz z tym nic wspólnego!

EWA

Puszka Pandory? Przesadzasz.

ADAM

Mów!

EWA

Ale o czym?

ADAM

Mów! Bo inaczej trzasnę drzwiami i spędzisz tego sylwestra sama z szampanem i czarnym kawiozem! I wcale nie jestem pewien, czy wrócę w przyszłym roku!

EWA (*Ewa przestaje się krzgać. Podchodzi do niego*)

Grozisz mi?

ADAM

Tak! Nie! Chcę tylko wiedzieć, dlaczego mam nie ufać przyjaciołom, którym ufam.

EWA

Nie wiem czy nie powinieneś ufać przyjaciółom, ale ich żonom z pewnością nie.

ADAM (*Adam podchodzi do stołu, wlewa do szklanki whisky. Siada wygodnie na kanapie*)

Słucham?

EWA

Co chcesz usłyszeć?

ADAM

Chcę wiedzieć, co powiedziała ci jedna z tych pind. Musiało mocno zapieć, skoro kupujesz najdroższego szampana i kawior. A do tego biegniesz w sylwestra do fryzjera, u którego notabene byłaś tydzień temu. Ale to nic. Idziesz i płacisz trzy razy tyle, co normalnie, żeby ci posypał włosy brokatem.

EWA

Skąd wiesz, że byłam?

ADAM

Informacje o płatnościach kartą kredytową dostaję od razu. Wracając do sedna; nie pierdol mi o dbaniu o mój wizerunek, bo tak naprawdę chodzi o ciebie. To ty musisz dziś pokazać, że jesteś od nich lepsza, więc... co usłyszałaś?

EWA (*Ewa pochodzi do kanapy i siada po jej drugiej stronie*)

Umówiliśmy się u fryzjera, potem miałyśmy iść na wino. Od początku coś było nie tak. Edzia w ogóle się nie odzywała, Karolcia za to gadała, jak najęta. Spytała, czy zaczęłam uprawiać jakiś sport, bo przybrałam na wadze i dobrze wyglądam. Czy to prawda?

ADAM

Co? Że dobrze wyglądasz? Wyglądasz świetnie!

EWA

Pytam, czy to prawda, że utylam?

ADAM

Ależ skąd. Na pewno bym zauważył. Nie słuchaj tej głupiej cipy.

EWA (*milczy przez dłuższą chwilę*)

Potem spytała, dlaczego nie byłam na firmowym weekendzie w Karpaczu? Dlaczego?

ADAM

Nie byłaś?

EWA

Nie. Nawet o nim nie wiedziałam.

ADAM (*myśli przez chwilę, wyraźnie poddenerwowany*)

Bo po karczemnej awanturze o dziecko i nazwaniu mnie egoistycznym samolubem, mieliśmy ciche dni.

EWA

I co z tego? To jest powód, żeby nie zabrać mnie na imprezę firmową? Pierwszą tego typu? Weekend w Karpaczu?!

ADAM

Musiałem odpocząć. Wszystko przemyśleć. Szczerze mówiąc, miałem cię po prostu dość.

EWA

Miałeś mnie dość? Ty od dłuższego czasu masz mnie dość. Prawie cię nie widuję.

ADAM

Bo ciągle jesteś niezadowolona.

EWA

To nieprawda!

(milczy przez dłuższą chwilę)

Mieliśmy plany. Ty chciałeś zbudować firmę, być niezależnym finansowo i wolnym. Ja zrezygnowałam ze studiów, obiecałam cię wspierać. Dla mnie kariera była ważna, ale najważniejsza była rodzina. Chciałam mieć dzieci. Obiecałeś mi to.

ADAM

I dotrzymam obietnicy. Ale nie w tej chwili. Poczekaj.

EWA

Na co? Stoisz już na własnych nogach, jesteś niezależny. Ale wciąż uciekasz... ode mnie.

(Adam milczy)

EWA *(po dłuższej chwili)*

Mam nadzieję, że powiedziałeś, że źle się czułam i dlatego nie przyjechałam. Bo ja tak powiedziałam.

(milczy przez chwilę)

Karolcia mówiła, że chyba nie czułeś się dobrze. Chowaleś się w swoim pokoju i nie chciałeś się z nimi bawić.

(zamyśla się)

Edzia prawie w ogóle się nie odzywała. Dziwne.

ADAM *(przysuwa się do niej)*

No dobrze, już dobrze. Zachowałem się jak idiota. Przepraszam. Nie cofnę czasu. Ale wiesz co? Na zgodę mogę teraz z tobą wypić szampana.

EWA

Przecież go nie lubisz...

ADAM *(podekscytowany)*

A wiesz, że nabrałem ochoty.

EWA *(dziwnie spokojna)*

Myślisz, że to wystarczy?

ADAM *(próbując ją przytulić)*

A po nowym roku, po zrobieniu bilansu rocznego, zajmiemy się robieniem dzieci. Co ty na to?

EWA

A co tobie tak nagle?

ADAM

Nie wiem. Może ta rozmowa była potrzebna. Przepraszam cię. Chodź, otworzymy go.

EWA

Dobrze. Ale korek ma wystrzelić.

ADAM *(z niesmakiem)*

To dziecinada.

EWA

No i co z tego? Jestem dziecinna i chcę mieć dzieci!

ADAM

Przestań się upierać.

EWA

O nie! Tym razem będzie tak, jak ja chcę albo w ogóle. Nie postawisz na swoim.

ADAM

Jesteś męcząca.

EWA

I to mają być przeprosiny? Robisz wielką imprezę, o której mi nie mówisz. Bo byłam niegrzeczna. I zasłużyłam na karę. Później na zgodę chcesz pić szampana. Ale na twoich warunkach. Kurwa! A na koniec jestem męcząca. To pij sam ze sobą!

ADAM *(milczy przez dłuższą chwilę, jakby bił się z myślami)*

Muszę ci coś powiedzieć. Z tym korkiem...to nie jest tak naprawdę dziecinada. To dużo poważniejsze.

EWA

Naprawdę? Od prawie ośmiu lat próbujesz mnie przekonać, że to idiotyzm.

(cisza)

W domu dziecka sylwester był wyjątkowy. Za oknami strzelały petardy. Wychowawcy strzelali korkami szampana... Pachniało spalającymi się, zimnymi ogniami. Po ściankach butelek spływała sycząca, biała piana. Spadała na podłogę i nikt się nie denerwował, wszyscy się śmiali i cieszyli tym nowym początkiem i cudami, które ma przynieść.

ADAM *(z sarkazmem)*

I co? Przyniósł?

EWA

Zależy z jakiej perspektywy patrzy się na to, co się dzieje. Ale jedno jest pewne. Noc sylwestrowa była najpiękniejszą nocą w roku. Nie spaliśmy do samego rana. Zresztą, za oknami było tak głośno, że się nie dało. No i mogliśmy urzędować w kuchni, ile chcieliśmy, bo nikt nie zwracał na nas uwagi. Upychaliśmy po kieszeniach tyle słodyczy, ile tylko się dało. Przyklejałam tabliczki czekolady z drugiej strony dna szuflady, żeby nikt ich nie znalazł. Abym miała na smutne noce, kiedy łzy nie chciały przestać same płynąć. I pomagała tylko czekolada.

ADAM

Nigdy mi o tym nie mówiłaś...

EWA

Próbowałam wiele razy, ale nie chciałeś słuchać. Strzelający korek i pryskająca wokół biała piana szampana, to dla mnie dobry znak.

ADAM

A dla mnie nie... Wręcz przeciwnie.

(milczy, nerwowo porusza się po scenie)

W sylwestra ojciec zawsze był pijany. Święta i sylwester to były straszne dni. Zaczynał chlać w wigilię i nie przestawał do nowego roku, który witał na izbie wytrzeźwień. Cały czas był agresywny. Krzyczał i płakał nad podłym życiem, nad parszywym zawodem. I bachorami, których nie chciał. Przez nie przecież nie mógł spełniać marzeń.

EWA

Nigdy o tym nie mówiłeś...

ADAM

Nie było, czym się chwalić.

EWA

Ale przecież twoi rodzice...

ADAM *(przerywa jej)*

Prześtań!

Teraz ja mówię! Chciał być pilotem. My się pojawiliśmy i musiał zarabiać pieniądze, żeby nas utrzymać, żeby utrzymać rodzinę... Wrzeszczał i sąsiedzi wzywali policję. Wtedy trochę się uspokajał. Potem pił więcej, wychodził na korytarz i wyzywał ich od jebanych żmij. Wystraszeni ponownie wzywali policję i spędzał noc na izbie wytrzeźwień. Pewnego razu mama postawiła mu ultimatum, że jak będzie dalej pił, to ona odejdzie. Miał wznieść toast dopiero po północy. Byłem taki szczęśliwy. Pierwszy raz od dawna spędzaliśmy wieczór razem, tato nie był pijany, rodzice się nie kłócili. Krótco przed północą zacząłem prosić tatę, żeby strzelił korkiem od szampana.

EWA

I co się stało?

ADAM

Mama prosiła, żeby tego nie robił, bo boi się huku. Tato patrzył na mnie... Nie wiem czy to fakt, że poprosiłem go o coś pierwszy raz w życiu, czy myśl, że za chwilę będzie mógł się napić, sprawiła, że uśmiechnął się, mówiąc, że wystrzeli. O północy korek z hukiem wyleciał z butelki, aż przeszły mnie ciarki. Potem usłyszeliśmy trzask pękającego, spadającego na podłogę szkła, i zgasło światło. Mama zaczęła krzyczeć ze strachu, a tato kłął, że nic nie widzi.

EWA

Co to było?

ADAM

Okazało się, że korek uderzył w niewielką lampkę nocną, która stała na parapecie okna. Tato zaczął krzyczeć, że wszystko przez moje głupie pomysły. Mama próbowała go uspokoić, więc ten zaczął na nią wrzeszczeć, że przez jej krzyki ręce mu się trzęsą. A tak w ogóle, to jak można nie pić w domu, kiedy wszyscy robią mu na złość. Wypił szampana i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Mama spakowała nasze rzeczy i zabrała mnie do babci. Czułem się winny.

EWA

Ale nie byłeś winien. To nie ty otwierałeś tego szampana.

ADAM *(wzdycha)*

To była ulubiona lampka mamy. Kilka dni wcześniej spadła mi z parapetu i pękła. Bałem się jej powiedzieć. Sklepiłem ją szkolnym klejem. Pewnie trzymałaby się dalej, gdyby nie trafił w nią ten korek od szampana.

EWA

Twój ojciec był alkoholikiem, manipulował wami. Nie jesteś niczemu winien. Byłeś dzieckiem.

ADAM

Ale gdybym się nie upierał przy tym strzelaniu, tak jak ty teraz to robisz, to nic by się nie stało. Może dalej byłibyśmy rodziną. Nie idealną, ale rodziną.

EWA

Coś takiego mogło zdarzyć się w każdej chwili. Twój ojciec był chorym człowiekiem.

ADAM

Był, wiem to. Ale czasami myślę, że gdyby miał innego syna, łatwiej byłoby mu wyjść z choroby.

EWA

O czym ty mówisz? Innego, czyli jakiego?

ADAM

Mądrzejszego. Nie wiem... doroślejszego.

EWA

Brednie. On miał być dorosły, nie ty. Miałeś prawo być dzieckiem, kłamać, wygłupiać się. On ci to zabrał. Był idiotą.

ADAM (*podnosi głos*)

Nie mów tak o moim ojcu! Nie znałaś go!

EWA

Spójrz, co ty robisz.

ADAM (*coraz bardziej rozdrażniony*)

Co robię?

EWA

Naprawdę nie widzisz? Co robisz sobie? Co robisz mnie?

ADAM

Co ja tobie robię? Znalazłem siłę, żeby opowiedzieć ci o moim dzieciństwie, a ty mnie opierdasz.

EWA

Tyle lat kłamstw.

Mówiłeś, że nigdy nie poznałeś rodziców, że zginęli w wypadku samochodowym, krótko po twoim urodzeniu. Nigdy nie chciałeś na ten temat rozmawiać. Teraz nagle opowiadasz mi o ołtarzyku cierpień, który w sobie pielęgnujesz i co? Mam się rozpłakać?

ADAM (*cicho*)

Choć trochę mi współczuć...

EWA (*podnosi głos*)

Ależ ja ci współczuję! Ale nie dzieciństwa, pełnego niepewności i niepokoju, awantur ojca i płaczącej matki!

ADAM

Proszę przestań...

EWA

Współczuję ci tego, że nigdy nie próbowałeś sobie z tym poradzić! Nazwać winnego! Pozwolić sobie na bycie dzieckiem, komuś zaufać!

ADAM

Przecież właśnie to robię.

EWA

Dlaczego tak nagle? I właśnie teraz?

ADAM

Nie wiem, tak miało być...

EWA

Współczuję ci tego, że musisz kłamać. Okłamywać siebie. I wszystkich dookoła.

ADAM

Dość już! Proszę...

EWA

Ooo tak! W tym jesteś perfekcyjny! Zdobędziesz każdego inwestora, sprzedasz wszystko, co zechcesz. Pozornym zrozumieniem, wytrenowanym spokojem, bawiąc się uczuciami. Nie musisz mnie przygotowywać na kolejne niespodzianki, ja już wiem!

(milnie, spuszcza głowę, podchodzi do stołu i zastanawia się, którą z butelek wybrać)

ADAM *(zrywa się z kanapy, zerka na nią podejrzliwie i z niepokojem. W końcu podchodzi)*

O czym teraz mówisz?

EWA *(podaje mu jedną z butelek)*

Mieliśmy napić się szampana na zgodę.

ADAM *(z wyraźną ulgą)*

Już otwieram.

EWA

Chcę, żeby wystrzelił korek!

ADAM

Dalej nic nie rozumiesz? Dla mnie to trudne wspomnienie!

EWA

To stawmy mu razem czoła!

ADAM

Nie!

EWA

Jak długo będziesz jeszcze przed tym uciekał? Ile pieniędzy musisz jeszcze zarobić? Ile zachwyconych, zamglonych oczu musisz jeszcze zerznąć?

ADAM

Ewa!

EWA

Myślisz, że nie wiem? Potrzebujesz tego zachwytu! Coraz więcej! Potwierdzeń, że jesteś ponad, że jesteś lepszy! Po to, żeby się nie rozsypać.

ADAM

Czy ty masz okres? Dobrze, jeśli musisz się na mnie wyżyć, rób to! Wszystko biorę na klatę!

EWA

O mój ty bohaterze! Zaraz padnę z wdzięczności na kolana. Ale najpierw otworzę szampana.

ADAM

Nie rób tego!

EWA

Zrobię! Dla mnie to też trudne wspomnienie. Nie miałam żadnego, pieprzonego tatusia! Ale ten huk zawsze oczyszczał. Zostawiał stare, dawał nadzieję na nowe...

ADAM

Proszę!

EWA

Nie! Zostawmy tatusiów! Mojego, który miał na mnie wyжебane zawsze. Nawet go nie poznałam! Twojego, który nigdy nie dorósł do tej roli i obwiniał za wszystko ciebie! To już było. Niech huknie, niech popłynie po nas piana i zmyje to kurwa z nas w końcu! Zaczniemy oddychać!

ADAM

Przestań! Właśnie rozpieprzasz wszystko, co udało nam się zbudować.

EWA (*zastyga. Przez chwilę milczy*)

Co powiedziałeś?

ADAM

Właśnie dewastujesz siedem lat naszego wspólnego życia.

EWA

Dewastuję, czyli co? Burzę ten twój domek z kart?

ADAM

O czym ty mówisz kobieto? Siądźmy, napijmy się szampana. Spokojnie, na luzie. Pożegnajmy ten stary rok.

EWA

Za późno na „spokojnie”

ADAM (*zdezorientowany i zaniepokojony*)

Nie rozumiem.

EWA (*milczy przez dłuższą chwilę*)

Byłeś stanowczy, ale ciepły. Miałeś w sobie spokój. Czułam się zaopiekowana. Przez mocne ramie i czułość. Bałam się jak cholera, ale poddawałam się głodna. I taki niby banał: Adam i Ewa. (*śmieje się smutno*)

Nie chciałam rajy czy ideału... ale kogoś, kto pomoże mi dotknąć traumy i zbudować fundamenty czegoś nowego. Straciłeś rodziców w wypadku i poradziłeś sobie z tym. Tak myślałam przez te wszystkie lata.

ADAM

Wciąż nadstawiam ramię. W każdej chwili możesz się na nim oprzeć.

EWA

Tak, wiem. Ale ty nie robisz tego dla mnie.

ADAM (*podirytowany*)

A dla kogo, kurwa?

EWA

Dla siebie...

(*idzie na przód sceny*)

Lubisz pomagać, lubisz czuć się potrzebny. To rekompensata. Pomaga ci uspokoić poczucie winy. Że nie mogłeś pomóc ojcu...

ADAM

Co ty pierdolisz? Kuchenna psychologia.
(parska śmiechem)
Trzymam to zemdlące ramię w górze, bo cię Kocham!

EWA

Kochasz? Co to znaczy?

ADAM

Jestem, zawsze kiedy mnie potrzebujesz. Zapewniam ci spokój, brak problemów finansowych. Stać mnie, żeby pokazywać ci świat.

EWA

Mnie nie obchodzi ten świat na zewnątrz. Ja chcę ciebie. Twoich blizn i ran, twojego płaczu.
(zastanawia się przez moment, milczy)
Czuję, że bez tego nic nie będzie. Boisz się być ojcem, boisz się, że nie podołasz. A ja chcę mieć rodzinę, dzieci... Chcę, żeby nie bały się płaczu ani strachu.

ADAM

Zaraz będziemy robić dzieci, tylko zamknę zeszłoroczny bilans.

EWA

Wiesz jak to brzmi? Zaraz będziemy piec ciastka, tylko wyrzucę śmieci...
(śmieje się)
Widziałam to wszystko. Te twoje zmieniające się co kilka miesięcy sekretarki, młodziutki, wpatrzone w szefa. Zawstydzone moją obecnością, znikające szybko i zwalniające miejsce dla następnej. Kiedyś spytałam cię, czy tak trudno znaleźć kogoś na stałe...

ADAM (przerzywa jej)

Wbrew pozorom to nie jest takie łatwe. Okazuje się, że kompetencje nie zawsze idą w parze z rekomendacją i wyglądem.

EWA

Pewnie! Nie każda godzi się na romans, chce czegoś więcej. A to już jest brak kompetencji.

ADAM

Dobra, sama chciałaś... A co z twoim terapeutą? Myślisz, że nie wiem, że z nim spałaś?

EWA

Spałam? To za dużo powiedziane. Dał mi poczuć się kobietą.
(milczy przez chwilę)
Zabawne, najbardziej podniecały go moje czółenka od Petera Kaisera, czyli tak naprawdę twoja forsa... A ja myślałam, że to pajęczyna w duszy tak go fascynuje...

ADAM

Bzyknął cię. Tego chciałaś.

EWA

Bzyknął? Jaki ty jesteś trywialny.
(stoi przez chwilę nieruchoma, wpatrzona w dal)
Chciałam czułości. To taka... namiętność duszy. Słyszałeś o tym?

ADAM

Ewuniu, proszę... Uważaj, żebyśmy nie poszli za daleko.

EWA

Poszli? Miałeś na myśli, abyśmy nie powiedzieli za wiele? Jakie to idiotyczne... Według ciebie, dopóki nie ubierzesz czegoś w słowa, to tego nie ma.

ADAM

Proszę, zamknijmy wszystko z tym starym rokiem. Zostawmy to tam. Zaczniemy się bawić. Jest karnawał!

EWA

Jeszcze nie ma karnawału, Panie wszystkowiedzący. Na razie jest czas na oczyszczanie. I czekanie na nowe. Do Trzech Króli.

ADAM

Przestań natychmiast.

EWA (*śmiejąc się nienaturalnie*)

Tak po prostu? Ach, zapomniałam. Mam coś dla ciebie.

(*wyjmując z kieszeni torebkę, wyciąga z niej brokat, sypie na niego*)

Nie martw się, to nie złoto. Z daleka tak wygląda, a z bliska okazuje się tanim brokatem. Dokładnie tak, jak ty.

(*przystaje się śmiać. Ramiona zaczynają jej drżeć. Adam próbuje ją przytulić. Odpycha go*)

ADAM

Dobra, strzelam tym korkiem.

EWA

Już nie chcę.

ADAM

Ja pierdolę, kobieto! Czego ty ode mnie chcesz?

EWA

Już niczego...

ADAM

Nie rozumiem...

EWA

Bzykałeś się z Edzią?

ADAM

Z kim?

EWA

Z Edzią, żoną twojego najlepszego przyjaciela. Wspólnika, który nie jest ludem roboczym. Z którym grałeś w piłkę nożną za młodu. Który miał mniejszy wkład, ale w firmie jest tobie równy. Mówię o Witku, pamiętasz kto to?

ADAM

Ewka, ty wiesz, że zbliżamy się do końca?

EWA

Do końca czego?

ADAM

Do końca nas...

EWA

Nas? Ale przecież nas już dawno nie ma...

(śmieje się)

Nas chyba nigdy nie było. Byłeś ty, samarytanin, i ja pokiereszowana przez życie. Chociaż altruista pasuje lepiej. To zawoalowana forma egoizmu. No i jak było?

ADAM (zdezorientowany)

Gdzie?

EWA

W Karpaczu, z Edzią.

ADAM

Chcesz szczegółów?

EWA

Nie. Chcę wiedzieć, czy poczułeś się zwycięzcą?

ADAM

Nie wiem, przez chwilę nie byłem sobą. Ot, tyle.

EWA

Wy, jak zdradzacie, to jest to zawsze chwila niepoczytalności. Jakie to wygodne...

(uśmiecha się ironicznie)

ADAM (zdenewrowany)

Skończmy ten temat!

(milczy, po chwili dodaje)

Jesteśmy kwita. 1:1

EWA

To cię bolało? Że jesteś na przegranej pozycji? Satysfakcjonuje cię ten remis czy gramy dalej?

ADAM

O co chodzi? Ty zaczęłaś!

EWA

Ja poszłam do terapeuty, bo nie mogłam rozmawiać z mężem. Kiedy zaczynałam mówić o swoich potrzebach i niespełnionych pragnieniach, dostawałam od ciebie od razu reprimendę. Że nie doceniam, że przesadzam, że wymyślam problemy! W końcu zaczęłam czuć się winna, że w ogóle mam jakieś potrzeby! On mnie słuchał! Ta jego uwaga mnie zauroczyła! Coś, czego przez lata byłam głodna...

ADAM (przerywa jej)

A ja chciałem poczuć kobiecy zachwyt i pożądanie! Miałam dość pretensji i ciągłych rozmów o dzieciach!

EWA

Zachwyt dawały ci sekretarki. Tu chodziło o coś więcej.

ADAM

O co, na litość boską?

EWA

Poszedłeś do łóżka z żoną swojego najbliższego przyjaciela, żeby nie czuć się od niego gorszym.
(milczy i po chwili dodaje)

I z moją najbliższą przyjaciółką. Płakała u tego fryzjera tak, że nie mogłam się nawet na nią wkurzyć.

(milczy przez chwilę)

Nic nie ma dla ciebie wartości! Niech tylko ego zacznie marznąć!

ADAM (podchodzi do niej. Próbuje ją objąć, przytulić. Ona się wyswobadza)

Przestań już mówić, proszę. Strzelę tym korkiem. Piana zmyje to, czego sami nie umiemy zrzucić. Napijesz się szampana, ślina będzie wypływać kącikami ust. Zanurzę się w niej. Będę sycić, drażyć i zrobimy sobie dzieciątko. Pomożesz mi być dobrym ojcem.

EWA

Dość, bo zwymiotuję.

ADAM

Kocham cię.

Proszę, pozwól mi strzelić tym jebanym korkiem!

EWA

Już nie chcę korka.

ADAM

Dlaczego?

EWA

Jestem w ciąży.

ADAM (zaskoczony, rozszerzając w uśmiechu wargi)

Cudownie, kochanie!

EWA

Przestań się wygłupiać. Już wszystko wiem.

ADAM

Ale co?

EWA

To, że nie możesz mieć dzieci. Witek opowiedział mi o wypadku na boisku. Mielście po piętnaście lat. I zanim spytasz, tak, jestem w ciąży z Witkiem. Przyjechał tu z Karpacza szukać pocieszenia. Ja też go potrzebowałam.

Kłamałeś. Nie mogłeś spełnić moich marzeń. I byłeś zbyt dużym tchórzem, żeby mi to powiedzieć.

ADAM

Ja ci wszystko wybaczę. Spróbujmy jeszcze raz, proszę Ewuś.

EWA (z pogardą)

Będziesz musiał to przełknąć – 2:1. Na pocieszenie zostawiam ci szampana i kawior.

ADAM

Zostań.

EWA

Nie chcę. Nie chcę tego życia na niby. Chcę szczerości. Najgorszej, nawet z tą dam radę. Dość mam kłamstw.

ADAM

Obiecuję, nie będę kłamał.

EWA

Najpierw przestań okłamywać siebie.

(odchodzi. Adam zostaje sam, zdeorientowany. Powoli gasną światła)

Tvoja książka może zabrzmieć w Radio Bezpieczna Podróż

Czy wierzysz, że literatura ma moc? Że potrafi zatrzymać, poruszyć, wesprzeć. Że fragment przeczytany na głos potrafi dotrzeć tam, gdzie słowo pisane czasem nie sięga.

Na antenie Radio Bezpieczna Podróż startuje nowa, codzienna audycja literacka: „**Książki zmieniające życie**” prowadzona przez **Limitless Mind Publishing**.

To 10 minut dziennie poświęcone książkom, które niosą wartość – z tematyki: rozwoju osobistego, duchowego, biznesu, ezoteryki, psychologii, emocji, miłości, relacji, zdrowia, rodziny, mądrej literatury dla dzieci i wiele innych, autentycznych i nietuzinkowych tematów.

Formuła audycji:

10 minut emisji dziennie • maksymalnie 3 odcinki jednej książki • emisja w trzech kolejnych dniach • łącznie do 30 minut materiału audio na tytuł • krótsze książki: 1–2 odcinki

Nasze fragmenty czytane są głównie przez profesjonalną lektorkę, aktorkę i pisarkę:
Roksanę Krzeminską-Samagalską.

Audycja otwarta jest nie tylko na książki wydawnictwa Limitless Mind Publishing.

Zapraszamy:

autorów niezależnych • ekspertów i pisarzy • twórców literatury pasującej tematycznie do audycji.

Jeśli chcesz, by Twoja książka:

zabrzmiiała w radiu • dotarła do nowych odbiorców • była promowana w spokojnej, jakościowej formie

Ta audycja jest dla Ciebie!

Dodatkowa promocja w ramach emisji:

prezentacja książki na stronie radia (okładka, opis, link do zakupu) • informacja antenowa, gdzie książkę można kupić • sprzedaż książki przez sklep wydawnictwa Limitless Mind Publishing • możliwość nagrania całego audiobooka z Roksana Samagalska • promocja audycji i książek w mediach społecznościowych.

Jeśli nie masz jeszcze nagranych audiobooka, istnieje możliwość nagrania przez naszą lektorkę Roksanę Samagalską.

Nowy Rok. Nowa Audycja. Nowa przestrzeń dla książek.

Zainteresowanych autorów zapraszamy do kontaktu mailowego:

kontakt@limitlessmindpublishing.com.

Tvoja historia zasługuje, by ją usłyszano.

WIECZOROWO O PISANIU

ROZMOWA Z ARTUREM TOJZĄ

REDAKCJA: MARTA TOJZA

KOREKTA:

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

Miałam plan. Przygotowane pytania, przemyślaną kolejność, wyraźne punkty zaczepienia. Czasem trzymaliśmy się go niemal podręcznikowo, innym razem zupełnie świadomie zbaczaliśmy z wyznaczonej ścieżki. I właśnie to najlepiej pokazuje, że o twórczości nie da się rozmawiać sztywno. Literatura nie znosi ram narzuconych z góry.

Ten wywiad bardzo szybko przestał być wywiadem. Stał się rozmową, która płynęła swobodnie – ze śmiechem, z dygresjami, ale też z chwilami nostalgii i powrotami do przeszłości Artura Tojzy. Rozmawialiśmy o pisaniu i wydawaniu, ale również o życiu poza książkami. O codzienności, doświadczeniu i o tym, jak bardzo literatura splata się z prywatnością.

Szczególne miejsce zajęła pogadanka o życiu z żoną-redaktorką. O tym, czego nauczyło Artura to doświadczenie. O pokorze wobec tekstu. O próbach wyznaczenia granicy między autorem a redaktorem, gdy obie te role funkcjonują pod jednym dachem. I wreszcie – o tym, skąd bierze się tak wiele historii, które Artur ma do pokazania światu.

Zapis wywiadu, który publikujemy we „Fragmentarium”, został uporządkowany i opracowany redakcyjnie pod czujnym okiem Marty Tojzy – tej samej żony, o której wspominamy w rozmowie, a która odpowiada również za redakcję i korektę językową wywiadu. Mimo to należy pamiętać, że jest to jedynie skrócona wersja spotkania, które trwało ponad dwie godziny. Nie wszystko dało się przenieść na karty magazynu.

Dlatego potraktuj ten zapis jako prequel szczerej, długiej rozmowy. Wprowadzenie do świata autora, w którym słowo, doświadczenie i wyobrażenia splatają się w jedno. Już teraz zanurz się w świecie Artura Tojzy i jego literackim multiwersum.

M: Kiedy piszesz, bardziej interesuje cię historia, emocja czy prawda doświadczenia?

A: Dla mnie liczy się snucie opowieści. Wychowałem się na papierowych grach RPG i paragrafowych, później doszły jeszcze komputerowe

typu *point & click*. Od tego czasu sam chciałem pisać własne historie do gier. Pragnąłem zostać scenarzystą oraz współprojektantem wyżej wymienionych gatunków, ale niestety w latach 90. trudno było cokolwiek zdziałać, jak się nie miało wejść do tego środowiska. Opowieści pisałem już od podstawówki w ramach ćwiczeń w walce z zaawansowaną dysleksją, a później pisarstwo stanowiło dla mnie ucieczkę od świata rzeczywistego, gdzie doświadczyłem przemocy w szkole. Przez lata pisałem do szuflady, bo mówiono mi, że chleba z tego nie będzie, a ja powoli tworzyłem moje Multiwersum Snów. Dziś po prostu realizuję marzenie z czasów szkolnych i dalej snuję nowe opowieści. Nowe historie, ogranicza mnie bowiem tylko wyobrażenia, a ta nie ma granic. Co do emocji, to każdy przeżywa je samodzielnie i na tę samą scenę różne osoby spojrzą inaczej. Natomiast jeśli idzie o doświadczenie, wydaje mi się, że każdy twórca mimowolnie wplata je we własne dzieła.



M: Zaczniemy od pisarstwa, tak na rozgrzewkę. Czy pisanie to dla Ciebie bardziej rzemiosło, czy jednak wewnętrzny przymus?

A: Piszę, bo lubię. Piszę to, co sam chciałbym przeczytać, piszę dla siebie. Nie ma w tym żadnego przymusu. Robię to, co kocham i od dzieciaka zawsze kochałem. Od czasu, gdy w podstawówce wymyślałem kontynuacje ulubionych książek, a potem pisałem własne opowieści. Warsztat człowiek wyrabia z czasem, co jest naturalne. A jeśli ktoś pisze pod przymusem, to w mojej opinii nigdy nic dobrego z tego nie wyjdzie. Zmuszanie się do pracy twórczej to po prostu kiepski pomysł.

M: Wielu początkujących pisarzy, ale też i ci, co mają za sobą jakiś dorobek, na pewno są ciekawi, jak wygląda Twój proces twórczy – planujesz całość czy pozwalasz tekstowi prowadzić się samemu?

A: W zasadzie to hybryda obu tych czynności. Wiem, jak ma się skończyć dana opowieść. Mam napisane punkty kluczowe, rozpisane poszczególne tomy na rozdziały, a także wymyślane zakończenie opowieści, więc wiem, jaki

będzie finał. Natomiast w trakcie pisania potrafię zmienić ścieżki prowadzące do konkretnego punktu będącego węzłem lub zwieńczeniem danego etapu. Czasem jakąś postać poboczną może spotkać inny los, niż pierwotnie zakładałem, pewne rozdziały znikają, inne zostają podzielone, jednak finalnie, niezależnie od obranej ścieżki, główna opowieść i jej bohaterowie dotrą do punktu, który wyznaczyłem im dawno temu. Mam spisany cały plan mojego Multiwersum Snów, jednak ciągle tworzę nowe historie, które wplatam w to, co już jest. Bo przecież na tym polega fantazja, na niekończącej się opowieści, a każdy kolejny twórca może dopisać do niej swój fragment.

M: Patrząc na Ciebie, jak opowiadasz o pisarstwie, jestem pewna, że to Twoja pasja, ale czy są momenty, w których nie chcesz pisać, ale wiesz, że musisz?

A: Nie. Ja zawsze snuję jakąś opowieść, choćby w głowie. To mnie relaksuje. Nieraz też sprawdzam alternatywne ścieżki podczas prac nad kolejną książką, a kiedy siadam do napisania następnego fragmentu „na czysto”, to wybieram tę ścieżkę, która najbardziej mi się podoba. Sporo czasu spędzam na szukaniu informacji i łączeniu różnych klocków, by stworzyć sensowną strukturę lub element, który wykorzystam teraz



lub później w innej historii. Nie zmuszam się do pisania. Lubię to i sprawia mi to frajdę.

M: W takim razie, co jest trudniejsze: zacząć tekst czy uznać go za skończony?

A: Dla mnie najtrudniejsze jest wybranie ostatecznej ścieżki pomiędzy początkiem a końcem. Wymyślenie szkieletu opowieści, jego początku oraz finału to nie jest jakiś problem. Trudność polega na tym, aby oba te punkty umiejętnie ze sobą połączyć i jednocześnie dopasować to do reszty mojego multiwersum. Nieraz piszę równoległe kilka historii, choć są one osadzone w osobnych cyklach rozgrywających się na innych światach i w innych przedziałach czasowych. Dlatego wyzwaniem jest połączenie tego w taki sposób, aby zminimalizować liczbę możliwych błędów czy niespójności.

M: Pisanie danej książki kiedyś się kończy. Jak reagujesz na tę ciszę po jej napisaniu – ulgą czy niepokojem?

A: Jaką ciszę? Gdy kończę jedną opowieść, to zabieram się za kolejną. Ulgę poczuję, gdy napiszę ostatnią książkę, bo wtedy moja praca nad multiwersum dobiegnie końca. Wiadomo, człowiek się cieszy, gdy skończy pisać, bo wie, że jakiś etap jest już za nim, ale historia nadal trwa, nadal żyje w mojej głowie, zatem nie ma tam ciszy. Raczej jest dudniący chaos, który staram się uporządkować, przelewając jego elementy na karty nowych historii.

M: Zdarzyło Ci się porzucić tekst, który był „dobry”, ale nie był „Twój”?

A: Wszystko, co napiszę, jest moje i piszę to, co lubię. Piszę historie, które sam chciałbym przeczytać, zatem są one dla mnie dobre. Nie znaczy to, że każdemu się one spodobają, bo to niewykonalne. Ta sama opowieść jednym podejdzie, innym nie, tak samo ten sam tekst może spełnić oczekiwania fanów, a dla innych być rozczarowaniem. Nie zmienia to jednak faktu, że to, co tworzę, jest moje i nigdy nie porzucam pracy nad rozpoczętą historią. Ja ją wymyśliłem, więc jestem za nią odpowiedzialny i dlatego doprowadzę ją do końca. Choćby z szacunku dla czytelnika oraz bohaterów.

M: Masz za sobą kilka publikacji, ale jakie było Twoje największe zaskoczenie związane z rynkiem wydawniczym?

A: To, jak duzi oraz renomowani wydawcy żerują na debiutantach i podsyłają im naprawdę dupne umowy. Serio, liczba kruczków w nich zawartych porażała. I nie mówię o wydawcach typu vanity, ale o naprawdę fajnych i renomowanych wydawnictwach, których nazw przez grzeczność nie wymienię. Pamiętam, że do „Piekła kosmosu” dostałem kilka propozycji od wydawców i w zasadzie każda zawierała mnóstwo pułapek. Dziś mam wydanych już 10 książek oraz rozrastającą się publikę, do tego zyskałem jakąś reputację w środowisku, więc zupełnie inaczej się mnie traktuje. Jednak początki były naprawdę bolesne.

M: Po takim doświadczeniu, sądzisz, że dzisiejszy pisarz w Polsce musi być także menadżerem własnej twórczości?

A: Tak. Jeśli chce realnie na niej zarabiać, to odpowiedź brzmi: tak. Obecnie mamy ogromną konkurencję na rynku, koszty utrzymania wydawnictw oraz produkcji książek również podskoczyły, zatem autor musi mocno się udzielać, sam wychodzić do czytelnika, a nie siedzieć na tyłku i czekać na cud.

M: Zdarza się, że w trakcie prac nad tekstem, pisarze muszą zrezygnować ze swojej wizji, na rzecz kompromisu – aby tekst osiągnął swoją najlepszą formę. Gdzie według Ciebie przebiega granica między kompromisem a rezygnacją z siebie?

A: Nie wiem, o jaką granicę chodzi, bo piszę dla siebie. Piszę to, co sam chciałbym przeczytać. Piszę, bo lubię tworzyć opowieści, a przy okazji okazało się, że mogę na nich zarabiać i się z tego utrzymywać. Zatem z niczego nie rezygnuję. Wręcz pisarstwo stało się moją pracą zawodową, od kiedy wydawnictwo fonograficzne KMH Media wzięło ode mnie licencję na 8 książek, aby wydać je w formie audiobooków, i po roku współpracy zamówiło kontynuację rozpoczętych serii. Mam więc jeszcze więcej motywacji do pisania, które zwyczajnie sprawia mi frajdę, bo tworzę to, co chcę.

M: Co Cię bardziej boli – odrzucenie tekstu, czy jego złe opracowanie?

A: Zdecydowanie bardziej boli, jeśli wydawca lub autor robi na odpiernicz redakcję oraz korektę, przez co wydany tekst ma masę błędów. Wiadomo, jeśli wydawca odrzuci książkę, to

czujesz ukłucie w serduchu, ale zawsze są inne ścieżki, inni wydawcy. Jeśli z kolei w procesie wydawniczym wprowadzi się błędy i taki produkt wypuści na rynek, to już się tego nie cofnie i będzie za nami się ciągnęło do końca. Inna sprawa, że wielu autorów po prostu ma wylane na proces redakcyjny, nie przyjmuje krytyki oraz uważa, że ich dzieło jest wybitne, podczas gdy najczęściej to dobry przeciętniak. Wiem, co mówię, bo sam piszę wyłącznie literaturę rozrywkową ocenianą na takie mocne 7/10. Nie napisałem ani zapewne nigdy nie napiszę nic powyżej tego, ale też nie mam takich ambicji. Niestety wielu autorów od początku uważa się za następców wielkich pisarzy i pisarek, a potem musi się zderzyć z bolesną rzeczywistością.

M: Na pewno jest coś, co chciałbyś zmienić w systemie wydawania książek, gdybyś mógł?

A: Aby dystrybutor nie zgarniał na dzień dobry połowy zysków z książki. Serio, to dystrybutorzy czy hurtownie zarabiają najwięcej na pracy pisarskiej, a ponoszą najmniejszą odpowiedzialność i najniższe koszty. Nawet zwracają do wydawcy egzemplarze, które często zostały zniszczone z ich winy lub złego magazynowania. Sytuację dziś ratują abonamenty e-bookowe i audiobookowe, które po prostu generują wydawcy, a co za tym idzie autorom, większe zyski bez ryzyka, że zostanie ze stertą zniszczonych i niesprzedanych książek.

M: Uważasz, że autor powinien znać proces redakcyjny „od kuchni”, czy lepiej zachować dystans?

A: Autor MUSI znać proces redakcyjny „od kuchni”, inaczej występuje ogromne ryzyko, że finalny produkt będzie niezgodny z tym, co stworzył. Słyszałem już wiele historii od znanych pisarzy i pisarek, że wydawca np. wywalił jakiś fragment tekstu bez konsultacji, bo uznał, że to jest zbędne, a potem czytelnicy wieszali psy na autorze za dziury logiczne. Prawda jest też taka, że sporo osób pisze na zasadzie automatu i nie przejmuje się tekstem w procesie redakcyjnym. Albo go już nie widzą, albo zwyczajnie mają to w czterech literach, zatwierdzają jak leci bez czytania, zrzucając odpowiedzialność na zespół redakcyjny. Nie znoszę takiego zachowania u pisarzy czy pisarek. Sam zawsze czytam finalną wersję tekstu, nim trafi ona w ręce czytelników. Wiem, że wydłuża to czas pracy, ale to moje dzieło i ja za nie odpowiadam.

M: Jednym słowem – kim jesteś, gdy nie piszesz?

A: Sobą.

M: Piszesz dużo, dlatego powiedz, czy pisanie zabiera Ci czas życia – czy raczej pomaga je uporządkować?

A: Pisanie jest częścią mojego życia, jest częścią mnie. Jest światem, który stworzyłem w swojej głowie i dzielę się nim z czytelnikami. Więc póki żyję, będę tworzyć i spisywać kolejne historie.

M: Balans między pisanem a życiem poza pisanem jest ważny. W takim natłoku pisania i prac redakcyjnych jak dbasz o równowagę między twórczością a codziennością?

A: Moja codzienność to twórczość, wymyślanie opowieści, interesowanie się tym, co mnie otacza, tworzeniem kolejnych rozdziałów obecnie snutych historii czy planowaniu nowych. Nawet jeśli z żoną jedziemy gdzieś na spacer albo na krótki wypad wypoczynkowy, to podprogowo snuję w głowie opowieści na podstawie nowo odwiedzanych miejsc. Albo dopisuję lub przebudowuję coś z obecnie tworzonych tekstów. To sprawia mi frajdę i pozwala po prostu być sobą.

M: Na pewno są tematy, których świadomie nie chcesz wносить do literatury.

A: Raczej sposoby, w jaki nie chcę poruszać danego tematu. Na przykład temat gwałtu, nazywajmy rzeczy po imieniu. Nigdy nie wprowadziłbym takiego tematu, romantyzując z nim, co widzę nieraz w gatunku Dark Romansów, gdzie normalizuje się wiele toksycznych zachowań. Jednak sam temat jest ważny, aby o nim mówić i pisać, ale trzeba to robić umiejętnie. Jak dotąd raz go poruszyłem w finalnym tomie serii „Słona wanilia”, ale napisanie fragmentu poświęconego właśnie temu zagadnieniu było dla mnie bardzo trudne. Finalnie jednak udało się do niego odpowiednio podejść i publiczność, szczególnie ta żeńska, bardzo doceniła formę, w jakiej to opisałem. Zatem trzeba poruszać każdy temat, ale dużo zależy od formy oraz sytuacji, w jakiej go umieścimy.

M: Powoli wchodzimy w życie prywatne. Powiedz, co najbardziej pomaga Ci wrócić

do siebie po intensywnym okresie pracy nad tekstem?

A: Nie wiem, jak na to sensownie odpowiedzieć. Chwila oddechu, pół dnia grania w jakąś grę i z automatu siadam do snucia kolejnej opowieści. Rozumiem, o co chodzi, ale wymyślanie i opowiadanie historii mnie nie męczy. Bardziej wycieńcza proces redakcyjny, gdzie naprawdę muszę się skupić na łątaniu tekstu. Przebudować jakieś fragmenty, dopisać braki, usunąć zbędne rzeczy i tak dalej. Niemniej jak to już się zakończy i książka leci do lektora lub przysłowiowego drukarza, to co najwyżej wypiję lampkę wina z żoną, obejrzę film i na drugi dzień siadam do kolejnej opowieści. Bo przecież historia toczy się dalej.

M: Marta, Twoja żona, pracuje jako redaktorka. Dobrze wiem, jaki jest ten zawód. Ciekawi mnie, jak to jest żyć z redaktorką – błogosławieństwo czy wyzwanie?

A: To raczej pytanie do mojej żony, która zapewne odpowiedziałaby, że dla niej jest wyzwaniem żyć z mężem-pisarzem. Jestem nerdem, więc stale żyję swoimi opowieściami, gadam o nich i nieraz zasypuję żonę pytaniami podczas pisania książki. Bywa to męczące, więc wtedy staram się zamknąć i dać jej przestrzeń tylko dla niej. Mimo to jesteśmy zgodnym małżeństwem, a ja zawsze podkreślam, że ma podchodzić do moich książek najbardziej surowo, jak to tylko możliwe. Oczywiście w procesie redakcji bywają momenty, że strzeżę focha, ale później, jak tylko ochłonę, to przyznaję się do błędów i poprawiam tekst według wskazówek. Pamiętam, że raz się głupio obraziłem i trzy dni nie odzywałem do żony, z czego ona się śmiała. Finalnie jednak, gdy spojrzałem chłodno na poprawki, to ciężko było się z nią nie zgodzić, więc schowałem dumę do kieszeni, usiadłem na dupie i naprawiłem tekst.

M: W takiej korelacji pisarz-redaktorka, czy w domu da się naprawdę odłożyć tekst na bok?

A: Żona umie i robi to, gdy tylko nadarzy się okazja. Ja nie potrafię. W zasadzie żyję swoim wymyślonym światem i stale go o coś uzupełniam. Wiem, że to trochę dziwne i na pewno nie jest normalne, ale tam czuję się po prostu najswobodniej oraz najbezpieczniej. Staram się jednak wychodzić z tego świata do rzeczywi-

stości, rozmawiać z ludźmi, po prostu żyć codziennością. Jest to potrzebne, aby nie zatracić się w fikcji wykreowanej przez własny umysł.

M: A kto pierwszy czyta Twoje teksty – autor w Tobie czy redaktorka w żonie?

A: Nim moja żona dostanie mój tekst, to ja go czytam kilkakrotnie, i to na różnych etapach. Najpierw czytam go na zasadzie fragmentu, który napisałem dnia poprzedniego. Później czytam ukończony rozdział. Później czytam serię kilku rozdziałów zamykających konkretny element całej powieści. A na samym końcu, gdy już postawię ostatnią kropkę, to odkładam tekst na kilka dni i później czytam go w całości od dechy do dechy. Przy każdym takim czytaniu nakładam poprawki, starając się wyłapać jak najwięcej błędów. Głównie skupiam się na logice zdarzeń, linii przyczyna-skutek oraz spójności wydarzeń. Dopiero wtedy tekst trafia do mojej żony, a ona ma za zadanie spojrzeć na niego jak najbardziej krytycznym okiem. Gdy skończymy cały proces redakcji, to dajemy sobie chwilę oddechu, a potem czytam żonie na głos całą książkę. Wtedy też wprowadzamy ostateczne poprawki.

M: Zdarza się Wam, że prywatna rozmowa nagle zamienia się w miniredakcję?

A: Nie. Żona mi na to nie pozwala.

M: Jak w takim razie rozróżniacie moment, w którym jesteście parą, a nie autor-redaktorka?

A: Zawsze jesteście parą. Po prostu kiedy pracujemy nad tekstem, ja, jako autor, uczę się pokory, a moja żona stara się być możliwie delikatna dla mego pisarskiego ego :) Patrząc po średniej ocen moich książek, wychodzi nam to całkiem nieźle.

M: Czy dzięki temu związkowi jesteście bardziej odporni na krytykę – czy wręcz przeciwnie?

A: Moja żona odpowie pewnie, że to zależy. Faktycznie od dawna dużo mniej przejmuję się negatywnymi opiniami innych, natomiast kiedy redagujemy moją książkę, to różnie z tym bywa. Jak wspomniałem wcześniej, potrafię się obrazić na dzień lub dwa i strzelić focha, ale później dociera do mnie, jak bardzo jest to dziecinne oraz głupie zachowanie. Biorę wtedy krytykę żony na klatę, siadam na tyłku i naprawiam to, co trzeba.

Właśnie to chyba sprawia, że później krytyka ze strony czytelników nie jest już tak bolesna. Poza tym zdaję sobie sprawę, że nigdy nie powstanie dzieło, które zadowoli wszystkich, a ja nie piszę pod konkretną publikę, tylko to, co lubię.

M: Czego nauczył Cię życie z redaktorką o własnym pisaniu?

A: Że czeka mnie jeszcze dużo pracy, nim wyeliminuję większość moich przyzwyczajzeń. Nadal sadzę masę powtórzeń, interpunkcja bywa u mnie komedią, a nieraz też dopisuję zbędne fragmenty będące powtórzeniem tego, co było już powiedziane. Co prawda z każdą kolejną książką idzie mi coraz lepiej, jednak to powolny proces. Pamiętam, jak dałem żonie do redakcji pierwszą książkę, to po przeczytaniu kilku rozdziałów powiedziała mi, że mnie kocha, ale albo przepiszę tę książkę i będzie ona normalna, albo będę spał na wycieraczce. Oczywiście na początku się oburzyłem, ale później usiadłem przed komputerem i przepisałem całość. Był to bardzo dobry ruch, bo tą książką debiutowałem i sprzedaje się ona po dziś dzień.

M: Pisarzom, z którymi rozmawiam, zadaje zawsze jedno i to samo pytanie: „Gdybyś miał powiedzieć jedno zdanie dla początkujących autorów – co by to było?”

A: Nauczcie się pokory. Mnie jej na początku bardzo brakowało, a nawet dziś potrafię się głupio unieść. Pokora przydaje się w wielu aspektach życia, a w pracy twórczej jest wręcz niezbędna.

M: Czego dziś, z perspektywy doświadczenia, nie zrobiłbyś ponownie?

A: Na pewno nie poszedłbym w odpłatną promocję u blogerów. Mam na myśli odpłatne recenzje, nie zaś odpłatne materiały na mediach społecznościowych, które w zasadzie tworzy sam autor. Więcej przyniosło mi to szkody niż pożytku. Lepiej te pieniądze zainwestować w takie posty sponsorowane, będące zwykłą reklamą, albo w grafiki do promocji książek.

M: Co wciąż Cię w pisaniu najbardziej fascynuje, mimo lat pracy?

A: To, że z jednej strony wszystko już opowiedziano, ale z drugiej co chwilę coś odkrywamy. W rezultacie o tym samym zagadnieniu może-

my napisać w zupełnie inny sposób i z innej perspektywy, co sprawia, że tworzymy iluzję oryginalności. Nikt nigdy nie przeczyta wszystkiego, zatem każdy ma inną perspektywę i coś, co dla jednych jest nowe i odkrywczе, dla innych będzie wtórne oraz oklepane. Dla nas, autorów, to ogromne pole do popisu, bo możemy się bawić niczym w piaskownicy, tworząc kolejne opowieści.

M: A co Cię najbardziej męczy, ale wciąż akceptujesz?

A: Że żona podczas redakcji kolejnej książki wytknie mi błędy, które głupio przeoczę, święcie przekonany, że ich nie popełniłem. Jednak to tylko dzięki niej osiągnąłem obecny poziom jako pisarz, zatem sypię głowę popiołem, chowam ego do kieszeni i przygotowuję się na krytykę.

M: Kim chciałbyś być jako autor za kilka lat – a kim jako człowiek?

A: Jako człowiek chciałbym osiągnąć pełną niezależność finansową z samego pisania, by móc z tego pokryć nie tylko wydatki na życie, ale też koszt utrzymania firmy żony. Jako pisarz chciałbym osiągnąć poziom Króla Rozrywki. Nawiązuję tutaj do głównego bohatera musicalu „The Greatest Showman”. Chciałbym być postrzegany jako twórca piszący solidną literaturę klasy B, dającą po prostu frajdę czytelnikom. Chciałbym, aby moje dzieła postawiono kiedyś na równi z Mass Effectem albo Baldur’s Gate. Fajnie by było też doczekać ekranizacji choć kilku moich książek. Ale moim największym marzeniem, i mówię to z pełną powagą, gdy już przejdę na drugą stronę, jest spotkanie Stana Lee, który klepnie mnie po ramieniu i powie: „Good job, kiddo”. To jest to, o czym naprawdę marzę.

Bardzo dziękuję Arturowi za tę rozmowę. Za szczerść, dygresje i momenty, w których dało się na chwilę zatrzymać. Myślę, że to była rozmowa nie tylko o pisaniu, ale też o byciu w literaturze – i obok niej.

Jeśli chcecie poznać więcej z życia Artura, zajrzyjcie [TUTAJ](#). Na podstronie poświęconej rozmowom z cyklu „Wieczorowo o pisaniu” wskoczyło całe nagranie.

Gwarantuję Wam, że warto wytrwać do końca spotkania.

ARCHITEKTURA KSIĄŻKI

OD OKŁADKI PO STOPKĘ REDAKCYJNO-WYDAWNICZĄ

REDAKCJA: EWA RAJSKA

KOREKTA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

KOREKTA TECHNICZNA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

Książka to nie tylko treść. To przemyślana konstrukcja, w której każdy element – nawet ten pozornie niewidoczny – pełni określoną funkcję: informacyjną, estetyczną, prawną lub użytkową. Znajomość budowy książki jest kluczowa nie tylko dla redaktorów i grafików DTP, ale również dla autorów, szczególnie tych planujących self-publishing.

Poniżej znajdziesz pełny przegląd elementów książki, które występują w niemal każdej publikacji drukowanej – niezależnie od gatunku, objętości czy rodzaju oprawy.

Okładka – pierwsze spotkanie czytelnika z książką

Okładka to zewnętrzna osłona książki, ale też jej najważniejszy element marketingowy. Składa się z trzech części:

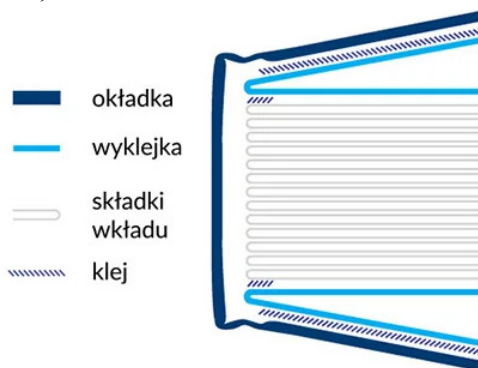
OKŁADKA PRZEDNIA – zawiera tytuł, nazwisko autora, często podtytuł i element graficzny,

GRZBIET – umieszcza się na nim tytuł, nazwisko autora i logo wydawcy (jeśli objętość na to pozwala),

OKŁADKA TYLNA – zazwyczaj znajduje się tu opis książki, blurby, ISBN i kod kreskowy.

Rodzaj oprawy (miękka lub twarda) nie zmienia funkcji okładki – różni się jedynie technologią wykonania.

Wyklejka lub zadruk środka okładki



Źródło zdjęcia: <https://totem.com.pl/blog/wyklejka-wlasna-wyklejka-przyklejana-wyklejka-nakladkowa/>

W książkach w twardej oprawie wyklejka łączy blok publikacji z okładką. Najczęściej jest jednobarwna, ale bywa też zadrukowana, np. wzorem, mapą lub motywem graficznym.

W książkach w miękkiej oprawie zamiast wyklejki występuje zadrukowany lub pusty środek okładki. Choć często pomijany, jest to element konstrukcyjnie i estetycznie istotny.

Przedtytuł (strona przedtytułowa)

To pierwsza strona bloku książki, która zawiera:

- sam tytuł książki,
- albo
- tytuł serii, do której należy publikacja.

Pełni funkcję wprowadzającą i porządkującą – szczególnie w książkach należących do cykli lub serii wydawniczych.

Strona tytułowa

Jedna z najważniejszych stron informacyjnych książki. Znajdują się na niej:

- pełny tytuł i podtytuł,
- imię i nazwisko autora,
- nazwa wydawnictwa,
- czasem miejsce i rok wydania.

Strona tytułowa jest oficjalnym źródłem danych bibliograficznych.

Strona redakcyjna (stopka)

Zazwyczaj umieszczona na odwrocie strony tytułowej. Zawiera informacje formalne i prawne, m.in.:

- copyright,
- ISBN,
- dane wydawcy,
- nazwiska redaktora, korektora, grafika,
- informacje o druku i wydaniu.

To element obowiązkowy w książkach przeznaczonych do dystrybucji.

Dedykacja/motto (opcjonalne, ale częste)

Choć nieobowiązkowe, wielokrotnie spotykane. Dedykacja lub motto:

- budując relację autora z czytelnikiem,
- wprowadzając nastrój,
- sygnalizując tematykę lub emocjonalny ton książki.

Zazwyczaj zajmują osobną stronę.

Spis treści

Element porządkujący strukturę książki. Występuje w:

- poradnikach,
- literaturze faktu,
- książkach naukowych,
- coraz częściej także w beletrystyce.

Spis treści powinien odzwierciedlać ostateczny skład – jego aktualizacja to istotny etap pracy redakcyjnej.

Wstęp/przedmowa

Część otwierająca treść właściwą książki. Może być napisana przez autora lub osobę trzecią. Jej zadaniem jest:

- wprowadzenie czytelnika w temat,
- wyjaśnienie kontekstu powstania książki,
- określenie celu publikacji.

Treść główna (blok tekstowy)

Sedno książki – rozdziały, części, podrozdziały. To właśnie ta część decyduje o objętości publikacji i wpływa na rozwiązania techniczne składu (marginesy, interlinie, paginację).

Elementy końcowe

W zależności od rodzaju książki mogą to być:

- posłowie,
- podziękowania,
- bibliografia,
- przypisy,
- indeks,
- nota o autorze.

Choć często traktowane jako dodatki, stanowią integralną część konstrukcji książki.

Zapamiętaj jednak, że...

Każda książka – niezależnie od gatunku, oprawy czy objętości – opiera się na spójnej, logicznej strukturze. Zrozumienie jej elementów pozwala:

- lepiej zaplanować proces wydawniczy,
- uniknąć błędów na etapie składu,
- świadomie współpracować z redaktorem i grafikiem.

Budowa książki to fundament. A na fundamencie dopiero można bezpiecznie budować treść.



Skład i łamanie tekstu

Skutecznie „morduję” wdowy, bękarty i sieroty – sprawiam, że przestają istnieć.

Spokojnie. To wszystko w ramach składu i łamania tekstu.

Składałam i łamię:

powieści • poradniki • workbooks • inne publikacje.

Przygotuję do druku i pod czytniki, zgodnie z obowiązującymi dyrektywami.

Masz tekst lub projekt w Canva?

Przenoszę go i profesjonalnie dostosowuję do wymagań drukarni i e-publikacji.

Pomagam dobrać papier, uszlachetnienia okładki, współpracuję z ilustratorką.

Istnieje możliwość domówienia korekty po składzie u kogoś z zespołu „Fragmenatium”.

Skontaktuj się ze mną – dalej Cię poprowadzę.

[Magdalena S. Matusiewicz](mailto:craft.swan.creations@gmail.com)

e-mail: craft.swan.creations@gmail.com

BETA READING W POLSCE. GŁOS CZYTELNIKÓW I AUTORÓW

WYNIKI ANKIETY ŚRODOWISKOWEJ

KOREKTA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

Zanim książka trafi do czytelnika, ktoś czyta ją w ciszy. Bez nazwiska na okładce. Bez logotypu wydawnictwa. Czasem bez wynagrodzenia.

To właśnie beta reader.

Dla jednych jest silnym wsparciem przed publikacją. Dla innych – niewygodnym lustrem, w którym odbija się chaos fabuły, pęknięcia w logice i momenty, w których historia po prostu nie działa. Mimo że beta reading odgrywa coraz większą rolę w procesie powstawania książek, wciąż funkcjonuje gdzieś pomiędzy: między czytelnikiem a redaktorem, między przysługą a usługą, między intuicją a odpowiedzialnością.

Przeprowadzona ankieta – pierwotnie przygotowana z myślą o prelekcji lub webinarze – pokazała coś więcej niż tylko zestaw odpowiedzi. Pokazała skalę potrzeby. Zawód, który realnie wpływa na jakość publikowanych książek, nadal istnieje bez jasnych ram, bez wspólnego języka i bez wsparcia, na jakie zasługuje.

To właśnie ta sprzeczność – między ogromnym znaczeniem beta readingu a jego niepewnym statusem – stała się impulsem do pogłębionej analizy. A ta z kolei doprowadziła do decyzji o stworzeniu poradnika: kompleksowego materiału o roli beta readera, zapleczu merytorycznym bety i miejscu tej pracy w procesie powstawania książki.

Ten artykuł opowiada o tym, co naprawdę dzieje się z tekstem, zanim trafi do druku – i o ludziach, którzy stoją na tej niewidocznej – ale niezwykle ważnej linii frontu.

Co pokazała ankieta i dlaczego powstał poradnik o beta readingu

Beta reading od lat funkcjonuje w polskim środowisku literackim, szczególnie istotnym jest fakt, że w obszarze self-publishingu. Mimo rosnącej popularności wciąż pozostaje praktyką intuicyjną, niejednoznacznie definiowaną i często myloną z redakcją. Aby lepiej zrozumieć, jak naprawdę wygląda praca beta readerów i współpraca z autorami, przeprowadziłam ankietę skierowaną zarówno do pisarzy, jak i osób betujących teksty.

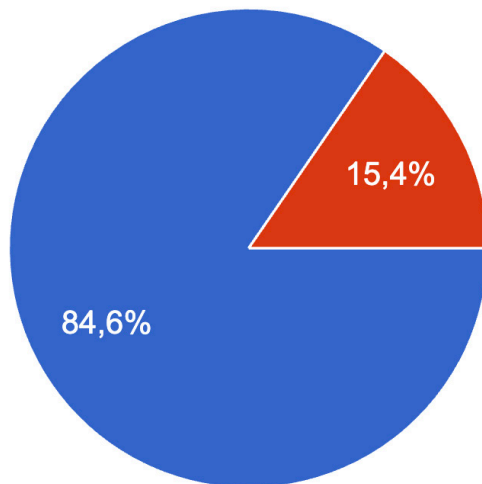
Kim są osoby korzystające z beta readingu?

Już podstawowe dane pokazują, że beta reading nie jest marginalnym zjawiskiem.

- 84,6% respondentów to pisarze, a jednocześnie:
- 23,1% deklaruje, że czyta jako beta regularnie,
- 53,8% – sporadycznie,
- 15,4% korzystało z takiej usługi w przeszłości.

Co szczególnie istotne, aż 72,7% autorów korzysta z beta readerów przy każdej książce, a pozostali od czasu do czasu. To pokazuje, że beta reading stał się stałym elementem procesu twórczego, a nie jednorazowym eksperymentem.

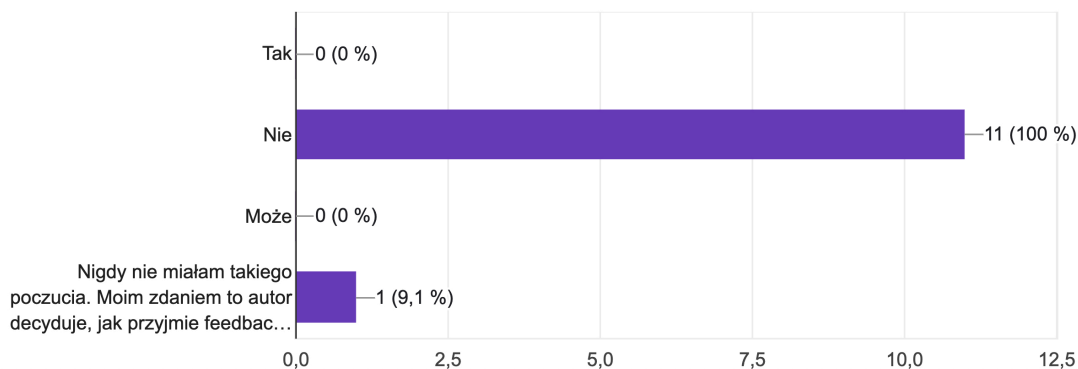
Autorzy sięgają po betę najczęściej po redakcji własnej (81,8%), rzadziej we wcześniejszym etapie. Oznacza to, że beta reader nie zastępuje redaktora, lecz pełni rolę pierwszego świadomego odbiorcy tekstu.



Czego autorzy naprawdę oczekują od beta readerów?

Odpowiedź jest banalnie prosta. Autorzy oczekują realnego wsparcia, i aż 100% autorów deklaruje, że feedback od beta readerów nigdy nie zaszkodził ich książce. Przeciwnie:

- 45,5% zmieniało całe wątki fabularne,
- 54,5% wprowadzało istotne zmiany w dialogach lub postaciach,
- część respondentów przepisała książkę w całości od nowa.

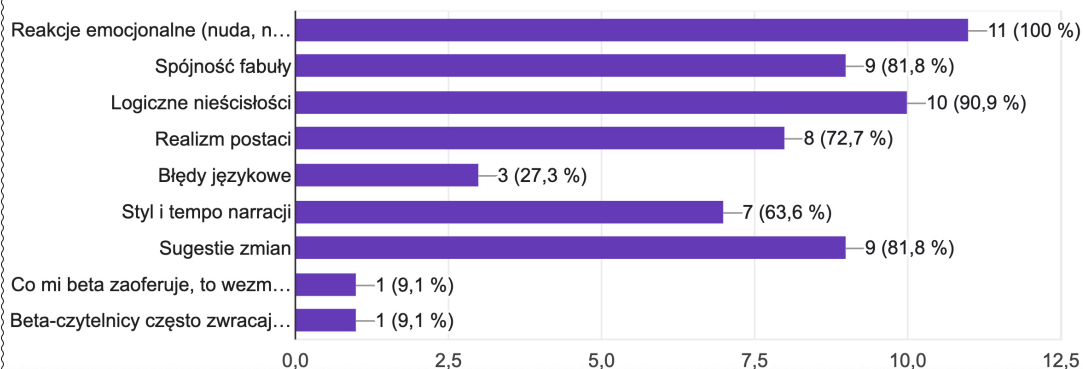


W kolejnym pytaniu, w którym prosiłam o wybranie konkretnych potrzeb, odpowiedzi są tu wyjątkowo spójne.

- 100% autorów oczekuje reakcji emocjonalnych,
- 90,9% – wskazania logicznych nieścisłości,
- 81,8% – oceny spójności fabuły,
- 72,7% – realizmu postaci,
- 63,6% – uwag dotyczących stylu i tempa narracji.

I mimo to, aż 50% beta readerów ma negatywne doświadczenia ze współpracy z autorami, a 37,5% nigdy nie otrzymuje wynagrodzenia za swoją pracę.

Dla porównania: błędy językowe interesują jedynie 27,3% autorów. To bardzo wyraźnie pokazuje, że beta reader nie jest postrzegany jako osoba od poprawności językowej, lecz od odbioru tekstu jako całości. To świadczy o realnym wpływie beta readingu na jakość i kształt publikowanych książek.

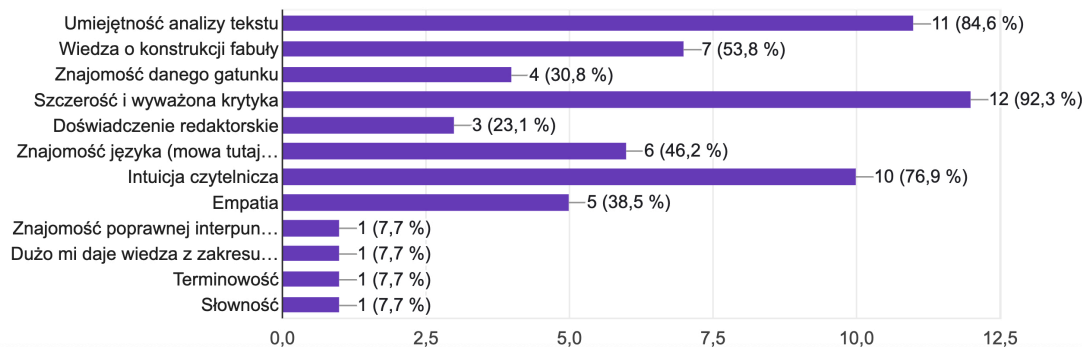


Największe bolączki obecnego statusu beta readingu

Mimo wysokiej użyteczności beta readingu ankieta ujawnia poważne problemy systemowe.

Brak jasnych ram i definicji

- 46,2% respondentów uważa, że beta reading jest potrzebny, ale brakuje mu profesjonalnych ram,
- 61,5% twierdzi, że powinien być stałym elementem procesu wydawniczego,
- jednocześnie 23,1% obawia się, że zostanie wypchnięty przez redakcję.



Te odpowiedzi pokazują wyraźne napięcie: beta reading jest postrzegany jako ważny, ale niedookreślony, co rodzi frustrację po obu stronach współpracy.

Finanse w świecie bety

Aż 90,9% autorów korzystało z beta readingu nieodpłatnie, a jednocześnie 36,4% deklaruje, że nie jest zainteresowanych usługą odpłatną.

- tylko 12,5% beta readerów otrzymuje zawsze wynagrodzenie,
- 50% – tylko czasami,
- 37,5% – nigdy.

To pokazuje brak wspólnej definicji tego, czym jest usługa beta readerska i za co autor faktycznie płaci.

Napięcia w relacjach

- 50% beta readerów ma negatywne doświadczenia z autorami,
- 36,4% autorów – z beta readerami.

To bardzo wysoki odsetek, który jasno wskazuje na brak jasnych zasad komunikacji, zakresu odpowiedzialności i wzajemnych oczekiwań.

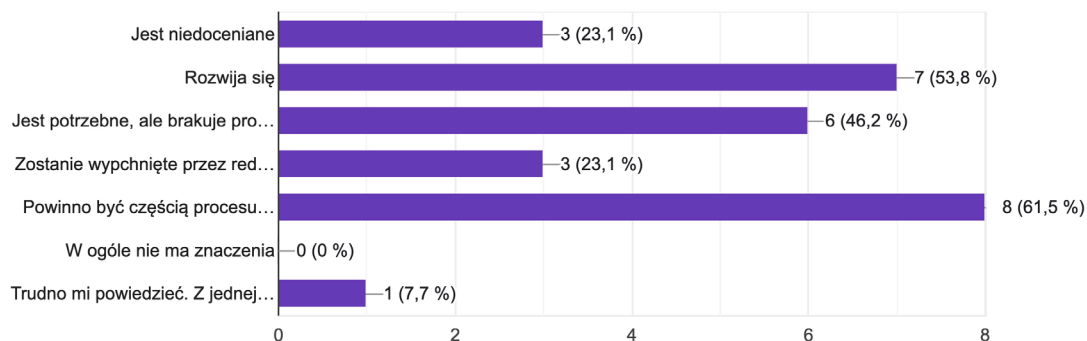
Jednocześnie: beta reading się wzmacnia

Mimo tych problemów ankieta pokazuje wyraźne sygnały rozwoju:

- 53,8% respondentów uważa, że beta reading w Polsce się rozwija,
- 53,8% chce pojawienia się kursów podnoszących kwalifikacje,
- beta readerzy coraz częściej mają doświadczenie redakcyjne, copywriterskie lub polonistyczne.

Co istotne, beta reading rozwija się głównie oddolnie, w środowisku self-publisherów, gdzie:

- 87,5% beta readerów pracuje z autorami niezależnymi,
- prawie nikt nie współpracuje z wydawnictwami.



Dlaczego powstaje poradnik?

Wyniki ankiety bardzo jasno pokazały, gdzie potrzebne jest wsparcie mentoringowe, a gdzie wystarczą podstawowe wyjaśnienia. To właśnie te dane pozwoliły mi:

- skupić się w poradniku na budowie książki, strukturze fabuły i roli bety w procesie,
- szerzej opisać feedback, komunikację i granice ingerencji,
- ograniczyć kwestie stricte językowe na rzecz odbioru czytelniczego.



Poradnik jest odpowiedzią na realne potrzeby środowiska, a nie teoretycznym opisem zawodu. To kompleksowy materiał o:

- roli beta readera,
- zapleczu merytorycznym bety,
- współpracy z autorem.

Ankieta dowiodła, że beta reading w Polsce jest potrzebny, rozwija się i realnie wpływa na jakość książek, ale bez jasnych ram pozostaje źródłem napięć i nieporozumień. Jeśli chcemy, aby ten zawód się wzmacniał, musimy o niego świadomie dbać – poprzez edukację, mentoring i jasno wyjaśnione zasady.

Poradnik, który napisałam urósł do tak wielkich rozmiarów, że najpewniej zostanie podzielony na trzy części. Będzie wersja drukowana, oraz e-book w formacie PDF i .mobi/epub. Premierę pierwszej części przewiduję na koniec marca, i w właśnie w marcowym numerze poznać więcej szczegółów.

Zarówno artykuł jak i poradnik, jest właśnie próbą takiego uporządkowania.

DWA PŁOMIENIE

REDAKCJA: MAGDALENA S. MATUSIEWICZ

KOREKTA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN

KOREKTA TECHNICZNA: PATRYK ŻELAZNY

Mieszkańcy schronu cieszyli się każdą chwilą, delektowali błogością, chłonęli łapczywie przelotne szczęście w rytmie skocznego swinga. Ciała zgrabnie wymijały się w piruetach. Buty stukwały głucho o betonową posadzkę, oddechy mieszały się.

W chaosie światła i muzyki ktoś pociągnął Kamila w wir tańca.

Kobieta o kręconych włosach ciągnęła Kamila za rękę, przeciskając się pomiędzy pochłoniętymi zabawą ludźmi. Odwróciła głowę. Zalśniły jej niebieskie oczy, drobne rozjaśnił uśmiech.

Olga.

Kamil widywał ją przelotnie na poziomie minus trzy, przy szwalni. Znał imię kobiety tylko dlatego, że jednego razu, gdy przechodził korytarzem, jej pretensjonalna przełożona głośno i dosadnie zwracała jej uwagę.

Delikatna, wąta dłoń Olgi ścisnęła jego wymęczone pracą suche palce. Ten dotyk był czymś obcym, ale budził w nim ciepło. Nie opierał się. Do tej pory brakowało okazji, by móc z nią zamienić choćby słowo.

Na skraju roztańczonego parkietu znalazło się dla nich więcej miejsca. Kamil poruszał się na boki w rytmie muzyki, przestępował z nogi na nogę. Dał Oldze obrócić się w rękach. Sam nie spodziewał się, że po tylu latach wciąż jeszcze będzie pamiętał, jak tańczyć. Wymieniali się spojrzeniami i uśmiechami, falowali w rytm muzyki – bez słów, bo taniec był niemą rozmową samą w sobie.

Utwór sprzed wielu, wielu lat, z ochrypłym lecz charyzmatycznym i dźwięcznym wokalem zakończył się mocnym, wyrazistym akcentem. Kamil i Olga ukłonili się sobie.

– Chcesz się czegoś napić? – zaproponował, nachylając się bliżej niej.

– Jasne. – Olga odgarnęła grzywkę, a Kamilowi zrobiło się ciepło na sercu.

Przecisnęli się przez tłum mieszkańców, znów porwanych do zabawy przez kolejny utwór.

Na końcu sali, z palet i skrzyń, zrobiono prowizoryczny bar, przykryty zmechaconym kocem. Nad nim wisały proporczyki i lampki. Jedyna dekoracja, jaką znaleziono kiedyś

w piwnicy starego bloku, wywieszano przy każdej możliwej okazji. Nie ważne, czy akurat świętowano karnawał, Wielkanoc, Boże Narodzenie, czy inne wydarzenie zarządzone przez władze schronu.

Docierając na miejsce, Kamil ledwo uniknął zderzenia z czyimś łokciem. Ktoś aż za bardzo wywijał partnerką na parkiecie.

Spiętrzonych skrzyń pilnował kierownik zaopatrzenia, od lat nazywany Pelczarem. Nikt już nie wiedział, jak naprawdę ma na imię. Pelczar szybko zauważył Kamila wyłaniającego się z tańczącego tłumu i skinął w jego stronę. Złapali kontakt wzrokowy.

– Hej, co masz ciekawego? – spytał Kamil.

Pelczar nachylił się i wyciągnął mętne szklanki, stukając nimi o deskę baru.

– Bony poproszę.

Kamil wyciągnął z kieszeni trzy kolorowe kawałki materiału: pomarańczowy, niebieski i fioletowy. Dostał je na wejściu, jak każdy, kto wchodził na imprezę. Wręczył Pelczarowi pierwszy, jaki wyciągnął.

Mężczyzna krzywo się uśmiechnął.

– Dziś władza nie skąpi. Do jedzenia brzoskwinie z puszk, zupa fasolowa na ciepło i jeszcze... – Podrapał się po brodzie, zerkając do skrzyni. – A nie, już się skończyły.

– Coś mocniejszego? – zasugerował Kamil.

– A, to zmienia postać rzeczy... – Pelczar uśmiechnął się i odwrócił na pięcie. Włożył rękę pod brezent nakrywający duży, metalowy kufer. – Zamiast tych obrzydliwych samogonów mamy prawdziwą wódkę, do tego mogę wymieszać z syropem po brzoskwiniaach albo ananasach, albo wrzucić mrożone owoce.

– No proszę... – Kamilowi zaświeciły się oczy. Dawno nie zaznał takich luksusów. – Dla mnie z syropem i owocami, dla niej... – odwrócił głowę w stronę Olgi. Ta przytaknęła. – To samo.

Pelczar zwinnie i z gracją przygotował dwa drinki i wręczył im z uśmiechem na ustach. Kamila zaskoczył jego dobry humor. To była ostatnia osoba, po której spodziewał się choćby odrobiny radości. Niedokładnie ogolona i wyschnięta twarz wręcz promieniała szczęściem.

Cała tutejsza impreza stanowiła taką odskocznię od ponurej i szarej rzeczywistości. Mieszkańcy czepali z tej atmosfery całymi garściami. Byłe jak najwięcej, byle na zapas.

Usiedli pod ścianą na uboczu, gdzie muzyka tak bardzo nie dudniła w uszach. Dziewczyna odsłoniła swoje nogi w czarnych grubych rajstopach. Podwinęła sukienkę, odsłaniając kolana.

– A więc... – zaczął Kamil, po pierwszym łyku owocowego drinka. – Gdzie mieszkasz?

– Minus cztery, segment numer pięć – odparła Olga. – A pracuję...

– W szwalni, tak wiem.

– A ty pewnie jako mechanik?

– O nie, nie obrażaj mnie. – Kamil zaśmiał się, odsuwając szklankę od ust. – Nie zniżaj mnie do poziomu mechaników. Ja tu pełnię ważniejsze role. I nie brudzę się olejem.

Zamigotały wszystkie żarówki w sali. Mężczyzna zwrócił na to uwagę, ale nie przejął się – takie rzeczy zdarzały się nader często.

Spokojniejszemu swingowi z głośnika ustąpiła bardziej żwawa i skoczna melodia. Oboje rozpoznali kawałek i rozbujali się na nogach, siorbiąc drinki. Słodki smak owoców, wymieszanych z palącą gardło wódką. Kamil delektował się każdym łykiem tej niemal niedostępnej na co dzień mieszanki.

Nieznamy mężczyzna wyłonił się z tłumu i podszedł do Olgi wyciągając ręce, zachęcając do tańca. Kobieta uniosła swój napój i jasno dała mu do zrozumienia, że teraz nie jest jego czas.

– Jutro zapraszam na kręgle, mam zaległe terminy to wykorzystania. – Kamil mrugnął.

Olga uniosła brew. Niby prosta rozrywka z ustawionych przedmiotów w nieużytkowanym korytarzu, ale cieszyła się niemałą popularnością jako jedna z niewielu form odprężenia w tym szarym, monotonnym schronie.

– Bardzo chętnie. Chętnie się wyrwę od tej starej jędzy, tylko... – wypuściła głośno powietrze – tylko nigdy nie byłam i nie umiem – odparła, opierając się o ścianę.

– Nie trzeba umieć, wystarczy...

Światło nagle zgasło. Piosenka z głośników urwała się wpół słowa.

Zapałł kompletny mrok, a po długich, niepewnych sekundach rozległy się głosy niezadowolenia i paniki. Ktoś krzyknął. Roztańczona sala zmieniła się w mroczną kryptę, a powietrze zrobiło się nieprzyjemnie gęste.

Kamil wiedział, że kobieta jest przed nim, ale w kompletnej ciemności i pustce nie widział chociażby jej zarysu. Wyciągnął rękę przed siebie i złapał ją asekuracyjnie za ramię, jakby bał się, że zaraz mu ucieknie.

Na korytarzu, po głośnym kliknięciu, uru-

chomiała się czerwona lampa, dając słabe światło, ale zarysowując kontur wyjścia. Pierwsi spanikowani imprezowicze już zaczęli się przeciskać do wyjścia.

Niech to szlag! W jednej chwili uszedł z niego cały radosny nastrój. Kamil głośno wypuścił powietrze. Dlaczego teraz? Dlaczego akurat, gdy miał okazję wreszcie poznać Olę? Ścisnął szklankę z całej siły. Stary peerelowski duraleks wytrzymał.

Zaraz się zacznie... Kamil zaczął bębnić palcami o szkło. Zaraz władza schronu zacznie wieszać na nim psy. To on odpowiada za ten cholerny agregat. *Tylko co tym razem mogło się zepsuć?*

Nie rozumiał, dlaczego ludzie tak panicznie przeciskają się przez drzwi. *Po co się tak pchają na korytarz?* Ich pośpiech nic nie da. Przy zasilaniu dodatkowym i tak w mieszkaniach będzie panował mrok.

Gdy się rozluźniło, pociągnął Olę za rękę i wyprowadził z pomieszczenia. Czerwony blask lampy gryzł po oczach, skąpany szkarłatem korytarz wyglądał jak inny świat.

– Muszę iść, inaczej będzie katastrofa – oznajmił Kamil, próbując spojrzeć w jej oczy, jednak w tym wątłym świetle jej źrenice stały się czarne i bez wyrazu. – Będę musiał to naprawić, spotkamy się jutro.

– Ale czemu?... – Jej głos zadrżał. Nie wiedział, czy to ze strachu, czy z rozczarowania. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale się powstrzymała.

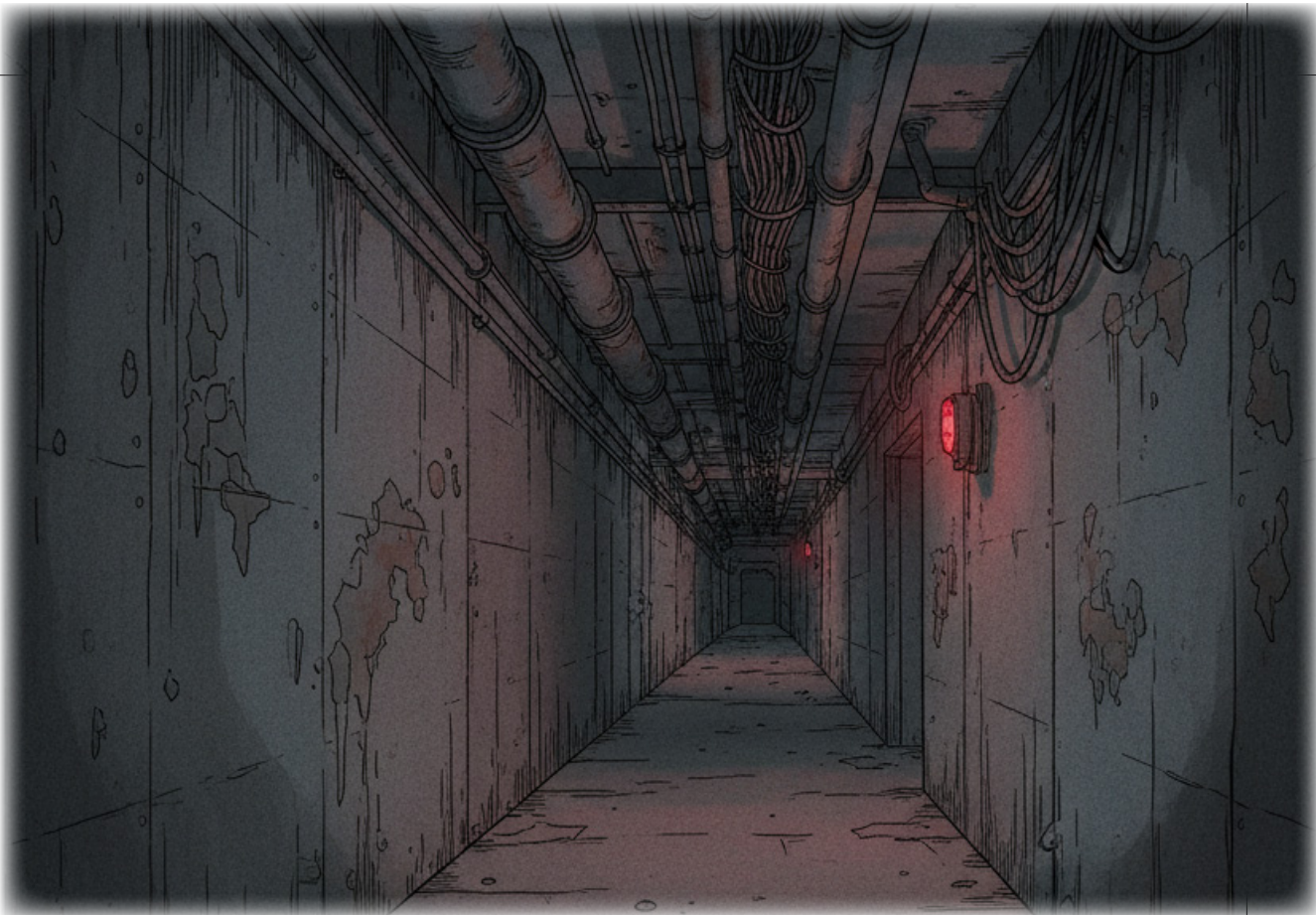
– Nie mam wyboru. – Spróbował wytłumaczyć. – Nikt inny tego nie ogarnie. Nic na to nie poradzę.

Kobieta przygryzła wargę i pokręciła głową. Nie podobało jej się to, jemu zresztą też. Wymieniła go z niezadowoleniem i znikła w bocznym korytarzu.

Kamilowi było to nie w smak, i to bardzo. Zaciśnął pięści. Stracił okazję, choć nie winił do końca siebie. Olę zapewne zabolął brak muzyki, światła i atmosfery, zwłaszcza że impreza była jedną z niewielu okazji, żeby wyrwać się z szarej, nudnej rzeczywistości.

Zrobi co może, aby jeszcze spróbować... Musi sprawdzić, co się stało z tym agregatem, choć nie pojmował, co mogło się zepsuć po ostatnim generalnym przeglądzie sprzed tygodnia.

Zdażył przejść raptem kilkanaście metrów i minąć dwa boczne korytarze, kiedy to... Dwóch prawie łysych, lekko wychudzonych knypków wyłoniło się zza zakrętu, z cienia. Jeden z nich dostrzegł Kamila i wskazał na niego palcem. Przyspieszyli kroku.



Kamil przewrócił oczami. Przydupasy Krupy. Naczelnik widocznie niecierpliwił się... Żwawym krokiem niemal wpadli na niego i chwycili pod ramiona.

– Ej, ej, spokojnie. – Kamil wyszczerzył się w uśmiechu.

– Stul dziób – wypalił jeden z nich, uderzając go pięścią pod żebra.

Kamil skulił się i poczuł, jak zimny pot zalewa mu kark. *Durnie*.

Nieudolnie splekli mu ręce za plecami. Mógłby im się wyrwać, ale to nie poprawiłoby sytuacji... W wąskim korytarzu ledwo mieścili się we trojkę. Po części przeszkadzał pęk rur biegnący wzdłuż ściany, po części oni mu przeszkadzali, naruszając jego przestrzeń osobistą. Kamil przecież sam by trafił do Krupy, bez ich pomocy i naganiania.

Mijali skąpane mrokiem boczne korytarze i odbili w lewo, w jeden z nich. Zadbane, płytkowe ściany ustąpiły miejsca brudnemu, kruszącemu się betonowi. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i grzyba. Pod butami chlapała woda z płytkich kałuż. Kamil czuł zimno bijące z gołego betonu. Jeden z knypków zahaczył rękawem o zardzewiałą rurę. Przeklął i szarpnął z całej siły, rozpruwając sobie materiał. To jedyne miejsce, gdzie nie zrobiono remontu i jedyne,

które idealnie pasowało na pokój naczelnika.

Dotarli na miejsce.

Grube metalowe drzwi z prostokątnym wizerem przenikliwie zajęczały. Wewnątrz panował półmrok, rozświetlany dwiema świeczkami. Kamila uderzył nieprzyjemny, kwaśny zapach zatęchłego aromatyzowanego wosku.

Krupa rozsiadł się za stołem. Wątle światło nieco podkreślało kanciaste rysy jego twarzy, nadawało mu nieco diaboliczności. Naczelnik schronu nie grzeszył sylwetką, mierzył prawie dwa metry i nawet na siedząco patrzył z góry. Splótł palce dłoni i położył je na stole.

Przydupasy Krupy usadziły Kamila w sparciałym, niewygodnym fotelu. Mężczyzna westchnął głęboko i przewrócił oczami.

– No i? – Niski głos naczelnika aż wprawiał w vibracje całe otoczenie.

– Co „no i”? – postawił się Kamil. – Nie działa. Nie musiałeś mnie tu sprowadzać. Sam bym przyszedł.

– Ale ja doskonale wiem. – Krupa odchylił się do tyłu, prawie znikając w cieniu. – A wiesz, co się teraz stanie? Mamy tylko parę godzin, zanim padnie zasilanie rezerwowe. Potem się zacznie.

– Co się zacznie? – Kamil pochylił się w fotelu zaniepokojony. Znał swoją rolę i wiedział, jak bardzo agregat był istotny dla utrzymania

porządku. Od kiedy świat się skończył, nigdy przerwa nie trwała długo. Zapytał z lekkim sarkazmem: – Wszyscy będą chcieli uciec? Przecież to zabójcze, na zewnątrz wciąż jest wysokie promieniowanie, nie mamy tylu kombinezonów.

– O nie. – Naczelnik uśmiechnął się. – Będzie gorzej.

Oblizał końce palców i ścisnął nimi żarzący się knot świeczki.

Psss. Płomień zgasł, zostawiając po sobie smugę gryzącego dymu.

– Najpierw zaczniesz się niepokój – kontynuował naczelnik. – Zaczniemy się bać. A potem... – Zgasił palcami drugą świeczkę. W pomieszczeniu zapanowały nieprzeniknione ciemności. – Deprywacja sensoryczna. Ludzie zaczną się bać i oszaleją. Rozpęta się chaos w ciemności. Nikt nie będzie bezpieczny. Za krótko, drogi Kamile, chodzisz po tym świecie, żeby to zrozumieć.

Błysnęło światło. Główka zapałki roziskrzyła się ogniem. Dotknęła jednego knota, a potem kolejnego. Świece ponownie zapłonęły, ale Krupa odchylił się do tyłu ukrywając twarz w mroku. Jego ostre rysy zniknęły.

Kamil patrzył tępo na tańczące płomienie. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo człowiek potrzebuje światła. W schronie zawsze korytarze oświetlały lampy, nie trzeba było chodzić po omacku. Świece uświadomiły mu, że wszystko jest kruche i wystarczy jeden podmuch, a jedno niepozorne zdarzenie może mieć konsekwencję.

– Zrobię, co mogę – wydukał Kamil.

– Co możesz?! – Krupa nachylił się. – To ma działać, do jasnej cholery! Taryfy ulgowej nie ma!

W półmroku zabłysnęło ostrze noża, odbijające światło tańczącego płomienia.

– Ten schron potrzebuje światła. Jeżeli czegoś z tym nie zrobisz, dopilnuję osobiście, żebyś ty pierwszy pożegnał się z życiem.

Kamil prychnął ze śmiechu i odparł:

– Nie zrobisz tego. Wiesz, że nie ma nikogo na moje zastępstwo, a zanim kogokolwiek wyszkolę, minie dużo czasu.

Koniec ostrza gwałtownie i z piskiem przejechał po ceracie na stole, i rozciął ją, zostawiając głęboką bruzdę. Kamila zalała fala zimna i serce zabiło mocniej.

– Jak śmiesz?! – Krupa wbił pusty wzrok w płomienie świec. – Ja tu rozdaję karty i ja będę decydował. Chcesz się stawiać? – Naczelnik przyłożył tępą stronę ostrza do swojej szyi. – Mogę wszystko. Możesz nie zdechnąć, ale może komuś innemu stać się coś niemiłego. Nie chciałbyś, co?

Kamil zagotował się w środku, ale powieka mu nie drgnęła. Nie mógł dać po sobie znać, że się boi. Przemknęły mu przed oczami twarze kumpli z działu mechanicznego. A potem Olga i jej niebieskie, kryształowe oczy.

– Zatem? – upomniał się naczelnik. – Jak zrobimy?

Kamil wypuścił powietrze. Nie miał wyboru.

– Naprawdę to – zadeklarował, przygryzając wargę.

– Świetnie. – Krupa głośno klasnął dłońmi. – Odprowadźcie tego zanego człowieka – łypnął do swoich podwładnych.

Wyprowadzili Kamila równie nieumiejętnie, jak go tu wprowadzili. Ci dwaj nastolatki próbowali usilnie pokazać swoją siłę i determinację. Kamil wiedział doskonale, że to siostrzeńcy naczelnika. Mógłby im się wyrwać, ale Krupa wyjątkowo z szacunkiem odnosił się do siostry i wszystkiego, co należało do niej. Lepiej było im nie zrobić krzywdy.

Odprowadzili go do długiego holu, oświetlonego mdłą czerwienią lamp awaryjnych i zniknęli. Panowała nieprzyjemna cisza.

Kamil gotował się wewnątrz. Gdyby mógł, pozbył się tego całego towarzystwa. Krupa szczerze nienawidził, za jego wszędobylstwo i ciągłe próby udowadniania przed wszystkimi, że on tu rządzi.

Usłyszał kroki w korytarzu. Po schodach schodził zdyszany Pelczar, dźwigając drewnianą skrzynię. W wątym świetle jego twarz stała się tak ponura, że mógłby równać się tylko z naczelnikiem. Podejrzliwe zerknął na Kamila. Nie zostało na jego twarzy nic z tej imprezowej radości.

Cholerny agregat zepsuł wszystkim zabawę i Kamil wiedział, że choć to nie jego вина, to będzie zapamiętany inaczej. *Nieważne jak ludzie cię znają, ważne z czym cię kojarzą* – pomyślał i westchnął.

Przyłapał się na dudnieniu palcami o nogę. Musiał coś zrobić.

Wdrapał się po schodach i skręcił w boczny korytarz. Tuż obok ciężkich, żeliwnych drzwi pancernych mieścił się nieduży pokój. Światło z korytarza ledwo tu docierało. Kamil po omacku szukał swoich rzeczy. Kombinezon wisiał jako pierwszy z lewej. Torbę z częściami zamiennymi i narzędziami wygrzebał pod stertą rzuconych butów. Najdłużej szukał kanistra z paliwem. Przed oczami majaczyły mu płomienie dwóch świec, zdmuchiwane przez naczelnika. W pośpiechu przegrzebywał wszystko, bezładnie rozrzucając dookoła.

Ubrał się na korytarzu. Gumowy kombinezon zaszeleścił, a cisza ogarniająca schron tylko

potęgowała każdy dźwięk. Zabrzęczały narzędzia w torbie, chlupało paliwo w kanistrze.

Gdy był już gotowy, a torba i kanister solidnie przywiązane do kombinezonu, założył maskę. Nie przepadał za jej gumowym zapachem wymieszanym ze starością i grzybem. Nagle każdy oddech stał się nieprzyjemnie głośny i szumiący w uszach. Światło czerwonej lampy lekko rozmywało się w okularach maski.

Teraz czas na najgorsze.

Mechanizm śluzu miał już swoje lata. Pomimo licznych konserwacji chodził ciężiej niż kiedyś. Każdy ma swój kres, więc te drzwi w końcu też szlag trafi.

Korba zajęczała, gdy przyłożył więcej siły, a cały właz zaczął powoli się odchylać. Został sobie niewielki przesmyk, żeby tylko sam się przecisnął.

W śluzie pachniało wilgocią i grzybem. Krawtownica w podłodze służąca do odprowadzania wody skrzypiała pod butami Kamila. Z natrysków pod sufitem skapywały do niej pojedyncze krople.

Drugi właz stawiał mniejszy opór. Łatwiej mu było go otworzyć i zamknąć za sobą. Spociał się. Już czuł, jak lepią mu się plecy. Odetchnął, jednak każdy jego wdech i wydech szumiący w uszach, potęgowane szczelną maską.

Wdrapał się po schodach, aż natrafił na starą, metalową kratę, otworzył jednym z wielu kluczy. Za nią pomarańczowa lampa oświeśla korytarz. Wątpliwe, jesienne słońce resztkami swoich sił doświetlało to, co zostało ze świata.

Kamil pamiętał jak przez mgłę te dni, gdy wszystko się skończyło. Gdy szedł korytarzem w stronę wyjścia, przed jego oczami malowały się niewyraźne wspomnienia: wybuchy, syreny alarmowe, panikujący ludzie. Miał wtedy trzy lata.

Zarośnięty usychającą roślinnością korytarz kończył się zawalonym częściowo sufitem i niedużym otworem. Resztki gruzu chrzęściły pod ciężkimi podeszwami butów. Co by było, gdyby ktoś w latach siedemdziesiątych nie postanowił zbudować w tym miejscu bloku ze schronem? Jak potoczyłby się los jego mieszkańców? Z drugiej strony, jakie wtedy musiały być czasy, że w ogóle budowano takie konstrukcje? Na wypadek czego? Jakiego zagrożenia?

Kamil zastanawiał się, jak potoczyłby się los schronu, gdyby ktoś w latach siedemdziesiątych nie zbudował bunkra pod blokiem. Tym bardziej przerażała go myśl, co mogło dziać się wtedy na świecie, że powstawały takie konstrukcje i z jakiego powodu. Minęło zbyt wiele czasu, żaden mieszkaniowiec schronu nie żył tak długo, by aż tak dawno sięgać pamięcią.

Po drugiej stronie zawalonego stropu znalazł winowajcę całego zamieszania.

Agregat. Stare bydlę milczało. Kamil uważnie obejrzał urządzenie. Ubolewał wielokrotnie, że w schronie na stałe uszkodził się odciąg spalin i trzeba było je wyciągać aż tutaj. Z drugiej strony, wizja zakopcenia w zamkniętej przestrzeni nie napawała optymizmem. W głowie zrodziło się kolejne pytanie... Ile pracy włożyli w to, żeby doprowadzić później zasilanie?

– Co się z tobą stało, stary? – spytał milczącej maszyny. – Wiesz, że zepsułeś mi randkę?

Nie liczył na jego odpowiedź. Mógł ochrzcić agregat za wszystko, a ten dalej będzie milczał.

Znał go jak własną kieszeń, zaczął rozkręcać wszystko, co tylko mógł.

Rozległ się dźwięk usuwającego się kawałka betonu. Kamil zastygł, ale wrócił do swojej pracy. Zdarzało się to nader często. Wszystko wokół się rozpadało. Zęby czasu nieubłagane nadgryzały to, co zbudował człowiek.

Paliwo było, a podzespoły maszyny wydawały się nienaruszone – żadnych osmażeń czy pęknięć. Więc, co się mogło takiego wydarzyć?

Znów gdzieś w pobliżu osunął się kawałek gruzu i spadł z łoskotem na ziemię

Kamila pochłonięła naprawa agregatu i ledwo to usłyszał. Rozkręcił wszystko, ale nie mógł znaleźć usterki. Przełączył na pół-ssanie, pociągnął za rozrusznik. Cisza, nawet zapłon nie zadziałał. Szarpnął mocniej. I jeszcze raz, i jeszcze. Agregat milczał. Mężczyzna wałnął pięścią obudowę.

– No odpal się! – wycodził przez zęby.

Nie zamierzał tu długo być, przy dłuższej ekspozycji promieniowanie wciąż szkodziło zdrowiu.

Zrezygnowany kopnął urządzenie. Przy kolejnej próbie maszyna zacharczała przenikliwie i się uruchomił. Dudnienie silnika rozniosło się po okolicy, odbijało echem od ścian budynku. Wtedy zrozumiał, że to nie tu leżał problem. Kontrolna lampa nie świeciła się, pomimo zasilania. A to oznaczało, że kabel jest uszkodzony.

Szybko odnalazł, że tuż przy obudowie kabel wyglądał na rozpruty, miedziane witki wystawały poza izolację. *Jak to się mogło stać?* Zaintrygowany nachylił się.

I wtedy rozległ się odgłos kroków chrzęszczących po kamienistym gruzie. Gdzieś z boku mignął cień. Zanim Kamil wstał i zdążył się odwrócić, coś twardego uderzyło go w głowę. Poczuł pulsujący ból z w potylicy. Obraz przed oczami zawirował, rozmył się i zgasł.

Stracił przytomność.

Dryfował gdzieś na granicy snu i podświadomości. Niewyraźne, chaotyczne plamy kolorów materializowały się w powykrzywiane obrazy rzeczywistości i zanikały, ustępując miejsca kolejnym.

Ocknął się, gdy zimny wiatr zaczynał świszcząć w ruinach i uderzać go w twarz.

Głowę miał ciężką i obolałą. Obrócił się na drugi bok i stęknął. Ból doskwierał wszędzie. Głowa nieprzyjemnie pulsowała, w uszach coś dudniło. Wstanie okazało się tak dużym wysiłkiem, że musiał to zrobić na raty. A nawet, gdy już mu się udało, oparł się o zimną, betonową ścianę i otrząsnął się. Stopniowo przypominał sobie, gdzie jest i co robił.

Gdy dochodził do siebie, próbował pojąć, czy to tylko kawał gruzu spadł mu na głowę, czy może ktoś go zaatakował.

Wtedy przeraził się, otrzeźwiał momentalnie. W miejscu, gdzie stał agregat teraz widniał jaśniejszy prostokąt. A urządzenie zniknęło!

Przeklął. Zrugął sam siebie, że mógł do tego dopuścić. Gula podskoczyła mu do gardła. Zawałił sprawę. Miała być szybka naprawa, a teraz cały schron zostanie bez światła... Przed oczami zamajaczyła mu ponura, demoniczna twarz Krupy za świecami i jego nóż, który złowrogo połyskiwał w świetle płomieni.

Metaliczne ostrze niemal czuł na własnym gardle. Przełknął ślinę. Miała gorzki smak.

Co robić? Co robić?

Torba z narzędziami leżała rozpruta wół. Kanister leżał przewrócony i kapały z niego resztki paliwa.

Kamil padł na kolana, wtulił głowę w dłoń. To wszystko jego wina. Oczy go zapiekły, poczuł łzy ciekące po policzku. Przez jego nieuwagę cały schron teraz stanie na głowie. Już widział, jak mieszkańcy rzucają się sobie do gardeł. Chaos, krzyki, bójki... I Krupa ze swoją ekipą ustalający nowy porządek świata w zamkniętych czterech ścianach. Olga i jej kryształowe spojrzenie przepadające w mroku. Był to zbyt ponury i przynębiający obraz.

Gdy Kamil wstał, wziął głęboki oddech i otrząsnął się. Może jeszcze nie wszystko stracone. Jeśli nie minęło zbyt wiele czasu, jest w stanie to wszystko odkręcić.

Pierwsze kroki postawił niepewnie na nierównym gruzie.

Próbował pomyśleć, kto to mógł być, lecz w głowie jeszcze mu huczało. W okolicy znajdował się tylko jeden inny schron. Czyżby im też zabrakło światła?

Podrapał się po głowie, próbując przypo-

mnąć sobie drogę. Bywał tam lata temu, to na pewno było w prawo.

Gdy wyszedł na ulicę zobaczył pierwsze szkielety martwych, rozpadających się budowli. W oknach bez szyb pohukiwał nieprzyjemny wiatr, ciemność zionąca wewnątrz odstraszała. To miasto, kiedyś tętniące życiem, stało się wielką zapadającą się, zapomnianą ruiną. Asfalt na ulicy popękał i w bruzdach zdążyły przez te lata wyrosnąć niemałe krzewy.

Kamil szybko zorientował się, że złodziej agregatu zostawił za sobą ciągnącą się smugę w zawiewanym pyłe. To ułatwiało zadanie. Musiał włożyć w to dużo siły, urządzenie swoje ważyło...

Ślad po agregacie wymijał zardzewiałe szkielety samochodów i betonowe odłamki rozrzucone po całej ulicy. Na pierwszy rzut oka wgłębienia wyraźnie zarysowywały się, ale wiatr rozwiewał pył, miejscami go zacierając. Kamil klęknął, szukając kolejnych znaków, serce waliło mu jak młot – jeśli zgubi trop, wszystko przepadnie.

Po obu stronach ciągnęły się wymarłe, zniszczone trzypiętrowe kamienice, zionące pustką i grozą. Zerkając w puste okna, czuł jakiś dziwny niepokój. Coś go jednocześnie odpychało i próbowało wciągnąć do środka. Powiew zimnego wiatru przenikającego przez gumowy kombinezon tylko potęgował to uczucie. Mijał resztki poprzedniego świata stopniowo grzebanego w grząskim pyłe i obrastające na wpół wyschlą roślinnością. Smuga po ciągniętym agregacie miejscami się urywała.

Gdy ślad skręcił w boczną ulicę, na wpół zawaloną zdemolowaną fasadą kamienicy, usłyszał stopniowe i charakterystyczne jęczenie. Coś jak metal szurający po kamieniu. To było to!

Przyspieszył kroku. W miarę, jak oddalał się od swojego schronu, bardziej pojmował, jak długo mógł być nieprzytomny. To tylko uświadamiało go, że rodzinny bunkier jest zdany na jego łaskę.

Ścisnęło go w brzuchu. Zgłodniał. Przyspieszył kroku. Gdy wyminął wrak przewróconej ciężarówki, zobaczył ich.

Początkowo spodziewał się jednego złodzieja, ale było ich dwóch...

Cholera – pomyślał. Ciekawe, czy oddadzą agregat tak polubownie? Dwie postacie ubrane w podobne kombinezony, lecz bardziej zdezelowane i cerowane kawałkami materiałów, ślezczały nad agregatem i żywiłowo wymachiwały rękami. Nagle jeden z nich popchnął drugiego.

Kamil nie zwlekał. Coś musiał zrobić. Dwa płomyki świec znów zatańczyły przed jego oczami. I Krupa ze swoim nożem. Wzdrygnął się. Zegar tykał.

Wyrwał wbity w ziemię kawałek zardzewiałego pręta.

– Ej! – krzyknął, wyłaniając się zza fragmentu białej w ulicę fasady.

„Gumowe” postacie odwróciły się jego stronę, zamilkły.

Kamil wykorzystał chwilę ich zawahania i zbliżył się na niezbyt bezpieczną odległość.

– A ty, to kto? – spytał jeden z nich. Gruby męski głos rozmywała maska z rurą ciągnącą się od nozdrzy po pas.

– Gdybym ci powiedział, musiałbym cię zabić! – odburknął Kamil. Ścisnął mocniej pręt.

Tamci dwaj ryknęli śmiechem.

– Znasz się na tym? – spytał ten drugi, wskazując palcem na agregat.

Kamil mierzył ich oczami. Asekuracyjnie zbadał otoczenie, czy nie odwracają jego uwagi.

– Nie rozumiem, co do mnie mówisz... – wycedził. – To mój agregat. Oddajcie go.

– Spokojnie. – Machnął ręką jeden z nich. – Tu nie ma nic do gadania. Nasz już padł i potrzebujemy światła. A że ten sobie stał na zewnątrz...

Kamil czuł konsternację. Jego schron też potrzebował światła. Krupa, Olga... I weź tu wszystko pogódź.

– Zatem widzisz, wyższa potrzeba – oznajmił jeden ze złodziei. – Spytałem raz jeszcze. Umiesz to obsługiwać?

– Co to ma do rzeczy? – oburzył się Kamil.

– A no, to ma do rzeczy, że jeśli umiesz, to możemy się dogadać.

– O, nie... Nie ma mowy. – Kamil zaczął się niecierpliwie i podejrzewać, że grają na zwłokę.

– Słuchaj, my tu nie chcemy problemów. Nasz schron potrzebuje tego, ale nie znamy się na tym kompletnie. Działo, to nikt się nie dotykał. Możemy zaproponować coś dobrego. Pójdiesz z nami, obsługujesz to ustrojstwo i żyjesz jak pączek w masle. Zapewnię wszystko, jestem naczelnikiem zaopatrzenia. Mamy wolne pokoje, dużo sprzętu. Co tylko chcesz. Ocalisz ludzi.

Wystąpił parę kroków, wyciągając w stronę Kamila rękę. Ten się zawahał. Zerknął na agregat i kalkułował. Perspektywa nie wydawała się złą, ale gdzieś z tyłu głowy miał swój schron. Tam, w piwnicy bloku z lat siedemdziesiątych czekali i liczyli na niego ceniący i znający go ludzie. Tam czekała Olga, u której jeszcze miał szansę. Mógł przywrócić wszystko, czyniąc dom znów przytulnym miejscem. Nie miał pojęcia, co się tam teraz działo. Obawiał się, że mieszkańcy w panice czekają na powrót oświetlenia. Zmartwił się. Pomyślał też o Krupie, rzygającym w stole kolejne bruzdy swoim nożem,

delektującym się gryzącym zapachem świec, zdmuchując je i zapalając ponownie. Wszyscy na niego liczyli.

Z drugiej strony szali stał inny schron, również pełen ludzi oczekujących na poprawę sytuacji.

„Deprywacja sensoryczna” – usłyszał z tyłu głowy głos Krupy. Ktoś oszaleje w ciemności.

Ci dwaj oferowali mu dobre warunki, ale inny schron wydawał mu się zbyt obcy. Zawsze uważał, że najpierw ponosi odpowiedzialność za swoją wspólnotę, a obca dba o siebie sama. Miał wiedzę cenną i dla jednych i dla drugich. Teraz się okazało, że to jego wiedza jest prawdziwą władzą. To on będzie musiał zdecydować, którą społeczność ocali. Tylko on. Tylko jedno odpowiednie podłączenie agregatu. I tylko jedna społeczność.

Przed oczami mignął mu dzisiejszy bal. Kolorowe światła i muzyka. Olga poruszająca się zgrabnie na parkiecie, wywijająca w rytmie swinga. Jej kryształowe, niebieskie oczy. Muzyka rozbrzmiała w jego uszach, nawet zaczął się delikatnie kołysać na nogach.

Brzdękające kubki z owocowymi drinkami.

Tak, do tego mógłby wrócić... Rozpływał się we wspomnieniach. Dla takich chwil warto żyć. Kolejne święta i karnawały – zupełnie, jakby przeznaczeniem każdego człowieka miało być czekanie na kolejne chwile radości po okresach smutku i stagnacji. A Krupa? To tylko pretensjonalny człowiek. Chwilowy demon potrzebujący jakoś wyładować swoją złość. Gdy wszystko wróci do normy, przejdzie mu. I znów stanie się mitycznym naczelnikiem istniejącym tylko w świadomości mieszkańców.

– To jak? Umowa stoi? – Naczelnik obcego schronu wyrwał go z zamyślenia. Wciąż trzymał wyciągniętą rękę i oczekiwał na uścisk.

Kamil poczuł w sobie nową energię. Nie pozwolił sobie tak głupią transakcją zabrać to, co było jego życiem. Nie weźmie kota w worku.

– Mam się sprzedać dla obietnicy? – wypalił.

I zupełnie niepodziewanie zamachnął się prętem. Metal świsnął w powietrzu, a potem przenikliwy krzyk rozniósł się po ruinach.

– Aaa! – wrzasnął na całe gardło naczelnik.

– Ty szujo!

Jego pomocnik niespokojnie drgnął. Patrzył przed siebie jak otepiały i dopiero po kolejnych siarczystych, na wpół zrozumiałych słowach się ocknął. Sięgnął po skradzione narzędzia i wyciągnął duży klucz.

Kamil to zauważył i doskoczył do niego, wymachując prętem. Gotował się w środku. Pomocnik naczelnika sparował dwa uderzenia, trzecie wybiło mu narzędzie z ręki. Cofnął się. W tym

czasie naczelnik zaszedł Kamila z boku, naskoczył i powalił swoim ciężarem. Kamil padł z łoskotem w pył, wzniecając jego kłęby w powietrze. Naczelnik zaczął go okładać pięścią.

Jego twarda dłoń uderzyła w szkło maski i coś chrupnęło. Kamil zobaczył na wizjerze białą smugę. Serce podskoczyło mu do gardła.

Niech to szlag! Wściekł się jeszcze bardziej. Uwolnił się z uścisku, okręcił w bok i szybkim ruchem wstał. Kręciło mu się w głowie. Tego było za wiele. Nie zgodzi się na kolejny nokaut.

Wygrzebał pret z pyłu i gdy naczelnik znów próbował w niego wbiec, jednym, zdecydowanym ruchem uderzył go pod zębra. Mężczyzna jęknął i się skulił. Jego pomocnik próbował zrobić cokolwiek, ale ogarnięty furią Kamil zasłonił się łokciem i silnym kopniakiem w brzuch odepchnął napastnika.

Biała smuga majaczyła przed jego oczami. Gdzieś z tyłu głowy poczuł, że płomień jego świecy właśnie zaczął muskać wiatr. Ognik zatańczył. Powietrze gęstniało. Czas uciekał. Nie mógł dłużej zwlekać. Miał na karku teraz jeszcze własne życie, do momentu, dopóki pęknięcie na wizjerze nie zrobi się zbyt duże. Wtedy radioaktywny pył zacznie wdziierać się do środka.

Dwaj złodzieje, skuleni w bólu, próbowali utrzymać dystans. Ale on tego tak nie zostawi. Postawili na szali jego schron i dom. A co gorsze, narazili jego samego na promieniowanie, rozbijając wizjer. Taki sprzęt był na wagę złota. Nie może to im pójść płazem. Ze skradzionych narzędzi wygrzebał scyzoryk.

Podszedł najpierw do naczelnika obcego schronu.

– Jest taka zasada, bardzo stara – oznajmił Kamil z nieco uroczystym tonem, oddychając głęboko i uspokajając tętno. – Oko za oko.

Przejechał ostrzem scyzoryka po ramieniu skulonego naczelnika. Kombinezon rozpruł się. Rękaw rozstąpił się niczym nacięta blizna, ukazując pomiętą koszulę umorusaną ciemnym olejem. Mężczyzna syknął przez zęby, a potem wrzasnął na całe gardło. Doniosłe przekleństwo odbiło się od fasad okolicznych.

Tymczasem Kamil zbliżył się do wijącego się z bólu pomocnika i naciął jego nogawkę. Spotkał się tylko z pustym spojrzeniem przeciwnika skrytym za szklami maski.

Usłyszał kroki za sobą. Instynktownie odsunął się w bok. Gotujący się ze złości naczelnik prawie mógł powalić Kamila, ale wpadł prosto na pustkę i runął z łoskotem w pył, wzniecając szarą chmurę w powietrze.

Spanikowani złodzieje zaczęli się bezładnie szamotać. Pomocnik pociągnął naczelnika za ramię i pomógł wstać. Nie oglądając się za sie-

bie, puścili się biegiem w stronę na wpół zniszczonego, nadgryzionego eksplozją blokowiska.

Kamil odetchnął. Gdyby mógł, otarłby pot z czoła.

– Siódme: „Nie kradnij” – krzyknął w stronę oddalających się złodziei.

Wciąż jeszcze nabuzowany adrenaliną, nie chciał ustąpić, musiał być pewny, że ci dwaj tak łatwo nie wrócą po jego agregat. Ruszył po ich śladach.

Obie sylwetki migały pomiędzy mijanymi wrakami pojazdów. Gdy tracił ich z oczu, biegł przed siebie, patrząc tylko na wgniecenia w pyłe od ich ciężkich butów. Udało mu się skrócić dystans o połowę, widział ich teraz wyraźnie – panicznie uciekali, rozumiejąc, że sami teraz są wystawieni na śmiertelne promieniowanie. Przeżyją, jeśli szybko znajdą schronienie. Czas ekspozycji grał tu istotną rolę.

Wbiegli przez ciemny otwór drzwi do bloku, rumor ciężkich butów rozniósł się echem po korytarzu. Kamil nie planował ich doganiać, choć dzieliły go od nich już tylko metry. Zbiegli po schodach prowadzących do piwnicy i zniknęli w ciemności. Potem usłyszał głucho tąpnięcie. Wtedy odpuścił.

Zdyszany, oparł się plecami o ścianę. Choć pałał żądzą zemsty za ten cholerny agregat, wołał tych dwóch nie mieć jeszcze na sumieniu. Przeżyją, to na pewno. Za krótko nasiąkli pyłem i promieniowaniem.

Potrzebował pozbierać myśli i ochłonać. Przycupnął. Poczuł przyjemny chłód betonu na plecach. Wstał po paru długich minutach, otrząpał kombinezon i wyprostował się.

Teraz go będzie czekało najgorsze. Agregat swoje waży. Wprawdzie da radę go przenieść sam, ale targanie go przez całą ulicę będzie wymagające.

Zdążył wrócić korytarzem, gdy jakaś maszynaria mignęła mu w bocznym pomieszczeniu. Z ciekawości wychynął przez próg.

No bez jaj! Zaśmiał się w duchu. Tutejszy schron posiadał identyczny model agregatu. Podszedł i zerknął na tabliczkę. Tak, dokładnie ten sam, tylko mniej zadbane, zabrudzony i porysowany.

Wiedział, że musi wracać, zdawał sobie sprawę, że liczy się teraz każda minuta, a zasilań rezerwowe nie wytrzyma długo. Z drugiej strony, wiedząc, że i ten schron może czekać nieuchronny koniec i że ma przed sobą coś, co zna – co do jednej śrubki...

Co zrobić? Podrapał się po głowie. Od jego wiedzy zależy życie jeszcze jednej społeczności.

Mógłby to naprawić, ale czy może stawiać na równi ich z jego własnym domem i przyjaciółmi?

Znów zobaczył je przed oczami. Dwa płomienie w półmroku. Jego schron i ten drugi, obcy.

Jeden podmuch wiatru może zgasić obydwu.

Tym razem to on był tym wiatrem. Mógł zawiązać, jak chciał. I wtedy pojął, jaką ma teraz władzę w swoich rękach. To on będzie decydował. I wiedział, że nawet Krupa nie mógłby się go pozbyć ot tak.

Jeden płomień mógłby oświetlać mrok, ale tylko częściowo. Tyle lat po zagładzie, ludzie stłoczeni w podziemnych kompleksach próbują utrzymać swój gatunek przy życiu. W pewnym momencie nie będzie czym rozpalic ognia. Od jednej świecy można zapalić drugą – aby choć jedna wciąż płonęła.

I zrozumiał. Ludzie to podły gatunek. Mogą się nienawidzić, szkodzić sobie, ale w obliczu kataklizmu muszą się wspierać. Szybkim, zdecydowanym ruchem szarpnął za linkę rozrusznika. Urządzenie zacharczało i zamilkło. Potrząsnąwszy nim, usłyszał bulgoczącą ciecz. To nie problem z paliwem.

Nie tracąc ani chwili, pobiegł po narzędzia. Agregat z jego schronu mógł dalej stać spokojnie w tym samym miejscu. Wrócił do drugiego urządzenia. Ściągnął obudowę, rozkręcił mechanizmy. Serce mu waliło jak oszalałe. Nie chciał dłużej zwlekać, jego schron czekał. Działał gorączkowo. Śruby i narzędzia ślizgały mu się w dłoniach. Omsknął mu się nadgarstek i uderzył o wystający element. Syknął z bólu. Rozgrzebał pół urządzenia w tempie jakiego się nie spodziewał, jednak nie mógł znaleźć przyczyny. Denerwował się coraz bardziej. Jeżeli zaraz nie znajdzie usterki, będzie musiał to porzucić. Wszystko, choć zabrudzone, wyglądało na sprawne.

Nie miało to sensu. Musiał już wracać. Postanowił, że jeszcze sprawdzi wirnik. Jeżeli to nie poskutkuje... Rzuci to w cholerę. Powinni sami dbać o swój sprzęt. Przy odkręcaniu wewnętrznej obudowy usłyszał metaliczne kliknięcie. Ściągnął plastik gwałtownym szarpnięciem, nie było czasu na zabawę.

Bingo! Głośno wypuścił powietrze i odetchnął z ulgą. Znalazł przyczynę. Poluzowane łożysko. Przez nie wał wpadał w poślizg. Dobił element młotkiem, kontrolnie sprawdził smar. Dobra, lepka konsystencja. Jeszcze długo pociągnie.

Złożył agregat do kupy. Zatrzaski na obudowie strzeliły, gdy ją domykał. Szarpnął za linkę.

Silnik zaterkotał, wykrztusił z siebie kłęb ciemnego dymu, ale agregat ruszył. Sprawdził miernik. Urządzenie podawało napięcie.

Kamil usiadł, cały nabuzowany adrenaliną i emocjami. Gruz wbił mu się w pośladki.

– Jeden z głowy... – powiedział do siebie. Od tego wszystkiego kręciło mu się w głowie. Jeden płomień rozjaśnił ciemność.

Wstał, zabrał narzędzia i szybkim krokiem wrócił do swojego agregatu.

Ściemniło się. Słońce już zbliżało się do horyzontu, a niebo przesłoniły ciemne sylwetki chmur. Powiewał lekki, chłodny wiatr, a unoszony nim pył szeleścił, objijając się o zardzewiałe wraki samochodów, porozrzucanych wzdłuż ulicy.

Agregat stał i jakby czekał na niego posłusznie.

Kamil, nie zwlekając, chwycił go i napiął mięśnie. Zaciśnął zęby i uniósł urządzenie. Bydle ważyło ponad dwadzieścia kilo.

Rozpoczął walkę sam ze sobą. Ręce już po kilku minutach mu się trzęsły, napięte ramiona rozpalał ból. Ale nie zwlekał. Musiał dotrzeć do swojego schronu. Gdy dotarł do skrzyżowania, wypuścił agregat z rąk. Urządzenie głucho tapnęło, wzbijając chmurę pyłu w powietrze. Podmuch wiatru po chwili wszystko zdmuchnął.

Ręce Kamila rozpalał ból przypominający wbicie tysiąca igieł. Cały zdyszany i spocony, z częściowo zaparowanym wizjerem spróbował podnieść agregat jeszcze raz, ale tym razem ramiona odmówiły posłuszeństwa. Uchwyty wyslizgnęły mu się z dłoni.

Mężczyzna przeklął i uderzył pięścią w obudowę. Nie mógł się zatrzymać.

Wizja oświetlonych korytarzy, balu i tańców przemknęła mu przed oczami, choć niewyraźnie i na krótką chwilę. A potem ujrzał niebieskie oczy Olgi. Wymęczone ciało nie chciało opływać w marzenia. Coś z tyłu głowy kazało mu się jeszcze nie poddawać. Może to ten nieszczęsny widok dwóch świec tak mocno wrył się w jego podświadomość?

Gorzki smak śliny przypomniawszy mu o ostrzu Krupy. Teraz nie bał się samego naczelnika, co bardziej konsekwencji braku światła. Naczelnika przekupi samą wiedzą, tego drugiego już nie.

Siły już mu brakło, a został jeszcze spory odcinek. Musiał coś zrobić.

Naparł na agregat całym swoim ciałem. Pył stawiał wyraźny opór, ale urządzenie przesunęło się. Kamil zebrał w sobie resztki sił. Wiodła go intuicja, kojarzył tutejsze budynki, ale stopniowo ogarniający wszystko mrok, znacznie utrudniał orientację.

Pchał agregat co sił, czując, jak ulatuje z niego energia, a nogi tracą swoją siłę. Po długich, ciągnących się w nieskończoność minutach padł twarzą na ziemię. Cały się trząsł, ciało pulsowało

okropnym bólem. Dyszał ciężko, powietrze wpadające do jego płuc miało metaliczny, gorzki posmak.

Nie dam rady. Zgnij tu. To był błąd. Może tamci dwaj mieli rację? Może lepiej wrócić do nich jako ich wybawca?

Kątem oka dostrzegł znajomą fasadę bloku z lat siedemdziesiątych.

Uśmiechnął się do siebie.

Kamil, ty idioto! Co ci strzeliło do łba?

Jest już naprawdę blisko. Dał sobie chwilę na odpoczynek.

Gdy ponownie naparł na agregat, nogi i ręce ugięły się, omsknął się i padł brzuchem na ziemię. Nie miał już kompletnie siły. Ból blokował go, a w uszach huczało. Musiał walczyć sam ze sobą i z własnym ciałem.

Ostatkami sił pchnął agregat, ale urządzenie nie ruszyło. Zablockowało się na kamieniu. Zaciśnął zęby, przewrócił go na bok. Ostatnie metry pokonał dysząc, niemal krztusząc się własnym oddechem. Ledwo stał na nogach i zipał z wycieńczenia. Wizjer maski niemal całkowicie mu zaparował. Nic nie widział.

Musiał coś zrobić, jeszcze tylko kilka kroków...

Pod palcami wyczuł nieduży, kanciasty kamień. Miał pomysł. Dużo zaryzykuje, ale to będzie warte życia schronu. Nie zastanawiając się, chwycił go i gwałtownym ruchem gruchnął nim o wizjer. Szkło pękło. Zimne powietrze świsnęło prosto w jego oko. Przymrużył je i skupił wzrok.

Resztkami siły woli naparł na agregat i przepchnął go przez ostatnie metry. Wykończonymi, trzęsącymi się i rozpalonymi bólem rękami wciągnął go do pokoju.

Upadł na plecy. Przeczołgał się i natrafił w półmroku na przecięte kable. Miał wrażenie, że nie do końca panuje nad swoimi roztrzęsionymi palcami. Nie czuł ich, jakby utracił nad nimi kontrolę, ale widział, jak oporne i desperacko chwytają pojedyncze miedziane witki i splatały je w gruby pęk.

Wstał na kolana, wymacał rozrusznik i pociągnął za linkę. Agregat milczał. Szarpnął raz jeszcze i jeszcze. Nic z tego, urządzenie nie uruchomiło się.

– Nie!... – krzyknął resztkami sił w płucach, na całe gardło.

Uderzył czołem o obudowę.

– No dawaj – wycedził przez zęby.

Grzmotnął pięścią. Nie mógł odpuścić, nie teraz. Jedna tylko iskra, tylko tyle było potrzebne, żeby wszystko zakończyć.

Iskra! Właśnie. Palcami odnalazł odpowiedni przycisk. Pół-ssanie.

Gdy pociągnął za linkę, agregat chwilę zawarczał. Szarpnął jeszcze raz. I jeszcze raz. Urządzenie opierało się. Kamil szarpał raz za razem. Tliła się w nim jeszcze ta ostatnia iskra nadziei. Szarpnął z całej siły. Poleciał do tyłu, uderzył plecami o twardą posadzkę. W głowie mu zaszumiało, a obraz zakłębszał się.

Gdy wstał, zobaczył świecącą się lampkę kontrolną, a agregat furkotał, wydobywając z siebie kłęby gryzącego dymu.

Światło. Płomień drugiej świecy ponownie zatańczył w głowie Kamila, a diaboliczna twarz Krupy śmiejąca się nad nimi, skryła się w cieniu.

To ja jestem wiatrem – pomyślał. – To ja wieję tam, gdzie chcę.

Przyniósł światło. Stał się ich wybawcą. Gdy tylko wróci na dół wszystko się skończy. Gdzieś w głębi liczył na to, że w schronie wznowia bal.

Popatrzył na agregat i pojął, jak potężna jest wiedza i jak łatwo szafować czyimś życiem.

Rozpalone bólem nogi ledwo uniosły jego własny ciężar. Skierował się w stronę schodów. Każdy krok przysparzał wysiłek. Obiecał sobie, że odpocznie. Wracał do domu jako wybawca, jako ich przeznaczenie. Jak wiatr, który zawiązał tak, jak chciał i dał im kolejne dni egzystencji.

Dla nich. Dla ludzkości.

JÓZEF ŚWISTAK

Muzyk, kompozytor, pisarz amator. Moje życie o muzyka klasyczna, metal progresywny, książki seriale i gry w tematyce science-fiction i fantasy.

MIEJSCA W SIECI:

Facebook: <https://www.facebook.com/jozek.swistak.52>

Instagram: [jozef_swistak](https://www.instagram.com/jozef_swistak)

ETYKA ZAWODOWA W BRANŻY WYDAWNICZEJ

O TYM, CO WYPADA, A CZEGO NIE WYPADA

KOREKTA: MAGDALENA MALINOWSKA-DZIEKAN
KOREKTA TECHNICZNA: PAULINA MIKA

Branża książki lubi o sobie myśleć jak o miejscu szczególnym: przestrzeni dialogu, wolności słowa, twórczej pasji i wysokiej kultury. O świecie, w którym słowa znaczą, a wrażliwość jest cenną walutą. W praktyce jednak – jak w każdym profesjonalnym środowisku – także tutaj zdarzają się napięcia, półprawdy, skróty myślowe, a nawet... ciche zapożyczenia cudzych pomysłów. Dlatego warto mówić głośno o etyce zawodowej. Nie po to, by kogokolwiek piętnować, ale by przypomnieć, że świat książki to również rzemiosło, odpowiedzialność i fundamentalny szacunek do pracy drugiego człowieka.

Granice tego, co wypada – skoro żyjemy w świecie słów

Wydawać by się mogło, że branża literacka, redaktorska i wydawnicza ma „etykę” wpisaną w DNA. Skoro obracamy się wokół słów, powinniśmy być ich najbardziej świadomymi strażnikami.

A jednak właśnie tutaj najłatwiej o zniekształcanie faktów, wyolbrzymianie zasług czy tworzenie narracji, która – choć atrakcyjna marketingowo – nijak ma się do rzeczywistości.

Etyka zawodowa zaczyna się tam, gdzie kończy się wygoda.

Nie wypada kreować się na pioniera, jeśli ktoś inny wprowadził daną koncepcję na rynek wcześniej. Nie wypada budować własnej marki na sugestjach, że dopiero teraz „ktoś odważył się pokazać prawdę”, zwłaszcza gdy istnieją inicjatywy, które tę prawdę pokazywały od dawna – cicho, konsekwentnie, bez fanfar.

Nie wypada głosić: „świat książki to nie tylko autor i okładka”, gdy inni już miesiące wcześniej udowodnili to w praktyce. Hasło reklamowe bywa bronią obosieczną: może przyciągać uwagę, ale i ranić. Sugerować brak świadomości tam, gdzie tej świadomości było aż nadto.

Słowa mają ciężar

Redaktor poprawiając rękopis, wie doskonale, że jeden przecinek potrafi zmienić sens zdania. Wydawca, planując premierę, rozumie wagę harmonogramów, praw autorskich i całego procesu. Autor, oddając swój tekst, powierza nie tylko treść, ale pewną część swojego życia.

Dlaczego więc w komunikacji zawodowej tak często zapominamy, że każde zdanie niesie ze sobą odpowiedzialność?

W branży, która żyje treścią i sensem, manipulacja dla chwilowego blasku to najgorszy wybór. Współczesny odbiorca szybko weryfikuje deklaracje – a reputacja, raz nadszarpnięta, potrafi ciążyć dłużej niż niejedna literacka kłątwa.

Inspiracja to nie to samo co kopiowanie

Nie ma monopolu na formę magazynu, temat artykułu, gatunek czy na sposób przedstawienia tego samego motywu w literaturze czy w ilustracjach. Tym bardziej nie ma takiego monopolu na pomysł na rozmowę o branży. Inspirujemy się nawzajem, bo literatura i praca wokół niej to dialog. Istnieje natomiast cienka, łatwa do przekroczenia granica między inspiracją a powieleniem czyjejś koncepcji w sposób, który uderza w jej twórców.

Etyka zawodowa wymaga więc nie tylko niekradzenia cudzych pomysłów, ale także uczciwego nazwania własnych źródeł.

Uprzejmością jest i oznaką szacunku do kolegów i koleżanek z branży, aby nie wchodzić na rynek z projektem bliźniaczym do innego i udawać, że nagle objawił się nam pomysł na narrację, którą ktoś inny prowadzi od miesięcy. Nie wypada pomijać pionierów – nie dlatego, że ktoś oczekuje ukłonów, lecz dlatego, że uczciwość waży więcej niż chwilowa klikalność.

Świat książki to ludzie – wielu ludzi

Marketing uwielbia skupiać światło reflektorów na twórcy i pięknej okładce. Ale etyka

zawodowa przypomina nam, że książka to praca całego zespołu: redaktorów, korektorów, grafików, ilustratorów, składu, drukarni, beta readerów, recenzentów, a czasem także konsultantów, agentów i wielu innych osób, których nazwiska nigdy nie trafią na billboard.

Nie wypada też tworzyć narracji, w której ktoś rości sobie prawo do odsłonięcia „prawdy” o branży, jakby dotąd nikt nie miał odwagi jej wypowiedzieć. To fałszuje obraz środowiska i deprecjonuje wysiłek tych, którzy od miesięcy czy nawet lat wykonują swoją pracę rzetelnie – często w ciszy, bo zawody kreatywne bywają ciche z natury.

Etyka jest jak Redakcja – niewidoczna, ale niezbędna

Chciałoby się powiedzieć: jeśli coś jest etyczne, przeważnie nie rzuca się w oczy. Zasady moralne działają jak redakcja – wygładzają, porządkują, usuwają potknięcia, zanim ktokolwiek zauważy, że mogły się pojawić.

Etyka nie każe być idealnym. Każe być czujnym.

Z szacunkiem odnosić się do faktów.

Nie przypisywać sobie cudzych zasług.

Nie wykorzystywać narracji, która rani innych.

Nie budować wizerunku kosztem ludzi, którzy pracują w tej samej branży.

Po co nam w ogóle ta etyka?

Bo branża książki – paradoksalnie – jest krucha. Opiera się na zaufaniu: między autorem a redaktorem, między redaktorem a wydawcą, między wydawcą a czytelnikiem. Zaufanie to nie jest zasób odnawialny sam z siebie.

A etyka zawodowa jest jego jedynym fundamentem.

Nie chodzi o to, by wszystko było zakazane.

Chodzi o to, by wszystko, co wolno, robić odpowiedzialnie.

Z szacunkiem dla wysiłku tych, którzy byli przed nami.

Z dojrzałością właściwą branży, którą wielu uważa za swoją życiową misję.

A co wypada?

Wypada mówić prawdę i inspirować się z klasą.

Wypada tworzyć nowe rzeczy, ale nie na gruzach cudzej pracy.

Wypada przyznać, że ktoś był pierwszy.

Wypada przepraszać, jeśli narracja zaszała za daleko.

Wypada budować swoją markę na własnej oryginalności, a nie na cienkiej mgiełce marketingowych sugestii.

Wypada – po prostu – być przyzwoitym.

Świat książki naprawdę może być piękniejszy niż jego kulisy – pod warunkiem, pod warunkiem pamiętania o tym, że uczciwość, choć nie tworzy sensacji, buduje najtrwalsze historie.

Notatki zaginionego boga



Autor: Kamila Biernacka

Wydawnictwo: self-publishing

Oprawa: zintegrowana

Formaty: druk, e-book

Gatunek: literatura fantastyczna, steampunk

Data premiery: 2025

Gdzie kupić? [W sklepie internetowym SwanCraft Creations](#)

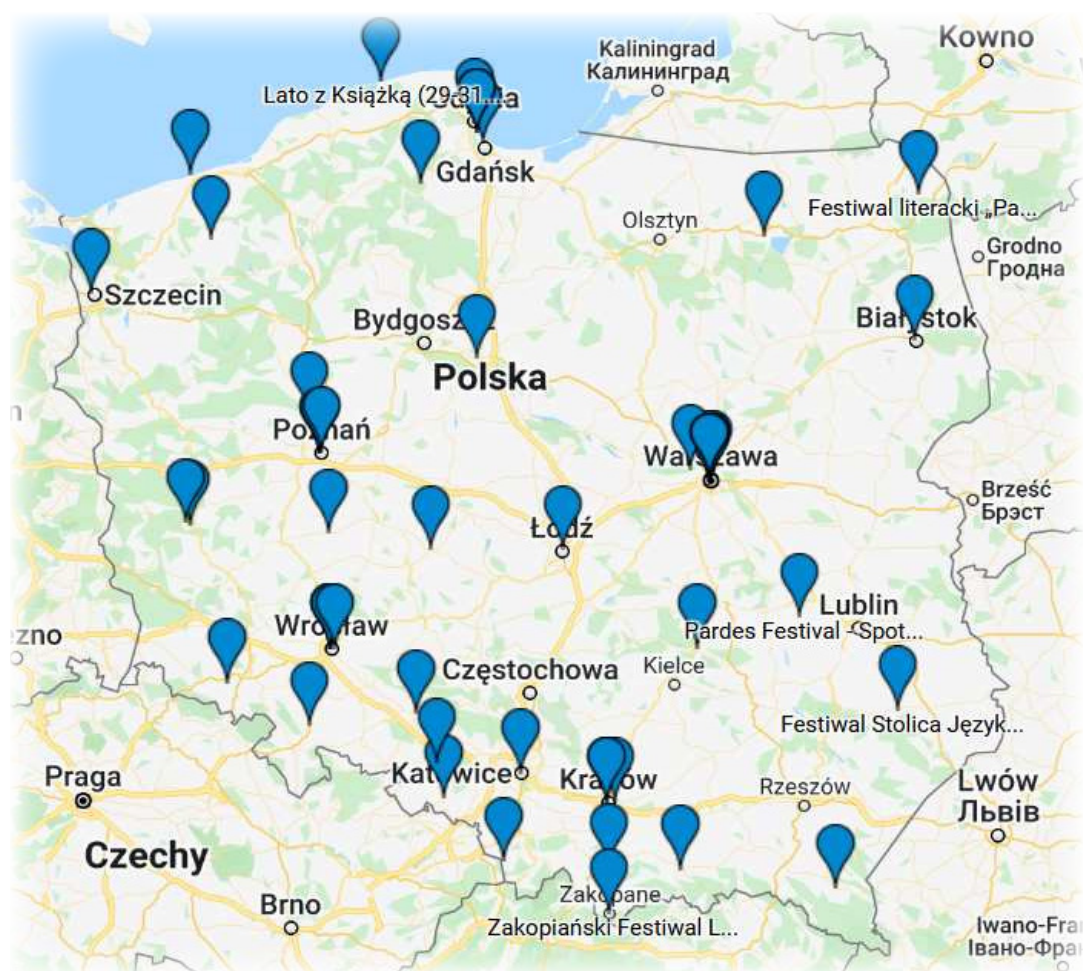
„Notatki zaginionego boga” to niezwykła podróż do świata pełnego magii, maszyn parowych i wymyślnych, steampunkowych mechanizmów. Świata, którego każdy element wydaje się idealnie harmonizować z resztą. Do czasu... kiedy to chciwość sprawi, że Pożeracze Gwiazd przekroczą granicę, do której żaden humanoid nie powinien sięgać. Otworzą przejście do świata poza ich wyobrażeniem. A następnie wyrwą z niego... istotę o umyśle i mocy wykraczającymi poza ich pojmowanie.

By upewnić się, że bóg pozostanie im posłuszny, umieszczą go w klatce, z którą nawet on nie będzie w stanie sobie poradzić. Uwięziony w prostym, ludzkim ciele, będzie musiał nauczyć się oddychać, myśleć i mówić, nim zrozumie otaczającą go rzeczywistość: mroczną, trudną, gdzie czerń i biel zwykle zlewają się w różne odcienie szarości.



MAPA CZYTELNIKA,

GDZIE WYBRAĆ SIĘ W NAJBLIŻSZYM CZASIE



- Sąddeckie Targi Książki w Krynicy-Zdroju **23-25 stycznia 2026**
- Targi Książki w Gdyni **20-22 lutego 2026**
- ZAGRYFKA. Grodziski Festiwal Kryminalny w Grodzisku Mazowieckim **22 lutego 2026**
- Poznańskie Targi Książki **13-15 marca 2026**
- Targi BookGame w Krakowie **27-29 marca 2026**
- YA Festiwal w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach marzec 2026
- Mały Koneser. Festiwal Wydawców Książek dla Dzieci i Młodzieży w Centrum Praskie Koneser w Warszawie **28-29 marca 2026**

Tekst skopiowany ze strony:

<https://rynek-ksiazki.pl/aktualnosci/mapa-targow-i-festiwali-2026/> | Rynek książki

FRAGMENTARIUM

GDZIE SŁOWA ZYSKUJĄ WOLNOŚĆ

DZIĘKUJEMY ZA WSZYSTKIE DOBRE SŁOWA,
WASZE WSPARCIE, CIEPŁE MAILE I OBECNOŚĆ. TO WSZYSTKO
RAZEM ZNACZY DLA NAS WIĘCEJ, NIŻ SĄDZICIE.
JESTEŚMY WDZIĘCZNI, ŻE JESTEŚCIE Z NAMI, BO TO WŁAŚNIE DLA
WAS – AUTORÓW, WYDAWCÓW I REDAKTORÓW – STWORZYLIŚMY
TO CZASOPISMO.

WIERZYMYS, ŻE TA FORMA PRZYPADNIE WAM DO GUSTU
I BĘDZIECIE CHCIELI WSPÓŁTWORZYĆ „FRAGMENTARIUM”,
PRZESYŁAJĄC NAM SWOJĄ TWÓRCZOŚĆ.
JUŻ TERAZ ŻYCZYMY WAM PIĘKNEGO, WCIAŻ ZIMOWEGO CZASU.
NIECH KARTY NASZEGO MAGAZYNU TOWARZYSZĄ WAM AŻ DO
MARCA – DO KOLEJNEGO NUMERU,
KTÓRY UKAŻE SIĘ W DRUGIEJ POŁOWIE MARCA.

DZIĘKUJEMY,
REDAKCJA „FRAGMENTARIUM”



FRAGMENTARIUM